

Słodko-gorzkie teksty jak samo życie. Znasz? Nie. To poznaj!

Nietypowa Matka Polka 2

Tysiące fanów nie mogą się mylić co do
Jej poczucia humoru i rozsądku!



Nietypowa Matka Polka 2



EDIPRESSE
896476

Copyright for the Polish Edition © 2021 Wydawnictwo Edipresse Sp. z o.o.
Copyright for the Text © 2021 Nietypowa Matka Polka

ISBN: 978-83-8177-695-0

szelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyjątkowym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Wydawnictwo Edipresse Sp. z o.o.

ul. Wiejska 19

00-480 Warszawa

Dyrektor Zarządzająca Segmentem Książki: Iga Rembiszewska

Redaktor kreatywna ds. projektów książkowych: Anna Kubalska

Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk

Digital i projekty specjalne: Tatiana Drózd

Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51)

Redakcja: Izabela Orlicz

Korekta: MODESTIA Katarzyna Sarna

Projekt okładki: Lenografia

Grafika z okładki: Lucky N/Shutterstock

Biuro Obsługi Klienta

e-mail: bok@edipresse.pl

tel.: 22 278 15 55

(pon.-pt. w godz. 8-17)

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer firmy Elibri

Spis treści

Wstęp

Część 1. Nietypowa

Nauka jazdy
Zdjęcie
Bracia mniejsi
Samodzielna
Torba
Kardaszianowy klon
Szczeniak
Królowa życia
Uważaj, czego pragniesz
Nowy wymiar sztuki
Jednorożec
Debil
Dresik
Lew
Mocy, przybywaj
Miałam sen
Kubek
Panterka
W blasku sławy
Nawet nie macie pojęcia
Wtopa
Jamnik
Błysk pojeba
Inspiracje
Wróble
Traumy zakupowe

Część 2. Matka

Dlaczego węże nie mają nóg
Tego nie należy robić dziecku
Epitafium

Perspektywa
Co widzicie?
Maoam dla tatusia
Fizyka dla średniozaawansowanych
Gówniak
Nigdy nie ufaj siedmiolatkowi
Lockdown
Jak ta syrena
We własnym narzeczu
Gacie
Tancerz
Yasin
Ojcostwo po raz kolejny
Tajemnica
Złamany palec
Usta w ciup
Tymczasem na Instagramie
Geniusz

Część 3. Polka

Grażyna na salonach
Doktor Mango Shop
Bądź sobą
Bajki dawniej i dziś
Obraza uczuć religijnych
LGBTQ+
Czekoladowe kurczaki
Żadnych
W ubezpieczalni
Plan
Rodzicielstwo
Hajcujemy
Zapasy w dobie koronawirusa

Rewolucja

Fundamenty
O haśle „wypierdalać”
Pocisk
Ja nie klękam

Podziękowania

Dla moich bliskich, rodziny, przyjaciół i czytelników z wyrazami miłości i wdzięczności za to, że przy mnie jesteście!

Wstęp

Na zdjęciu nr 1 jest moja prababcia ze swoją siostrą. Uwielbiam tę fotę. Patrzę na nią i tak sobie myślę o tym, jak ludzie definiują szczęście i od ilu czynników, według nich, to szczęście zależy.

Ja to chyba jednak jestem ludzką wersją uproszczoną. Od zawsze byłam minimalistką. Nie kręcą mnie sława, bogactwo i dobra nabyte, nie bawi spektakularna kariera. Szczęście mam w sobie. Póki jest zdrowie, póki jest co do gara włożyć, póki mam dach nad głową – nie narzekam. Mam wszystko to, co dla mnie najważniejsze – mam miłość. Kocham i jestem kochana. Od dwudziestu lat mam swojego Siarę, mojego męża, przyjaciela, kompana w podróży raz na wozie, a raz pod, ojca czwórki naszych synów, z których najstarszy, Don Juan, ma dziś już siedemnaście lat (nadal nie mogę w to uwierzyć!). Młodszy o dwa lata, zwany jest pieszczotliwie Szarą Eminencją. Kolejni to siedmioletni Stifler i trzyletni Szeregowy.

Mam przyjaciół, którzy również wliczają się do grona mojej rodziny i którzy są dla mnie szalenie ważni, bo przyjaźń – podobnie jak miłość – jest jedną z kardynalnych wartości w moim życiu.

Nie pędzę za światem. Raczej spokojnie chłonę każdą chwilę, delektując się nią. Rozpierają mnie przy tym radość, duma i wdzięczność do losu, że jestem taką szczęściarą. Nie śmiałabym czuć inaczej, bo gdzieś z tyłu głowy mi się telepie, że nic nie jest nam dane na zawsze. A w życiu nie wygrywa ten, kto ma najlepszą pracę, największy talent, najpokaźniejsze dobra albo kto jest wyjątkowo cudnej urody. W życiu wygrywa ten, kto umie się cieszyć tym, co ma.



ZDJĘCIE NR 1: W życiu wygrywa ten, kto umie się cieszyć tym, co ma.

Część I

Nietypowa

Nauka jazdy

Skończyłam 36 lat i nie mam prawa jazdy. Jakoś tak wyszło. Całe życie mieszkłam w centrum miasta, nad morzem, wszędzie miałam zawsze blisko, a gdzieś dalej i tak jeździliśmy tylko w weekendy, więc prowadził Siara. Ja mu tylko pomagałam, wiecie takie standardowe:

– UWAŻAJ! DZIECKO!

– Słodki Bobrze, gdzie?!

– Tam, ten maluch, na placu zabaw z matką. Ale zawsze może pokonać ten płot, sześćset metrów trawy, przeskoczyć żywoptot i wbiec ci pod koła! Sam wiesz, jak dzieci szybko biegają!

Siara niestety jest niewdzięczny i uważa, że moje uwagi podczas jazdy wcale mu nie pomagają. A nawet wręcz odwrotnie! Taki afront i taka bezczelność! No i stale się w samochodzie kłócimy. Nic na to nie poradzę, że mój mąż woli niebezpieczną, brawurową jazdę i nie zwalnia nawet, gdy widzi na polu na przykład krowę. A wszyscy wiemy, że takie pół kilometra trawy plus skok przez elektrycznego pastucha, drugi przez rów i sruuu pod koła, to są dla takiej krowy nanosekundy! Ale nie! Po co być ostrożnym?!

I to był właśnie pierwszy argument, który przemawiał za tym, że powinnam sobie trzepnąć prawko.

Drugim była przeprowadzka na to cholerne angielskie zadupie. Mam prawie dwie mile w jedną stronę do centrum. I od razu zaznaczam, że dziennie walę srogie kilometry i lubię chodzić. W słońcu. A przynajmniej, gdy jest ładna pogoda, a nie, kuźwa, gdy pizga poziomym deszczem!

Trzecim była niepokojąca zbieżność między pewnym jegomościem a mną, który też nie ma prawka, jest niewysoki i lubi koty. To chyba nawet przechyliło szalę.

Wyrobiłam sobie zatem *provisional licence*, czyli takie tymczasowe prawko, honorowane w Anglii, które upoważnia mnie do jeżdżenia po ulicach, ale tylko w towarzystwie osoby, która ma normalne prawo jazdy. Załączyłabym tu zdjęcie w celach edukacyjnych, ale na fotce wyglądam jak starsza siostra Ottisa Toole'a. O dziwo. Bo przecież na żywo to jak milion doliców.

Tak czy siak, skoro mam to tymczasowe prawo jazdy, to jeżdżę.

Jeżdżę po ulicach. Po krawężnikach. Po parkingu Tesco już nie jeżdżę, bo facet od wózków jest na mnie cięty.

Jestem jeszcze zestresowana odrobinę, ale już wiem, że będę dobrym kierowcą. W ogóle to czuję więź z innymi kierowcami. Takie

wiecie – braterstwo kierownicy. Oni mają samochody, ja mam punto, ale jesteśmy w jednym gangu. Normalnie tak się ostatnio wczułam, że jak staliśmy w korku i jakiś facet za mną krzyknął: „Ty pipo!”, to otworzyłam okno i też krzyknęłam: „Właśnie! Ty pipo!”. A wtedy Siara powiedziała: „Zamknij to okno. To było do ciebie. Jesteś pierwsza”.

Ale mnie to nie zraża. Wiem, że będę dobrym kierowcą choćby dlatego, że jak prawdziwy kierowca bluzgam na wszystkich tak, że nawet starszkom nie przepuszczę. Zresztą starszki są najgorsze. Zwłaszcza irlandzkie, bo po pięciu latach na obczyźnie, nadal nie rozumiem, co mówią. Powiem Wam tak: ja raz w życiu słuchałam mojego męża takiego kompletnie nawalonego. Nie mieliśmy jeszcze wtedy dzieci, wróciliśmy z imprezy, położyłam go na kanapie, a on do mnie zawołał takie dziwne:

– Heapsal magabon!

Kurwa, jak w *Harrym Potterze!*

Ale nic to. Nigdy nie tracę zimnej krwi.

– Ania – odpowiedziałam mu zatem.

Ale ten dalej:

– Heapsal magabon!

– Herbaty? – zaczęłam zgadywać. – Nie? Wody? Coli? W ogóle pić chcesz? Kanapkę? Serek? Kabanosa? Miskę? Wiadro? „Dziennik Bałtycki”?

A ten się nie poddaje:

– Heapsal magabon. – Patrzy na mnie błagalnym wzrokiem, widzi, że nic nie jarzę, więc spina się cały, aż mu żyły wyszły na czole, i nagle, już całkiem normalnie, przemawia: – Pilot mi się w dupę wżyna!

Od tego czasu uznałam, że pierdołę, nie zgaduję. No więc jak kiedyś taka jedna irlandzka starszka zrównała się ze mną, pokazała mi, że mam szybę opuścić, to opuściłam. Ona coś tam wtedy powiedziała do mnie z uśmiechem, no więc też się uśmiechnęłam szeroko do niej, pokiwałam głową i pojechałam. Z tym uśmiechem i kiwaniem głową to jest taki trik i naprawdę każdy Polak na obczyźnie Wam to potwierdzi – jak się nie zrozumie, co mówi tubylec, to się po prostu uśmiecha i kiwa głową. Ja wiem, co sobie myślicie, że przecież można spytać: „Słucham?” albo „Proszę?”, ale wtedy by się człowiek naraził, że ktoś sobie pomyśli, że się nie gada w tym narzeczu. I cała reputacja psu w dupę!

Fakt, że pewne ryzyko się z tą metodą wiąże – ja się tak kiedyś zapisałam na kolonoskopię. Ale wiecie, co mówią – kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana!

No więc ta pani coś tam mi z uśmiechem powiedziała, ja się też uśmiechnęłam, pokiwałam głową i przyznaję, że dopiero dwa skrzyżo-

wania dalej, jakoś mi się jej słowa w logiczną całość utożyczyły i się kapnęłam, że mi takiego dissa pocisnęła, że Eminem by się nie powstydzził!

Najgorsze, że byłam już tak daleko od niej, że nawet nie wiedziałam, w którą stronę mam jechać, żeby odpowiedzieć. No ludzie! Co to za czasy, że-by starszki dissowały innych ludzi z gangu?! Jak tak można?! Ale gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że ja w tej dziedzinie też ostatnio nabrałam nowych umiejętności. Do tej pory nawet nie wiedziałam, że można tworzyć zdania wielokrotnie złożone składające się z samych bluzgów. A można. Serio. Mogę udowodnić, tylko wpuście mnie na podwójne rondo.

Wielokrotnie powtarzałam, że nerwowy rocznik jestem i wszystko mnie wkurwia, a za kierownicą wkurwia mnie wszystko pięć razy bardziej. Normalnie zamieniam się w taką kulkę negatywnej energii. Takiego Gizma nakarmionego po północy. No jest źle i zdaję sobie z tego sprawę, ale naprawdę nic na to nie poradzę, że absolutnie wszystko mnie drażni.

I choć normalnie nie mam pojęcia, jak Wy to robicie, że swobodnie trzymacie kierownicę w jednej ręce, drugą zmieniacie biegi, kontrolujecie równocześnie prędkościomierz, lusterka, no i drogę, tak jak, nie daj Bóbr, ktoś na mnie zatrąbi, to też jakoś nie mam z tym problemu. Jeszcze sobie zębami tę kierownicę przytrzymam, żeby przesunąć dwukrotnie palcem pod okiem, energicznie, bo zdenerwowana jestem.

Wąskie drogi też mnie drażnią.

Jadę moim czotgiem i zawsze za blisko albo krawężnika, albo środka drogi. Siara przez pięć lat ani razu nie był tu zhaltowany przez policję. Ja już dwa razy. Za drugim razem od razu wiedziałam, o co im chodzi, więc zanim policjant zdążył się odezwać, to szybko powiedziałam: „Nie jestem pijana, jeżdżę zygzakiem, bo macie za wąskie drogi i nie mogę się zdecydować, czy wolę móc poklepać przechodniów po plecach, czy jednak przybijać piąteczki z kierowcami z drugiego pasa”. Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego to wyjaśnienie go nie przekonało.

Kolejna rzecz – drażni mnie, jak ktoś mi zajmie rodzinne miejsce parkingowe. To te szersze, bo w te węższe, zwykłe, nie zawsze potrafię się wcisnąć. Znaczy w sumie to potrafię, ale mam dość wysiadania bagażnikiem. Mam swoją godność!

Drażnią mnie kierowcy, którzy „siedzą mi na dupie”. Widzi jeden z drugim, że mam naklejone L z przodu i z tyłu. I nic się nie przejmują.

Światła na górce, akurat czerwone, stoję pierwsza, a za mną ustawia się kolejny i nawet metra odstępu, kuźwa, między nami nie zostawi. Dosłownie nasze zderzaki się dotykają. Nawet nie wiecie, jak mnie stresuje ruszanie z górki w takich warunkach. Taki hemoroid – samobójca

za mną – to ma tam wyjebane! A ja za każdym razem ruszam z piskiem, bo boję się stoczyć. Póť dzielni myśli, że to szare punto to prowadzi Dominic Toretto!

Rowerzyści mnie wkurzają. Noście, do cholery, odblaski! Życie wam niemiłe, czy jak?! Jak wam się nie chce w te pieprzone odblaski zainwestować, to przed wyjściem na rower sobie pomyślcie, że JA TAM GDZIEŚ KRAŻE!

No i *crème de la crème* – najbardziej wkurwia mnie Siara. I to do tego stopnia, że już sobie ostatnio w samochodzie naszą rozprawę rozwodową wyobrażałam:

– Dlaczego powódka wnosi o rozwód? – pyta sąd.

– A bo, Wysoki Sądzie, ja się uczę jeździć, no i nie ukrywajmy, że nerwowa nieco jestem, a ten zamiast milczeć, to cały czas gada. W domu to potrafi być jak ta żona Lota. W samochodzie za to, kurna, jak Max Kolonko. Pierdzieli kocopoty, choć twierdzi, że „mówi, jak jest!” Dentystka mnie opierdala, bo już od ściskania szczęki, żeby się nieuprzejmie do niego nie odzywać, bo to wrażliwe i delikatne jak mały kurczaczek, ścieram trzonowce. Więc proszę go grzecznie: „Na litość Bobra, zamilcz, mężczyzno!”. A on co robi? On mi mówi, że ja się niepotrzebnie tak spinam, on to dawno zauważył, że ja jestem strasznie nerwowa i postanowił mnie zrelaksować. No to mu mówię, że nie może wysiąść, bo ja nie mogę jeszcze jeździć bez doświadczonego kierowcy. A on na to: „Nie, głupia. Muzykę relaksującą przygotowałem” i jeszcze dodaje: „Ten album ma najwyższe noty wśród internautów”. No to tak jeżdżę. Po wąskiej drodze, od krawężnika do linii, z hemoroidami-samobójcami z tytu, opętanymi irlandzkimi staruszkami z przodu, mijają mnie nieoznakowani cyklkliści, obok mnie siedzi Max Kolonko, a z radia ptaki drą mordy i ktoś napierdala cyklicznie w gong, aż mi rezonuje we łbie, a po kwadransie słuchania pieprzonego szumu wodospadu zawsze chce mi się sikać!

Królu złoty, stryjenko kochana, tak to właśnie wygląda.

I jeszcze te jego komentarze!

Miałam go podwieźć do bankomatu, więc podjeżdżamy, wszystko po drodze elegancko, ładnie i spokojnie zrobiłam. No ale jak już stanęłam, nie przytrzymałam sprzęgła i mi samochód – wiadomo – zgał. Jak gał, to szarpnęła, oczywiście mnie to wkurwiło, więc siedzę już z opadniętą powieką.

Czy on mi dziękuje, że nie musiał zasuwać z buta?

Czy on mnie uspokaja?

Czy on chociaż udaje, że nie zauważył?

Nie! On jeszcze na mnie z ryjem:

– Co ty robisz?!

No, kurwa, ludzie! Przecież to najgłupsze pytanie, jakie możesz zadać, siedząc całą drogę obok i będąc czegoś świadkiem. Więc ja mu na to tradycyjnie:

– Napieprzam na szydełku stringi dla rysiów!

Jego to za chuja nie zbija z tropu, więc ciągnie:

– Zgast ci!

Mnie też mało co zbija z tropu, więc ja również ciągnę:

– Ło cię! O ja pierdziele! A niech to gęś kopnie! Faktycznie! Taki sportowawczy jesteś, że się aż boję, co jeszcze odkryjesz?! Czego się dziś jeszcze dowiem?! Że w Watykanie mieszka papież?

To całą drogę powrotną nic już nie mówił. Tylko robił miny i wzdychał. Jakbym, kurwa, jechała z Jimem Carreym cierpiącym na astmę!

Fakt, że mnie czasem też poniesie. Na ten przykład ostatnio mi mówi:

– O, w tym miejscu jest przykład takiego nieprzemyślanego znaku właśnie. Ograniczenie do pięćdziesięciu, a tuż za zakrętem – rondo. Nie sądzę, żeby ktokolwiek wszedł na rondo powyżej, no maksymalnie, trzydziestu.

No to mu odpowiadam:

– *Challenge accepted!*

Ale już tak nie robię, bo mi o mało co tę łapkę znad okna wyrwał i się prawie poptakał.

A teraz, od jakiegoś tygodnia, jak prowadzę to mnie nagrywa. Nie mam pojęcia, po co to robi. Na pamiątkę? Dla kumpli? Do tego sądu na tę sprawę rozwodową? Dla policji, że też jest ofiarą tej nauki jazdy? Nie wiem. Samo to nagrywanie by mi nie przeszkadzało, ale on myśli chyba, że jest Krystyną Czubówną, więc prowadzi narrację. I tak na ostatnim filmiku słyszemy:

– Dojeżdżamy do świateł. Całą drogę moja żona jechała, jak ten... no...

– Hamilton – mówię.

– Nie. Jak Stevie Wonder. Ale trzeba przyznać, że to jednak kierowca z sąsiedniego pasa w pewnym momencie zajechał jej drogę. Właśnie się z nim na światłach zrównuje. Coś tam do siebie krzyczą i... Chwileczkę... Nie jestem pewien, czy... Tak, zdaje się, że będzie próbowała pokazać mu dupę.

– Nieprawda! – krzyczę, sytując się z rozporkiem. – Wyłącz to nagrywanie!

– Myślę, że jeszcze będzie z niej...

– Hołowczyc! – precyzuję.

– Nie. Ozzy Osbourne.

Czasem myślę sobie, że może kiedyś będę miała wnuki. A może nie. Ale jeśli jednak będę miała, to oby wtedy nikomu nie przyszło do głowy, aby pokazać im babcię na filmikach...

Zdjęcie

Niemal nie mam zdjęć w rodzinnym albumie, to ja zawsze jestem fotografem. Tak wolę, bo Siara nie jest dobry w te klocki. Choćby człowiek był Anją Rubik, to i tak u Siary na zdjęciu wyjdzie najwyżej jak ofiara spięcia w inkubatorze. Po Czarnobylu. W szoku pourazowym. I klapkach Kubota. Na skarpetki.

Okoliczności przyrody były cudne. Piękna pogoda, las, jezioro, po którym malowniczo pływały łabędzie i kaczki.

„Tego nie da się spierdzielić” – pomyślałam i poprosiłam: – Zrób mi zdjęcie do albumu.

Kucnęłam, tak trochę wystawiłam jedną raciczkę, żeby wydawała się dłuższa. Jak zwykle. Poprawiłam włosy. Wciągnęłam brzuch, wypięłam cycki. Sprawdziłam, czy boczki nie wystają. Czy się nie garbię. Czy mi tyłek nie wisi. Czy stóp nie koślawię. Czy sobie makijażu nie rozmazałam. Synowie sprawdzili, czy na zębach nic nie mam. I w końcu mówię:

– Gotowa, byle szybko, bo tak długo nie wytrzymam w tej spontanicznej i naturalnej pozycji.

Zdania dobrze nie skończyłam, a on mówi:

– Już!

No to się rozlałam z powrotem jak Jabba i żeśmy poszli.

A wczoraj to mi kumpela zdjęcia porozwieszane w swoim domu pokazywała, co przelato czarę goryczy, bo my swoje foty w ramach uaktualniamy już co najmniej od pół roku i jakoś nigdy skończyć nie możemy. Jedną ramkę to mamy taką, że każdy ma w niej swoje indywidualne zdjęcie.

I właśnie przy kasie byłam, bo mi się skończyło mleko do kawy, gdy Siara zadzwonił do mnie z pytaniem:

– A Twoje to jakie tam wrzucić?

Nie wahałam się ani chwili!

– To znad jeziora. Wyglądam tam jak Cindy Crawford w młodości. Jak bogini. Jak michałki, ale te klasyczne, nie kokosowe. Jak milion docłów.

Wchodzę na chatę i czuję, jak mi bezwiednie to mleko z ręki wypada.

Oto oczom moim ukazuje się – jedyne, jak się potem okazało – zdjęcie nr 2, na którym z durnowatym uśmiechem w pozycji na Matysza sram do jeziora!

Mój typaniebo brze!!!



ZDJĘCIE NR 2: Okoliczności przyrody były cudne. Piękna pogoda, las, jezioro, po którym malowniczo pływały łąbędzie i kaczki. „Tego się nie da spierdzielić” – pomyślałam i poprosiłam: – Zrób mi zdjęcie do albumu.

Bracia mniejsi

Dwadzieścia pięć lat temu postanowiono ulec mojemu kaprysowi i kupić mi chomika. W sklepie zoologicznym ekspedientka poleciła nam, żeby wziąć od razu dwa, bo chomiki to zwierzątka stadne i jeden mógł czuć się samotny. Tak twierdziła. Wybrałam rudo-białego i czarnego, oba samce, bo moją matkę mieliśmy postawić przed faktem dokonanym, a wiedziałam, że wystarczająco się wścieknie o dwa chomiki, więc wolałam nie ryzykować, że z czasem miałyby być ich cały miot. Bardzo szybko czarny chomik pozbawił rudo-białego oka, a weterynarz wytłumaczył mi, że chomiki to samotnicy. Fakt, że do tego wciśnięto nam dwa różne gatunki (chomika dzungarskiego i syryjskiego) nie poprawił sytuacji, gdy znalazły się w jednej klatce. Miałam jedenaście lat, byłam naiwna, myślałam, że świeże sianko, woda, marchewka, dwa domki, kotowrotek i sporo miłości wystarczą im do szczęścia.

Kuzyn miał szynszylę. Już w pierwszym miesiącu uciekła ze źle zabezpieczonej klatki i zabrała się do obgryzania kabli, na skutek czego została porażona prądem. Straciła obie łapki i chyba przestała się podobać jego dzieciom, bo zaraz po tym wydarzeniu pojawiła się u jednego z nich „alergia” i szynszylkę trzeba było oddać „do dobrego domu”.

Jedyny pies w moim życiu, którego się nie bałam (bo ja się boję psów), to bulterier z naszego rodzinnego domu. Byłam wtedy nastolatką. To był naprawdę uroczy psiak. Piękny brzydal, mądry głupol. Chodził za mną krok w krok, a gdy pochylałam się nad wanną, żeby umyć głowę, wciskał pysk pod prysznic i pił z niego wodę. Moja matka kupiła go z hodowli polecanej przez Związek Kynologiczny. Poznała jego psią matkę i psa, który ją pokrył. Wizyta w hodowli przebiegła wzorowo. Wszystko cudnie, pięknie, na wysoki potysk. Nasz pies zmarł na wadę serca, nie dożył nawet roku. Zrozpaczona mama pojechała do hodowcy od razu, niespodziewanie, żeby podzielić się z nim tą tragiczną wiadomością – w końcu wada serca u psa z jego miotu powinna go zainteresować. To, co zastała na miejscu, nie wyglądało już jak z obrazka. Stare ciężarne suki, jak się później okazało bardzo chorewane, zardzewiałe klatki, puste miski z wodą, brak kojców, obraz nędzy i rozpaczy. Mama przeprowadziła prywatne śledztwo. Dowiedziała się, że te suki kryte są przez spokrewnione psy, a psich maluchów z różnymi wadami było znacznie, znacznie więcej. Przedstawiciel Związku Kynologicznego, z którym mama podzieliła się wówczas tymi informa-

cjami, nabrał wody w usta. Kazano jej, wyrażając się w sposób nieco bardziej kulturalny, spadać. Dziś mama twierdzi, że nigdy nie kupiłaby już psa z hodowli. Jest tyle przepętnionych schronisk. Tyle psich mord do pokochania.

Mój najstarszy syn ma szesnaście lat. Napisał prośbę do tutejszego schroniska, żeby przyjęto go na wolontariat już teraz, a nie, gdy będzie miał osiemnaście lat. Czeka na odpowiedź, mam nadzieję, że będzie pozytywna, bo od małego kocha psy. Śmiałyśmy się z Siarą kiedyś, że ktoś w końcu wezwie do nas opiekę społeczną, bo nasze kilkuletnie dziecko chodziło swego czasu z aparatem fotograficznym po podwórku i zaczepiało sąsiadów „psiarzy”, żeby zrobić ich pupilom zdjęcie. Potem syn te zdjęcia katalogował, podpisywał. Gdy przeprowadziliśmy się tu, chodził na drugi koniec miasta do mojej kumpeli, żeby wyprowadzać jej psiego staruszka. Nie robił tego za pieniądze, możliwość obcowania ze zwierzęciem była dla niego wystarczającą zapłatą.

Dwa dni temu, podczas naszego codziennego spaceru znaleźliśmy martwą ryjówkę. Podniósł ją delikatnie i położył z boku, na trawie. Powiedział do mnie:

– Wiesz, żeby jej nikt nie rozdeptał.

Pokiwałam głową. Wiem. Rozumiem. To szacunek. Szacunek do zwłok małej ryjówki. Głupie? Nie dla mnie. Dla niego też nie. Od małego zbierał z ulicy ślimaki. Wiecie, żeby ich nikt nie rozdeptał.

Widzieliśmy też gościa z kakadu na ramieniu. Papuga miała przywiązaną do nóżki cieniutką smycz.

– Papugi są piękne! – powiedział mój syn.

– Chciałbyś mieć kiedyś taką? – spytałam.

– Nie. Nie mógłbym jej tego zrobić – odpowiedział.

Nie jem mięsa. Nie jem, ale też nie zaglądam nikomu do talerza i nie wyzywam od morderców znajomych, którzy mi kebsa zaproponują. To był mój świadomy wybór, do którego dojrzywałam dość długo. Nie płakałam, gdy umierali niektórzy ludzie z mojego otoczenia. Płakałam, gdy dowiedziałam się, co potrafi zrobić człowiek niektórym hodowlanym (i dzikim) zwierzętom (zdjęcie nr 3). Przy czym nie uważam się za jakąś wielką miłośniczkę zwierzaków – nie ciągnie mnie do obcowania z każdym żyjątkiem, głaskania, dotykania, zresztą tak naprawdę większości zwierząt zwyczajnie się boję. Tak już mam. Zatem to nie tyle miłość, co szacunek do „braci mniejszych”.

Nauczyłam się łąpać pająki i wnosić je na dwór. Potem oswoiłam z nimi dzieci, teraz w naszej łazience drugi tydzień mieszka sobie jeden. Nikomu nie wadzi. Choć ręczniki zawsze delikatnie strzepują przed uży-

ciem, dla pewności, bo chyba nie jestem jeszcze gotowa na pająka na twarzy.

Ale ja nie o pająkach, nie o szynszylach, nie o tych moich nieszczęsnych chomikach czy pseudohodowlach chciałam napisać. To nie miał być też tekst propagujący wegetarianizm, ani nic z tych rzeczy. Chciałam Was prosić o odrobinę refleksji. I odpowiedzenie sobie na pytanie, czy nam, ludziom, nie przewraca się przypadkiem w czterech literach? I czy opisując bestialstwo nie powinniśmy przypadkiem, zamiast słowa „zezwierżenie”, wymyślić synonim nawiązujący jednak do ludzi. Obawiam się, że w wielu sytuacjach bardziej by pasował.



ZDJĘCIE NR 3: Nie płakałam, gdy umierali niektórzy ludzie z mojego otoczenia. Płakałam, gdy dowiedziałam się, co potrafi zrobić człowiek niektórym hodowlanym (i dzikim) zwierzętom.

Samodzielna

Zaczęło się całkiem niewinnie. Przecież wiecie, że u mnie zawsze się tak zaczyna.

Siara wyszedł przed dom i obstawił swój oraz sąsiada samochód pustymi kanistrami, żebym mogła swobodnie ćwiczyć. Zaznaczę, że sąsiad nie wyglądał, jakby miał coś przeciwko, a sprawę monitorował, bo od kiedy uczę się jeździć, to nie wiedzieć czemu non stop stoi w oknie.

W ogóle ostatnio dużo się o nim dowiedziałam, okazało się, że jest bardzo religijny, bo często stojąc w tym oknie żegna się. Ale to w porządku gościu jest i chyba wszyscy go lubią, poza jeszcze innym sąsiadem, któremu ten pierwszy próbował podzielić miejsce parkingowe, jak najdalej od mojego. Wiem, bo jak u nas zawsze ciasno i nie ma gdzie stanąć, tak pewnego dnia stał samochód Siary, mój, potem długo, długo żaden, a dalej dwóch sąsiadów się kłóciło. Doceńmiam, że są kochani i chcieli mi zrobić więcej miejsca do ćwiczeń, ale w gruncie rzeczy nie jest mi ono potrzebne, bo świetnie sobie radzę. A jak sobie nie radzę świetnie i się czegoś wystraszę, to zamykam oczy i wciskam gaz, żeby mieć to już za sobą. Ponieważ nikt z nas nie chce, żebym miała cokolwiek pod sobą, zauważyłam, że jak normalnie u nas się dzieciaki przed domami bawią, tak gdy tylko przekręcę kluczyki w moim punto, to jakby na ulicę wyjechała czarna wołga. Wszystko pustoszeje. Nawet koty spierdalają, przepychając się między sobą w drzwiach. Dziwne. No, ale nie skupiamy się na tym.

Skupmy się, dziewczyny, na tym, dlaczego nie należy ćwiczyć z mężem.

Po pierwsze dlatego, że oni strasznie nerwowi są!

Wsiadam, zapinam pasy, przekręcę kluczyk, nie ruszam od razu, bo muszę dobrze sprawdzić, czy mi w dupkę wygodnie, żeby mnie potem nic nie rozprasało, wiadomo. A ten już przewraca oczami. Włączam radio. Radio się nie włącza. W głowie odnotowuję, żeby spytać na mojej stronie, czy nikt nie ma na zbyciu radia do punto. Nie musi być oryginalne, ważne, żeby pasowało stylową. Nie wiem, walkman jakiś z komunii mógłby się nadać, czy tam inny boombox.

– Możemy ruszać? – pyta Siara.

– Nie możemy, bo mi jakoś strasznie duszno.

– To po co włączyłaś ogrzewanie?

Hmmm... ogrzewanie... w takim razie radio może działa.

Ruszam. Taka jestem dzielna, że w oku czuję rzęsę, a nic nie mówię. Wytrzymam. Po drodze mijam dom sąsiada, macham mu z uśmiechem, on się żegna. Jadę dalej. A im dalej jadę, tym bardziej Siara podnosi mi ciśnienie. Po pierwsze tym, że tak się nerwowo trzyma tego dynksa nad siedzeniem pasażera. Co chwilę mi sufit dotyka i tylko czekam aż zerwie tę podsufitkę. Taka podsufitka do punto to musi z trzy dychy kosztować, ale co tam! Rockefeller, to go stać, może zrywać!

Drugim powodem, dla którego nie należy uczyć się jeździć z mężem, jest fakt, że taki mąż ciągle czepia się i wymądrza.

– Skręć w prawo.

Kierunkowskaz. Skręciłam.

– Źle skręcasz!

– Na litość Bobra, jak można „źle skręcać”?! Jaśnie panu się nie podoba, bo nie weszłam, driftując boczkiem w zakręt?

– Właściwie to tak właśnie weszłaś...

– No, słucham. Koła były proste? Kierunkowskazu nie wrzuciłam? No, jak można „źle skręcać”? No jak?

– To było lewo.

I tak cały czas się wymądrza. Oszaleć można, więc w końcu mówię:

– Poróbmy coś innego, bo już to bezsensowne jeżdżenie w kółko mnie wkurza.

– Dobry pomysł. Poćwiczmy parkowanie równoległe tyłem.

– Dobra! – powiedziałam.

– Głupias! – wykrzyknęły moje koleżanki chórem, gdy im potem o tym opowiadałam.

Skąd mogłam wiedzieć, co to znaczy?!

– Wyrównaj się z jednym z samochodów, między którymi zamierzasz parkować. Lusterko w lusterko. Chyba, że masz krótszy samochód, to wtedy zrównaj wasze dupy.

Popatrzyłam na niego.

– Wyrównaj dupy samochodów – doprecyzował, po czym dodał: –

W zasadzie ty zawsze podjeżdżaj z myślą, że dupy samochodów muszą być wyrównane. Chyba że akurat na miejscu parkingowym stoi hulajnoga, to wtedy z całą nią się możesz wyrównać.

Popatrzyłam na niego.

– Nieważne. Wiesz co, najlepiej będzie, jak ja ci pokażę, jak to się robi, bo inaczej się niczego nie nauczysz. Zamienimy się miejscami.

Zamieniliśmy się. Ta cholerna rzęsa drażniła mi dalej oko, więc je potarłam, a gdy otworzyłam, to się okazało, że już zaparkowaliśmy.

– Widziałas? Już rozumiesz?

– O, jak ja już rozumiem! O, jak ja już rozumiem bardzo!

O dziwo, wyczuł ironię po pierwszym zdaniu.

– Dobra, to jeszcze raz. Nie trzymaj oczu przez chwilę, tylko patrz!

Nie tartał. Po prostu mrugała. I zaparkowaliśmy między tymi mrugnięciami.

– Skumałaś już, o co chodzi?

– O, jak ja bardzo już skumałam! O, jak bardzo!

Potała rękoma głowę.

– Wiesz co, tak, to ty się nie nauczysz. Ja wyjdę i będę cię instruował, co masz robić.

Wyszedł. I od razu atmosfera się rozluźniła, więc spokojnie mogłam się przejrzeć w lusterku, żeby wyjąć w końcu tę jebaną rzęsę. I jak tak spojrzałam w to lusterko, to zobaczyłam coś pięknego!

Siebie!

Ale nie tylko!

Zobaczyłam morze miłości. Morze!

Zobaczyłam prawie dwumetrowego typu, który robi łapami jakieś młynki, kręci głową, ugina kolana, machając rękoma i je prostuje. Coś tam pokazuje palcem. Jak pierdolnięty! A ja i tak go Kocham! Czyż to nie wspaniałe?!

Koniec końców podszedł, otworzył mi szybę na maksa i zaczął krzyczeć:

– Trzysta sześćdziesiąt stopni kierownicą w prawo, czyli do płotu! Cofasz! Jeszcze! Jeszcze z pół metra! Dobra! Stój! Teraz odbijasz! Jeszcze! Trzysta sześćdziesiąt stopni kierownicą w lewo, czyli od płotu! Jedziesz! Nie, nie, nie! Do tytu, kurwa! Tak! Teraz dobrze! Jeszcze kawałek! Stój! Stój!!! To był taki dobry kanister... Odjedź kawałek do przodu! Kawałek mówię! Ty nie wiesz, co to znaczy kawałek?! Stój! Wyrównaj koła! Nie w tę stronę! Dobrze! Ręczny! Zgaś silnik.

Wchodzimy do domu, na progu wita nas Szara Eminencja i pyta, jak było, na co Siara:

– Mama pierwszy raz sama zaparkowała równolegle tyłem.

– O, jak ja sama pierwszy raz zaparkowałam równolegle tyłem! O, jak bardzo samodzielnie!

Torba

Śmiem twierdzić, że wszystkie największe awantury zawsze są przez Siarę, ale od początku...

W niedzielę pojechaliśmy na plażę, trochę odpocząć po naprawdę emocjonującej końcówce tygodnia. Do wyjazdu co chwilę sprawdzaliśmy, na którym miejscu jest moja książka w „najlepiej sprzedawanych” w Empiku i niezmiernie jaraliśmy się wysoką pozycją. Pierwsza była Kaśka Nosowska, potem Remek Mróz, dalej *Dziewczyna w oknie*, ja, a za mną bawetniana torba na zakupy.

Tutaj na plaży jest zupełnie inaczej niż w Polsce. Po pierwsze: dobrze jest zorientować się w lokalnym rozkładzie dnia, bo pruje się takie 50 mil na ten przykład, ledwie się zaparkuje, dzieciaki w biegu zakładają kółka, rękawki, okulary, ten cały plażowy osprzęt. Lecicie się wykapać, a tam, kurna, odpływ! I później człowiek siedzi jak ten debil dwie godziny w masce, płetwach, z rurką i patrzy na błoto.

Po drugie: na niektórych tutejszych plażach są takie przezroczyście, wielkie, tłuste robaki, które się zagrzebują w piasku i w najmniej oczekiwanym momencie wygrzebują się człowiekowi prosto na nogę lub rękę. Przy mnie siedziała babeczka z dwoma yorkami, bez kitu, jednego na moich oczach wrąbały!

– One skaczą! – krzyknęłam do Siary.

– No skaczą, skaczą. A co mają robić?! Krawczyka śpiewać?!

Mnie się takich rzeczy nie mówi, bo ja mam plastyczną wyobraźnię. Od razu widzę takiego wielkiego, tłustego robaka, jak się wygrzebuje z tego piasku, z cygarem i zaczyna śpiewać:

Paaaaarostatkiem w piękny rejs,

statkiem na parę w piękny rejs.

Przy wtórze kłątów bosmana,

głośnych krzyków aż od rana,

Tak śpiewnie dusza tkaaaaaa...

– Nie, no dobra, masz rację – mówię od razu. – Już, kufa, lepiej niech faktycznie skaczą.

Po trzecie: tu niemal nie ma parawaningu. Od razu mówię, że mnie parawany nie przeszkadzają. Oficjalnie oświadczam, że mieliśmy w rodzinie parawan, zanim to było modne.

Ojciec od zawsze go rozstawiał, co by na nas nie wiało. Ewentualnie tworzył skromniejszą wersję – szedł na wydmy, wracał z kilkoma kijkami i rozwieszał reformy babci, jak się już w strój kąpielowy przebrała.

Mieliśmy tym sposobem, zależnie od wiatru, flagę, parawan, a okoliczne wsie i miasteczka – falochron.

Zresztą, tak szczerze mówiąc, mnie ten temat wisi. Nie mam już parawanu. Teraz mam namiociki plażowe dla dzieciaków, chroniące przed wiatrem. Na pewno wiecie, o co chodzi. Takie małe, plażowe domki. W każdym razie jak mi ktoś pierdzieli, że za dużo miejsca na plaży zajmuję, to idę do drugiego pokoju i nie słucham...

No, ale do brzegu.

Rozstawiliśmy te domki, dzieciaki budowały zamek z piasku, a my sobie z Siarą gadaliśmy, że wysypało rodakami. Gdzie nie spojrzysz parawany, reklamówki i grille z kiełbasą.

– Ja to mam taką wyobraźnię, że nawet tu ten zapach kiełbasy czuję – pochwaliłam się Siarze.

– Nie. To nie wyobraźnia. Serio grillem wali.

Wychyliłam się więc zza namiotu i widzę trzy nienawistnie wlepione we mnie pary oczu – ona, on i mały on – oraz grilla z kiełbasą, parawan i reklamówkę z Tesco, którą zresztą zaraz schowali.

Bohrze dopomóż! Czemu ja tak drę tego ryja i w dodatku zawsze muszę coś pierdolnąć?!

Próbowałam zatrzeć pierwsze wrażenie promiennym uśmiechem i swobodną gadką.

– Uroczoneg macie państwo synka – wypaliłam.

– To jest Kasia – odpowiedziała ona i znowu wlepili we mnie trzy pary nienawistnych oczu.

No to chuj. Uruchomiłam w sobie wewnętrzną Pieńkowską i też spojrzałam spod przymrużonych oczek. Powinnaś nosić okulary na stałe, nie tylko do czytania, bo jak je tak zmrużyłam, to faktycznie zobaczyłam, że ten mały miał we włosach kokardkę. No, nieważne.

Tak czy siak nie polubiliśmy się z sąsiadami. A spędziliśmy obok siebie cały dzień. No i pod koniec takie zabawne zdarzenie zaszło, bo nasze wszystkie dzieciaki, znaczy moje i Siary oraz Kasia sąsiadów, taптаły się na brzegu. I niemal równocześnie zaczęły wołać: „Mamo!”.

Wstałam, żeby zobaczyć, o co chodzi. Widzę kątem oka, że sąsiadka też wstała. Idę. Ona też idzie. Przyspieszyłam. Ona też przyspiesza. Zaczęłam biec.

Nie, żeby się coś działo. Z daleka przecież widziałam, że nic się nie dzieje. Po prostu cały dzień patrzyła na mnie przymrużonymi oczami. Nie lubię lampucery! Myślę sobie: „Będę pierwsza!”.

Ta, porypana, też zaczęła biec. Wygrałabym, bo ja nie dość, że mam dość optywowe kształty, to jeszcze jak się rozpędzę, to idę jak burza! Jak czołg konkretnie. Niestety pech chciał, że potknęłam się o jakiś

kamień, czy tam psa. Nie wiem, nie miałam czasu się obrócić. Słyszałam tylko, jak to coś na mnie nawarczało. Tak. W sumie dochodzę do wniosku, że to musiał być jednak pies. Pewnie to ten drugi york, co go robaki nie zdążyły wrąbać.

I teraz wracamy właśnie do początku mojej opowieści. A konkretnie do zdania, że wszystkie największe awantury zawsze zaczynają się przez Siarę.

No, kurwa, sami Państwo powiedzcie – nie mógł sobie znaleźć lepszego momentu, żeby znad telefonu krzyknąć:

– Ta głupia torba cię wyprzedziła!!!

Kardashianowy klon

W moim prywatnym rankingu „osób robiących coś dobrego dla świata”, Kim Kardashian awansowała do pierwszych dziesięciu tysięcy.

Jeśli to dla Państwa nie jest jakieś zaszczytne miejsce, to musicie wiedzieć, że do tej pory była tuż za Krewetką Pepe z Muppetów.

Konkretnie to do wczoraj, kiedy spróbowałam na sobie konturowania twarzy, żeby odjąć dwudziestkę, czyli odpowiednio: 10 lat i 10 kilo. I jak bum-cyk-cyk w łazienkowym świetle wyglądałam jak „kardashianowy” klon. A kiedy wyszłam z chaty reakcje były takie:

– Och! – Sąsiadka.

– Co ty robiłaś, że masz brudne oba policzki? – Najstarszy synuś.

Wzrok przechodzącego policjanta, który zdawał się mówić: „Pani się do nas zgłosi. My wiemy jak pomóc. Założymy niebieską kartę, mamy grupy wsparcia...”.

Szczeniak

Widzę przez okno, że sąsiadka zasuwa do mnie z jakąś paczką. Otwieram drzwi. Stoi zziębnięta, pod pachą ma psa – teraz się mogłam przyjrzeć.

– Anja (tak, oni tu do mnie mówią jak do Rubik), mam problem. Mój brat miał w nocy zawał. Wcześniej wziął szczeniaka. Zaszczepiony jest, załatwia się na dworze. Jutro przyjeżdża moja mama. Dzisiaj nie mam, co z nim zrobić, a w robocie nie dadzą mi wolnego.

– Przykro mi, nie umiem usypiać szczeniaków – odrzekłam spokojnie, ale nie mogłam zamknąć drzwi, bo włożyła między nie a futrynę rękę. W sumie to mogłam zamknąć drzwi, ale później jest dużo hałasu o nic, więc już tak nie robię ludziom.

– Dziękuję, wiedziałam, że się zgodzisz. Tu masz żarcie, tu miski i uważaj na spacerach, bo czasem szczeka na ludzi – powiedziała.

„Chyba nie jest na tyle pojebana, żeby się zgodzić?” – ustyszałam, jak jeden mój kot mówi do drugiego.

– No dobrze, ale tylko dzisiaj – odparłam niechętnie.

„Jednak jest” – to znowu koty.

Wzięłam toto z jej rąk i od razu odstawiłam na ziemię, żeby się przyjrzeć. Wyptoszowane to takie, brzydkie, z widoczną nadwagą, ale od kiedy sama przytyłam, to do tego się akurat nie czepiam. Poza tym, gdyby kogoś interesowało, w kolorze biszkoptowym, z klapniętymi uszami i wzdętym brzuchem. Każdy z Was pewnie widział kiedyś szczeniaka, to się nie będę rozpisywać. No oblech. Nie to co mały kotecek, wiadomo. Ten był ponoć rasy labrador. Czy, jakby to powiedziała większość naszych polityków, a nie tylko ten, któremu to przypisali – „rabrador”!

Jak tak biegł za mną do salonu, to sobie uświadomiłam, że nie spytałam, jak się wabi. „Nie szkodzi” – pomyślałam. „Sama ci imię wymyślę”.

Dalej to naszczekał mi na proszek do prania, pogonił koty, próbował zeżreć odkurzacz i przestraszył się swojego odbicia w lusterku Szeregowego. A gdy w końcu razem z kotami umościłam się z powrotem na kanapie, żeby obejrzeć resztę programu o strukturach w sycylijskiej mafii, to biegł pod moimi nogami za ogonem.

– Nazwę cię Debil – postanowiłam.

W południe wyszliśmy na spacer. Nie miałam do tej pory pojęcia, ile ptaków jest w okolicy, dopóki ich wszystkich nie pogoniłam. A gdy

postanowiłam przystanąć, żeby się zinalować, to Debil zżarł gówna. A ja puściłam pawia.

Jedynym plusem posiadania psa może być to, że jeśli tak wyglądają spacer, to miałabym zajebistą sylwetkę!

W końcu przstraszyła go gęś kanadyjska i w spokoju mogliśmy przystanąć przy okolicznym stawie. On był strauumatyzowany, a ja musiałam napić się wody.

– Pięknę są te gęsi, nie? – ustyszatał za sobą.

Co ja, kuźwa, mam za garbate szczęście, że gdzie nie pójdę, tam mnie ktoś zagada?! I wtedy wychodzą ze mnie z bólem te resztki kultury i odpowiadam:

– No.

– One są u nas już trzecią jesień. Potem będą przez zimę i odlecają latem.

– Na lato odlatają?

– Ptaki tak mają.

– No, niezupętnie. Odlatają na zimę, wiesz, tam, gdzie jest ciepłej. Inaczej jaki to byłby sens? – spytałam.

– Ja tam nie jestem pulmonologiem...

– Chyba ornitologiem. Pulmonolog to ludzki lekarz od płuc.

Chwila ciszy i westchnięcie gościa:

– Ale ty jesteś mądra, skubana!

Czuję w tym momencie, jak mózg mi się rozjebuje.

Nie, to nie był Anglik. To był Polak.

Siedzę sobie na ławce dalej, próbuję czytać, Julas śpi w wózku, Debil spod ławki obserwuje gęsi. Cieszę się ciszą.

– Nie wiem, dlaczego ludzie karmią je chlebem. Chleb im szkodzi, wiesz?

– Wiem – mówię. Odwracam się, a to na oko czternastolatek uśmiecha się do mnie szeroko.

– Moja mama kupuje dla nich suszone winogrona. Są nawet tańsze niż chleb. Taka paczka kosztuje sześćdziesiąt pensów.

– Masz na myśli rodzynki? – próbuję uściślić.

– Nie, nie rodzynki. Suszone winogrona.

– A jak wyglądają te suszone winogrona? – pytam.

– No, takie małe, brązowe, pomarszczone. Słodkie są.

– Jak rodzynki? – podpowiadam z resztką nadziei.

– No. Ale to nie są rodzynki, tylko suszone winogrona – mówię.

Ostatnia komórka mózgowa, która przeżyła wybuch po rozmowie z Polakiem, postanowiła w tym momencie zastrzelić się. Żegnaj się

z chłopcem pospiesznie i idę do domu. Po drodze Debil oszczekał starszkę.

Późnym popołudniem wraca Siara. Wchodzi, gdy zmieniam sweter na cieplejszy. Debil zaczyna na mnie warczeć. Zatrzymuję się w pół ruchu. Odkładam sweter. Przestaje. Ubieram. Warczy. Odkładam. Przestaje. Warczy na sweter.

– Z czego jest ten sweter, na który on warczy? – pyta Siara, obserwując sytuację.

– Z lumpeksu.

– Co???

– A wcześniej to z Chin. Wszystko jest teraz z Chin – odpowiadam filozoficznie, kątem oka patrząc na psa.

– Mój Bobrze! Nie skąd, a z czego, pytam! – ponawia pytanie Siara.

Na swoje usprawiedliwienie mam to, że przez chłopca od rodzynek zastrzeliła mi się przecież ostatnia komórka mózgowa.

– Nie wiem, nie znam się. – Nie dotykając za bardzo swetra, próbuję przeczytać metkę, po czym mówię: – „Mohair” jest napisane.

I w tym momencie, zanim Siara zdążył się odezwać, sptywa na mnie ośnienie!

Stodki Bobrze, ten pies nie lubi moheru!

Jesteśmy sobie przeznaczeni!

Ze wzruszenia łzy mi niemal poptynęły. Szkoda, że Siara musiał wszystko zepsuć, bo zawołał:

– Ty widziałaś, co ten kretyn w przedpokoju zrobił? Pół kapcia mi zeżart!

A potem to była straszna awantura. Chyba przez ostatnie 10 lat żeśmy się tak nie pokłócili.

Ale nikt, powtarzam: NIKT nie będzie tego szalonego grubaska, tego puszystego huncwota, tego psiego przystojniaczka, ciociuńki kochanego Moherka nazywał „kretynem”!!!

Królowa życia

Matko, jak mnie wczoraj ten Siara wyprowadził z równowagi! Też tak czasem macie, że jesteście Królową Życia i wtedy przychodzi stary i się odzywa?

Wszystko zaczęło się od tego, że Wasza Andzia dziś znowu poczuła w sobie Żizel, która chce się uwolnić. Choć, jak wiecie, to się nigdy dla mnie dobrze nie kończy. Niby też to wiem, ale jednak nadzieja umiera ostatnia. W każdym razie w tej fazie tradycyjnie siadam do jutuba. Naoglądam się tych filmów profesjonalnych makijażystek, a potem idę w ich ślady. Znaczą maluję się zgodnie z instrukcją, a nie, że zostaję makijażystką. No, prawie zgodnie z instrukcją, bo trochę innymi kosmetykami – za kwoty, które one wydają na pędzle, ja kupuję samochód. No i też dlatego, że one przed zrobieniem makijażu już wyglądają jak modelki z Victoria's Secret, a obawiam się, że nie ma takiego pudru, aby u mnie osiągnąć ten sam efekt.

Ale to nie znaczy, że poddam się bez walki, co nie?!

Najpierw odtuszczenie paszczy, nawilżenie, baza, faza, podkład sypki, podkład mokry, podkład w kamieniu, podkład w pumeksie, fluid, korektor, puder, na koniec olejna.

Potem przychodzi czas na oko. Nakładam jasny cień, mieszam ciasto naleśnikowe, zwalam dzieciaka z łóżka. Naturalny cień na „powiekie ruchomą”. À propos! Jaką one tam mają terminologię! Ja pierdziele!

– ...i zostawia na skórze świetlisty film!

Nie może jak normalny człowiek powiedzieć, że facjata ci się będzie błyszczeć. No nie może! To nie brzmiatoby ekskluzywnie, a tak można poczuć, że „makijoznawstwo” to jeden z programów NASA. Zwłaszcza jak kontynuuje:

– A teraz sięgamy po cień Mac3879865KBT.

Ja pierdołę.

Po naturalnym cieniu na ruchomej powiece przychodzi czas na ciemniejszy cień i ponowne zwalanie dziecka z łóżka. Tym razem dosłownie. Przerzucam naleśnika na talerz, za pierwszym podejściem próbuję ciasto nabrać zalotką, a do oka przykładałam chochlę.

W końcu trafiam, po tej zalotce to rzęsy mam tak podkreśnione, że z resztą włosów mogę je zebrać w koński ogon. Wszystkich popędzam. Napieprzam tuszem. Kolejny naleśnik i w akcji eyeliner. Patrę do lustra – ja pierdziele! Może od razu nie rozpędzajmy się z „Playboyem”, ale wyglądam jak z gazetki Biedronki! No gwiazda! Takie wyraziste to oko

się zrobiło, mocny ten makijaż, ale piękny! Nie mogę dłużej siebie podziwiać, bo dzwoni telefon...

Dzieci jedzą śniadanie, ja tam sobie rozwiązuję śliniak, co go ze starej koszulki zrobiłam, żeby się ciapajdami na bluzkę nie usyfić. Kończę rozmowę, a potem kurcgalopem do szkoły. Po drodze mijam sąsiadkę.

Zauważyła!

Aż się obejrzała!

Pod szkołę przyszliśmy pięć minut przed otwarciem bramy. Wszyscy udają, że się na mnie nie gapią. Jako gwiazda z gazetki Biedronki rozsyłam promienne uśmiechy i odrzucam do tyłu włosy.

Gdy odstawiam Stiflera pod klasę, lecę tradycyjnie nad morze z Szeregowym. I tam właśnie go spotkałam. Na deptaku. Szłam sobie z wózkiem, a z naprzeciwka szedł on. Taki gość mniej więcej w moim wieku, z kubkiem kawy ze Starbucksa. I gdy już się prawie minęliśmy, to on podniósł wzrok znad komórki, spojrzał się na mnie i było niemal namacalnie widać, jak go jaki Amor pierdolnął. Żrenice mu się zrobiły takie, jakby od maleńkości jego mama, przygotowując mu butlę, myliła kokainę z mlekiem modyfikowanym. Na twarzy miał po prostu wypisane: „Wow!”.

Ale takie naprawdę: „ŁAAAAAAAAAAŁ”.

Takie: „O, motyla noga!”, „O, psia kostka!”. I jeszcze takie solidne: „Ja piórkuję!”.

I jak cieszył michę! Jak on cieszył michę...

Najpierw nie byłam pewna, czy to mój urok, czy może to Maybel-line, ale potem doszłam do wniosku, że jedno i drugie.

No rejczel!

To sobie myślę: „No wiem, normalnie jak gwiazda z gazetki Biedronki! Dobrze, że już w Polsce nie mieszkam, bo jak nic Stawomir by mnie do teledysku zgarnął”.

Mijamy się, a ten się bezwstydnie gapi. To ja myślę dalej: „A weź przestań, głupolu jeden. Ja mężatką jestem, ty... ty hultaju! Czworo dzieci mam! No ja rozumiem, że się nie możesz powstrzymać, aż sama żałuję, że nie mam się w czym przejrzeć, tak mi ładnie wyszło. Jutro też taki makijaż sobie zrobię”.

I jeszcze kątem oka widzę, jak ten łobuz się za mną odwraca. No rzuciłam go na kolana. Dostownie. Trochę też dlatego, że go potrąciłam niechcący i mu jakiś kajet z ręki wypadł.

Wracałam potem okrężną drogą. Paradowałam przez miasto i patrzyłam, jakie wrażenie na ludziach robię. Wbiłam w końcu na dzielnię. Wrzucam wózek do domu, bo nawet na chwilę nie mogę go zostawić na dworze, gdyż albowiem mi go kot sąsiadów obszczywa. I kotem zahaczam o futrynę. Szarpię się zatem z tą landarą, na to przyleciał

z czeluści chaty Siara, sprawdzić, co się dzieje. Jak przyleciał, to nie zdążył się obrócić bezszelestnie. Zauważyłam go, musiał mi już pomóc, wiadomo. No i wtedy właśnie nieziemsko wyprowadził mnie z równowagi, tymi swoimi głupimi pytaniami:

- A co to za makijaż?
- Z jutuba.
- Jakiś nowy trend?
- Normalny.
- Jak normalny, to dlaczego masz pomalowane tylko jedno oko?

Uważaj, czego pragniesz

Ostatnio rozmawiałam z koleżanką o medycynie estetycznej, najpierw tak ogólnie, a potem zeszło na powiększanie ust.

– W sumie to mogłabym mieć większe usta – stwierdziłam krytycznie, po czym dodałam: – Ale jakoś nie czuję potrzeby nastrzykiwania ich czymkolwiek.

– Jeśli nie czujesz potrzeby nastrzykiwania, a równocześnie chciałybyś mieć większe usta, to może spróbuj bardziej chcieć – zażartowała koleżanka, używając prawdopodobnie najgłupszej frazy z asortymentu kotczów.

Na drugi dzień obudziłam się i od razu wiedziałam, że coś jest nie halo. Gdy jak co rano ciężko westchnęłam, poczułam, że bolą mnie usta. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że z tą kumpelą rozmawiałam tuż przed snem, pierwsze, co mi przyszło do głowy, to fakt, że te usta mi się jakoś dziwnie powiększyły.

– Eee, niemożliwe – zganitałam siebie na głos, równocześnie dyskretnie robiąc dziubek.

I mimo że umiem tylko taki kaczy, to i tak moja górna warga dotknęła nosa.

Stodki Bobrze, TO SIĘ NIE DZIEJE!

O, psia krew!

O, w dupę jeża!

O, ja pier-do-lę!

Powiem Wam, że to był jakiś matrix.

Leżałam tak dobre dziesięć minut i pierwszy raz w życiu bałam się iść do łazienki, żeby sprawdzić w lustrze, co jest grane. No, drugi raz. Pierwszy raz był w zeszłym roku, jak mi odjechało i kupiłam sobie bikini.

Jestem racjonalistką. Nie wierzę w żadnego boga, nie chodzę do wróżek, nie wierzę w zjawiska paranormalne i w moc jasnowidzów, śmieszy mnie nawet pierdololo kotczów, a tym bardziej nie wierzę w magię. Już w przedszkolu, gdy pani opowiadała nam bajki, jako jedyna z grupy Biedroneczek, krzyczałam:

– Nie pierdziel! To jakaś ściema! Nie ma żadnych smoków! Niech ktoś przyniesie alkomat...

Nawet nigdy nie miałam jakiegoś specjalnego farta!

A teraz leżałam w łóżku i przecież czułam, że te usta są autentycznie dużo większe. Z dnia na dzień! Bez żadnej ingerencji z zewnątrz!

I jak to racjonalnie wytłumaczyć?! Co ja powiem Siarze?! Ludziom?!

Wszyscy pomyślą, że zwariowałam!

Jeszcze bardziej.

W końcu wstałam. Doczłapałam się do tej łazienki. Zamknęłam oczy, weszłam po omacku, wzięłam głęboki oddech, odliczyłam w myślach do trzech i otworzyłam oczy.

I powiem Wam, że wszystko jest w porządku. Magia nie istnieje, nadal nie mam farta, gadki kołczów o kant dupy potłuc, a z dnia na dzień znacznie powiększone usta jednak da się racjonalnie ludziom wytłumaczyć.

Otóż, Drodzy Państwo, po prostu wyjechało mi opryszczkę na pół ryja.

Nowy wymiar sztuki

Rozmawiałam dziś z koleżanką, która stwierdziła, że moda to sztuka wyższa. To mi rzuciło nowe światło na starą sprawę, a mianowicie na moje kompletne niezrozumienie świata mody. Bo gdy słucham znanych projektantów czy stylistów, to notorycznie czuję się, jakby ktoś chciał mnie zrobić w bambuko. Zdaje się, że jako prosta kobieta nader często tak mam przy wysublimowanej sztuce.

Kilka miesięcy temu miałam wrażenie, że tą chcącą mnie zrobić w bambuko była jedna celebrytka, która twierdziła coś, z czego wywnioskowałam, że ma znaczenie, w jakich ciuchach kupujemy maślanke w Tesco. I że ona, gdyby dajmy na to mnie w takich niemodnych ubraniach zobaczyła, to by ze swoją maślanką stanęła w innej kolejce. Bo bałaby się, że przy mnie ta jej maślanka jeszcze bardziej się zwarzy. Tak mną wstrząsnął ten wywiad z nią, że teraz zawsze pilnuję, żeby nawet skarpetki mieć jednakowe. Ja tam nie wiem, czy na tych salonach się butów nie ściąga, a wolę być przygotowana na wszystko. Nawet na to, że mi ktoś będzie próbował wmówić, że kreacje tej pani, gdy do szpilek nosi jakieś takie wdzianka, które najbardziej przypominają mi dresy kreszowe niemieckich emerytów na wycieczce w Gdańsku, są gustowne i ładne. Zresztą może i są. Nie wiem. Nie znam się. Zarobiona jestem.

Gdybym miała wskazać swoje zwierzęce alter ego w świecie mody to byłby nim węgorz elektryczny. No wiecie, są na przykład wieloryby, których nie sposób nie zauważyć. Są rekiny, które się wiecznie czają, żeby wyptynać agresywnie na szerokie wody. A ja jestem właśnie węgorzem elektrycznym, co w praktyce oznacza, że jak komuś się nie podoba mój sweterek, to go mogę kopnąć. Ale żeby nie było, że jestem taką kompletną ignorantką – naprawdę kiedyś próbowałam to wszystko zrozumieć. Był czas, gdy się zaparłam i przez tydzień na jakimś modowym kanale oglądałam pokazy od różnych projektantów. I po takim jednym wysnułam nawet pewną teorię. Otóż to musiało być tak...

Im tam, za kulisami, jarzeniówka zaczęła migać. Wiadomo, że takie miganie jarzeniówki jest niesamowicie wkurwiające, zatem w końcu ten Jean Paul czy inny Georgio zawołał elektryka. Traf chciał, że polskiego. Pana Zdziśka, tak konkretnie.

Panu Zdziśkowi drabina się chybotąta, więc zgarnął jedną z modelek na bok i mówi:

– Czymaj mnie drabinę, kierowniczo.

A potem podał jej jeszcze do potrzymania obudowę do jarzeniówki i samą jarzeniówkę, tę już prawie przepaloną. A jak już tak stała, a pan Zdzisiek był tak wysoko, to przy okazji postanowił zerknąć na żarówkę w lampie obok, a żeby to zrobić, to modelce na tęb nałożył abażur. Bo przecież ręce miała zajęte.

Na to wchodzi pasterz... znaczy ustalmy sobie od razu, że ja z terminologią jestem na bakier i nie mam pojęcia, jak nazywa się ten typ, co tam modelki po tym wybiegu pogania... W każdym razie wchodzi i krzyczy:

– Żizel, teraz twoja kolej! Żizel, szybko! SZYBKO!

No i ta głupia, zamiast to wszystko odłożyć, to lezie na ten wybieg, jak stała. Nie wiem, kurna, dlaczego. Spanikowała może? Albo nie dojadła tych wacików do demakijażu, którymi one się tam ponoć żywią, i jej się myślenie odłączyło. No nie wiem. W każdym razie idzie tak po tym wybiegu, zarzucając nogami, jak gdyby koleżankę z przodu chciała kopnąć. Jarzeniówkę trzyma u dołu, obudowę ma opartą o dyrkę, a na dyńce popierdala z abażurem.

Na drugi dzień Jean Paul zbiera owacje na stojąco, bo w gazetach napisali, że jeszcze nikt takiego przekazu dotyczącego upływającej młodości nie wymyślił!

„Rewolucja w świecie mody!”

„Genialny projektant!”

„Jean Paul rzucił krytyków na kolana”.

I tylko pan Zdzisiek w ciężkim szoku dzwoni do żony i mówi:

– Jolka, ty nie uwierzysz, co tu się odjebało...

Od razu zaznaczę, że tej popularnej mody, takiej dla mas, też nie rozumiem.

No bo tak – lecis do sklepu po spodnie z frędzelkami, bo wszyscy na dzielni już takie mają, tylko nie ty i ta wieśniara Helena spod 4a. Trzy miesiące później wywalasz całkiem dobre spodnie, bo tylko ty i Helena spod 4a jeszcze je nosicie. Reszta nie ma przy nogawkach już frędzelków, tylko jeden dzyndzel z cyrkonią. Cztery lata później kupujesz sobie znowu takie same spodnie, bo zgadnij co?! Tak jest! Frędzelki wróciły na dzielnię!

Bo moda ponoć wraca. Osobiście z utęsknieniem czekam, aż minie trend konsumpcjonizmu i nadejdzie moda na zdrowy rozsądek.

Co to za paranoja?!

Kto zmienia dobrą garderobę tylko dlatego, że przestały być modne paski, a zaczęły kropki. Czy to ci sami ludzie, którzy kupują specjalne urządzenia do gotowania ryżu albo jajek?!

Dalej, jeśli chodzi o sztukę, to dość często nie rozumiem poezji, o czym – zdaje się – miałam okazję już Wam pisać.

Podaję przykładowy wiersz:

*Lodówka, pralka, telemarketer z Orange,
pusty strych
Błękitne niebo, kakao, życie.
Dwie wsuwki do włosów. Z nosa
Wszyscy kiedyś umrzemy.*

I od razu mówię – nie szukajcie autora.

Chyba że właśnie szlochacie w rękaw, poruszeni do żywego, i chcielibyście to dzieło opublikować w najnowszym zbiorze poezji. Wtedy napiszcie do mnie w sprawie tantiem.

Założę się, że gdybym dopisała pod wierszem jedno ze znanych nazwisk, to znalazłyby się asy, które pięć minut później miałyby ten tekst jako tapetę na pulpicie czy zdjęcie w tle na fejsie i pragnęłyby mieć go wyryty na nagrobku.

I tak właśnie byście się dali zrobić w bambuko!

Co do części klasyki literatury, którą ochoczo wciskano mi w szkole, mam odczucia nader często niczym Adaś Miauczyński. Kiedyś próbowałam dopytać moją polonistkę, o co chodzi, na czym polega fenomen niektórych pozycji, które wleką się jak flaki z olejem, są przegadane i zwyczajnie nudne. Do tego posiadają liczne wątki martyrologiczne, których szczerze nie cierpię...

Omawialiśmy akurat *Kordiana*. No i ona do mnie:

– Motyw cierpienia coś ci mówi?

– Mówi mi coś, przecież cierpię – odpowiedziałam. – Czytam i cierpię!

I się poczułam zrobiona w bambuko!

Jak ja sobie pomyślę, że multiplę zaprojektował jakiś artysta... No, na jakiegokolwiek boga, czyż to nie jest najlepszy dowód, że im się nie powinno do końca ufać?!

Weźmy takie malarstwo – to jest dopiero temat rzeka.

Jakiś czas temu weszłam do galerii, aby obejrzeć pracę znanej francuskiej artystki.

Drepczę sobie wśród tych obrazów – tu kreska, tam kropka.

Dwie kropki w rządku i jedna kreska.

Trzy kreski i kropka.

I kontempluję nad nimi, mniej więcej tak:

„Słodki, kurwa, Bobrze, serio ktoś za to płaci i wieszka w salonie?!“

Jednym słowem – niespecjalnie w moim guście ta twórczość była.

Po chwili zmiierzam w stronę wyjścia, mijam dwie babki, które stoją przy obrazie, tym z dwiema kropkami i kreską. Słyszę jak jedna do drugiej mówi:

– Czujesz? Ten obraz pachnie jagodami!

Przysięgam!

Jagodami!

Aż się dyskretnie obwąchałam. Cholera wie, czy w coś w nie „wdeplam” w końcu. One odeszły, a ja zatrzymałam się przy tym obrazie, żeby poczuć jagody. Nie poczułam, ale oczywiście wysnułam na jego temat teorię...

Brygida siódmy miesiąc nie miała weny. Męczyły ją pytania, które zostawały bez odpowiedzi: „Dokąd zmiierzamy?”, „Co jest po śmierci?”, „Dlaczego ludzie bywają bezinteresownie okrutni?”, „Jak można wpierdzieć ślimaki?”. I takie tam inne.

Dzień zaczął się ciulowo. Rozstawiła sztalugę i patrzyła z rezygnacją na czyste płótno. Nagle jej wzrok powędrował nieco dalej, na ręcznie malowany stolik kawowy z baobabu, na którym leżał stos korespondencji. Umoczyła pędzel w farbie. Spojrzała na płótno. I znowu na stolik. Minęła sztalugę i podeszła do stolika. Otworzyła pierwszy list. Z elekrowni – prąd znowu podrożał!

– Noż, kurwa, nie do wiary! – zezłościła się. – Czy te ciule myślą, że ludzie śpią na pieniądzach?! AAAAAAAAAAAAA! – zaczęła krzyczeć. – Pieprzę to malowanie, zatrudnię się w Carrefourze!

W zamyśle Brygida chciała rzucić pędzel tam, gdzie leżały farby. Niestety rzuciła jeszcze gorzej, niż malowała, więc zanim pędzel upadł na ziemię, to trafił w ścianę, rykoszetem w płótno, a już upadając, podbił do góry resztę farb, które rozchłapały się absolutnie wszędzie.

Na to weszła jej przyjaciółka Agata, koneserka oraz krytyk malarstwa, i od przogu wykrzyknęła:

– Bhygida! O mój Boże! Ten obraz jest przepiękny! Taki świeży! To jest zupełnie inne spojrzenie na menstruację niż do tej pory! Jesteś genialna! Czujesz to, Bhrygida?! Czujesz?! Twoje dzieło pachnie jagodami!

Tak to musiało być! Jestem tego prawie pewna!

Słuchajcie, żebyśmy się źle nie zrozumieli, ja absolutnie nie chcę nikogo urazić. Wiem, że od zawsze tak było – ludzie dzielili się na tych podtych realistów i tych głęboko uduchowionych. Terminatorów i wrażliwców. Szkiełko i oko w kontrze do czucia i wiary.

Zawsze na świecie byli ci, co wierzyli w zjawiska nadprzyrodzone, i ci, co mieli z nich bekę. Tacy, którzy kochają magię, i tacy, którzy jak

popatrzą na polityków, to mają dość iluzjonistów po wsze czasy. Tak jak i od zawsze na świecie istnieją ci, co kupują urządzenia do gotowania jajek, jak i ci, co używają po prostu rondla. Typ romantyczny i typ, co ma w sobie tyle romantyzmu, co tarka do pięt.

Ja jestem tarką, terminatorem, nieuduchowioną, podłą realistką, co wybiera szkiełko i oko. I nic na to nie poradzę. Dodatkowo prawdopodobnie w moich żyłach płynie nieco cebuli z domieszką majonezu, najpewniej po dziadku, którego pocztówki do rodziny nadawane z sanatorium brzmiały:

Moi drodzy,

kupiłem dziś na śniadanie dwie butki po pięćdziesiąt groszy każda, serek topiony za złoty dwadzieścia i jednego pomidora malinowego za złotówkę.

Pozdrawiam,

Tadeusz

Zatem to naprawdę nie moja wina, że gdy czasem ludzie zachwycają się tzw. sztuką wyższą, to bywa, że ja się czuję robiona w bambuko! Wydaje mi się, że ci cali krytycy, to nierzadko nic innego jak banda snobów i towarzystwo wzajemnej adoracji, które stale wykrzykuje:

– Cóż za odwaga!

– I ta brawura!

– Wspaniała tekstura! Niezwykła forma!

– A zwróciliście uwagę na głębię kolorów? Ten brąz... brrrr... mam ciarki!

– Czy tylko ja czuję jagody?

Podczas gdy tak naprawdę w ich głowach czai się jedno nieśmiałe, choć niezwykle ważne pytanie:

– Koledzy i koleżanki, czy my właśnie stoimy i zachwycamy się kupą?

Jednorożec

Zazwyczaj po zakupy chodziliśmy w niedzielę, ale w niedzielę są straszne tłumy, a my unikamy tłumów jak polscy kierowcy kontroli drogowej pierwszego listopada, więc do Tesco pojechaliśmy dzisiaj. Znaczący w sobotę. Na spokojnie.

Mąż mój zaparkował na dworze, pod niewielkim mostem konkretnie. A później wyszedł z samochodu i – chciałabym to napisać jakoś delikatniej, ale zdaje się, że się nie da – no więc deklek przyjechał w jeden z filarów.

Pomogłabym mu, ale ciężko jest pomagać, gdy ma się skrzyżowane nogi i całą swoją koncentrację przekierowujesz na zapanowanie nad tym, żeby się nie posikać ze śmiechu.

Tak więc on stał zwinięty, trzymając się za głowę, a ja rozmazywałam sobie makijaż i jak na troskliwą oraz empatyczną żonę przystało, powtarzałam: „Mój bohrze, jak można być taką fujarą?!”. Do czasu, gdy zobaczyłam, że mu krew przez palce przecieka.

Wtedy grzecznie zapytałam, czy nic mu nie jest, a on najpierw dziwnie charczał, potem strasznie bluźnił i rzucał się po ziemi.

Ogólnie rzecz biorąc, to nie chciał odpowiedzieć. Ale spoko, nic poważnego mu się nie stało.

Jest nawet lepiej niż dobrze. Całą drogę powrotną licytowaliśmy się, kto się bardziej w życiu uszkodził. Bo ja na przykład piekąc ostatnio muffiny, wsadziłam do piekarnika po blachę rękę bez kuchennej rękawicy – miałam założoną ją na drugiej ręce, którą to z kolei trzymałam opartą na biodrze. Rzekłabym, że moje życie zmieniło się na około tydzień dokładnie o 180 stopni.

Wracając do Siary, to siedzi aktualnie przed telewizorem i pije piwo, a ja czuję się jak księżniczka.

W końcu mam swojego jednorożca. Obrażonego wprawdzie, ale jednak. Ledwo co mi burknął, że jest w agonii. Powiedziałam mu, że w agonii to jest jednoręki mężczyzna zawieszony na skarpie, którego swędzą jaja. Obraził się jeszcze bardziej i teatralnie się pokłada.

Normalnie czad. Bo teraz to nie dość, że mam swojego jednorożca, to jeszcze z manierą Jandy.

Debil

Na pobliskim placu zabaw są takie kamienie, dzięki którym można rozwiązać problem z ruszającą się jedyńką, która nie chce wypaść.

Znaczy, tak naprawdę to ja nie wiem, jakie ma być ich prawdziwe zastosowanie, ale my ze Stiflerem bawimy się, że są to skały. A środkowy to wytryskująca z wulkanu lawa. I że trzeba chodzić ostrożnie po skałach z daleka od lawy.

No, mniejsza z tym.

W każdym razie, jako że Stifler teraz do piętnastej siedzi codziennie w szkole, chodzę rano na plac zabaw z jego młodszym bratem. I podczas gdy Julas żre piach, liże metalowe słupki i nakłada sobie na głowę suchą trawę, czyli bawi się świetnie, to ja sobie łażę. I tak dwa dni temu, między kamieniami, zobaczyłam funta.

A wczoraj dwadzieścia pensów.

Dzisiaj pięćdziesiąt.

Powiecie, że to się zdarza, ale haaalo – w życiu nawet zeta w zdrapce nie wygrałam. To dla mnie w szóstej klasie na szkolnym jarmarku zabrakło nagrody pocieszenia! A w drugiej, jak zostałam wzorową uczennicą, to nie dostałam książki, bo się skończyły! To mnie w ramach współpracy na moim blogu zaproponowano 25 ml odżywki do włosów!

A tu taka passa!

Tak sobie przycupnęłam zatem na tym kamieniu i zaczęłam kombinować, że gdyby tak codziennie stamtąd hajs zgarniać, a później go odkładać, to góra osiemdziesiąt lat i będę bogata! W końcu!

No więc siedzę, a koło mnie bawi się dwóch małych chłopczyków. Nagle słyszę, co jeden mówi do drugiego, wskazując na kamienie:

– To jest moja skrzynia skarbów. Codziennie biorę z portfela od babci mały pieniążek i tam chowam.

Ponieważ myślami byłam przy rozpierdzielaniu tego grubego siana na respiratory i inne takie, bo za osiemdziesiąt lat to ja tych lat będę miała sto czternaście, więc tylko uśmiechnęłam się na słowa chłopca i pokiwałam głową.

Ja już, zdaje się, Państwu kiedyś mówiłam, że gdyby na moim gorszym dniu oprzeć losy ludzkości, to byśmy wszyscy do tej pory kwadrat toczyli, co nie?!

I tak siedzę, i myślami jestem przy brokatowym basenie (na siki), i stojaku na kroplówkę z kryształkami Swarovskiego, gdy nagle do mnie

doszło.

Matko bobrza! Ojebałam małego chłopca, który ojebał babcię!

Wygrzebuję zatem pospiesznie te pięćdziesiąt pensów z kieszeni i ciach! Dyskretnie wrzucam z powrotem między kamienie. Brakuje mi funta dwadzieścia. Szukam więc klepaków dalej. Nie ma. Przyznaję, wczoraj przejechałam wszystko na głupoty. Patrę do portfela – szesnaście pensów w monetach, reszta same papierki. Odzywa się we mnie wrodzony Scrooge, w końcu dzieciak okradał babcię! To byłoby zatem na tyle. Przecież nie mam! Idę sobie.

Dwa kroki odeszłam, myślę: „Dobra, niech stracę”. Wróciłam. Ten tam lata, szuka, a ja mu tym razem dyskretnie wrzucam papierową piątkę.

Krażę wokół kamieni, bo wrodzony Scrooge pilnuje. Patrę, czy młody znajdzie, bo jak nie, to gdy odejdzie, to te swoje pięć funtów zabiorę. Wiadomo.

Dzieciak szuka, szuka i nic.

– Ktoś mi ukradł moje pieniądze! – woła łamiącym się głosem do kumpla.

I siedzi taka załamana bida mała. Już mu się oczka szklą. Już mu się usteczka w podkowie wykrzywiają, gdy nagle zauważa mój banknot. Podnosi go. Od razu się promiennie uśmiecha. I do tego kumpla dalej mówi:

– Patrz, ktoś zgubił swojego piąta! To musiał być jakiś debil!

Dresik

Niezbadane są meandry dziecięcego toku myślenia i naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego wśród tylu chińskich sukienek i tureckich sweaterków w dzieciństwie najbardziej na świecie kochałam swój welurowy dresik z kotkiem w kolorze buraczkowym. Nosiłam go w świętek, piątek i niedzielę, nie dlatego, że nie miałam niczego innego, tylko dlatego, że chciałam. To był strój dobry na każdą okazję. Outfit, w którym czułam się jak Krystyna Loska i Mariah Carey razem wzięte. Nic dziwnego zatem, że zabrałam go i do babci na wakacje.

To, że zaryłam deklek o trzepak i plułam źwirem, nie było tak wstrząsające jak fakt, że przy upadku zrobiłam w spodniach od rzeczowego dresu małą dziurę na kolanie. Babcia myślała, że mam wstrząs mózgu, bo nie mogła poskładać w logiczny sens słów: „ukochany... dziura... to koniec”. Gdy jej się to w końcu udało, otrzepała mnie, otarła tży, opanowała magię pod postacią baniek puszcanych nosem, po czym powiedziała dobrotliwie:

– Nie martw się, babcia to zaczeruje tak, że nie będzie śladu po dziurze.

Zgodziłam się optymistycznie, bo nie miałam pojęcia, co to znaczy „cerować”, w końcu moja mama nauczyła mnie tylko trzech opcji, gdy coś się rozdarło. Pierwsza to zszywanie, druga to noszenie po domu, trzecia – wycieranie tym kurzu, zwłaszcza jeśli to były rajstopy bądź coś z bawełny. Cerowania, jak sami widzicie, w tym nie było.

Jak już wspomniałam, dziurka na kolanie była niewielka. Łata, którą stworzyła babcia, sięgała od połowy uda do tydki. Wyglądało to tak, jakbym wjechała jej na ambicję i ona postanowiła mi nową nogawkę tam wydziergać. Gdy oddała mi moje ukochane spodnie od mojego ukochanego dresiku i gdy ja zobaczyłam tę łatę, to...

No cóż, babcia była pewna, że to musi być jednak wstrząs mózgu.

Lew

To chyba przez to, że byłam wkurwiona.

Nie wiem.

Znaczy wiem, że byłam wkurwiona, bo Siara dostał mandat na trzy stowy i sześć punktów karnych za to, że nie ubezpieczył od razu samochodu. Bodajże w czwartek kupił nowy, a w sobotę policja go złapała i odholowała na parking policyjny. Oczywiście nowy dla nas, bo tak realnie to nad obiema tylnymi szybami odkryłam malowidła jaskiniowe z okresu paleolitu. Ale jakby co, to nie napisałam tego, bo potem będzie pierniczył, że się czepiam, a przecież śmiga i mało pali.

A jak ma, kufwa, nie śmigać i mało nie palić, jak on napędzany pewnie jak każdy samochód Flintstonów. Zresztą mniejsza z tym, bo tak naprawdę to dążę do tego, że na wkurwie to ja same głupoty robię.

Przykład? Proszę bardzo.

Kilkanaście lat temu piliśmy sobie spokojnie z Siarą drinki. Patrzą, a w moim coś tam się majta.

– Co, do licha?! – pytam i już jestem wkurwiona, bo nie lubię, jak coś mi się majta w drinkach.

A on mi tam od razu paluchy do szklanki wpycha i coś wyjmuje. No to jestem wkurwiona podwójnie, bo do tego nie lubię, jak mi się paluchy do drinków wpycha. A jeszcze bardziej nie lubię, jak się mnie okrada. Mnie się coś majta w szklance, więc to jest moje. MOJE jest. Chyba logiczne, co nie? No.

Tymczasem Siara się mnie pyta:

– Zostaniesz moją żoną?

– Dobra – mówię, nadal cała w nerwach.

Ten płacze gorzej niż na *Królu Lwie*, a ja myślę o jednym.

No, żesz w dupę jeża! No, psia mać!

– A jak bym się zakrzusiła?!

– Co? – pyta zaskoczony.

– Nieważne – odpowiadam. – Masz tu taką małą, ładną, szklaną kulkę. Jutro wrzuc ją do herbaty swojemu tacie. Niech też ma jakąś niespodziankę!

No i właśnie wczoraj, na wkurwie, byłam na placu zabaw z Szeregowym.

A na tym placu zabaw stał taki mały drewniany lew na sprężynie. Zatem próbuję wsadzić Szeregowego na tego lwa. On nie chce. Mówię:

– Chodź. Będzie fajnie. Pobujasz się.

Nic. Cisza. A potem dzida w drugą stronę.

„Siadę na tego lwa, pokażę mu, jak to się robi” – pomyślałam.

I siadłam. Zdażyłam tylko krzyknąć:

– Heeeej! Patrz na mamuuuu...– Ale nie zdażyłam dokończyć, bo, kuźwa, lew zemdłał, a ja poleciałam do przodu. Prosto na twarz. Na szczęście na taką miękką nawierzchnię, jakie bywają na placach zabaw. O drobnej fakturze. Wiem dokładnie, bo tak jeblałam, że mam nad prawym okiem ją odbitą.

Aż się sama siebie szeptem spytałam:

– Co to, kurwa, było?!

I za wuja nie wiedziałam, co zrobić.

Środek dnia, na placu full ludzi. Oczami wyobraźni już widzę, jak się śmieją. Myślę sobie:

„Spokojnie! Bez paniki! To wszystko się dzieje w mojej głowie! Na pewno nikt nie patrzył. Raz, że w Anglii ludzie nie są wścibscy. Dwa, że co ja? Szakira, że się będą na mnie gapić? Pewnie każdy zajęty sobą”.

No więc wstaję, łapię równowagę. Uśmiecham się takim wymuszonym uśmiechem. Takie, wiecie: „Ho, ho, ho, jaka wyluzowana jestem. Nic się przecież nie stało. He, he, he, he. Co drugi dzień tak ryjem wałę. Nie ma o czym mówić!”.

No, taka wewnętrzna Jolanta Pieńkowska. Niby sympatyczna, ale jednak nie do końca. I tak dyskretnie zerkam na tych ludzi.

Jak Bobra kocham, cały plac zabaw zamart. Wszyscy się na mnie gapią. Słyszę, jak pies zza ogrodzenia szepce do właściciela:

– Stary, widziałeś?! Lew pod nią zemdłał i ryjem o glebę zarypała!

Mój Bobrze! Toć ja czasem myślę, że gdybym sobie raz w tygodniu wiochy na dzielni nie narobiła, to bym była chyba chora!

Sami Państwo rozumiecie, że w takiej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak oczywiście udawanie, że tak właśnie miało być. A że głupia nie jestem, to wykoncypowałam, że tym razem odchyłę się tak trochę tylko do tyłu. No więc znowu:

– Hej! Popatrz na mamuuuu...– Po czym się delikatnie odchyliłam.

Jak ten zasrany lew niespodziewanie nie dotknie ogonem ziemi!

Jak ja równie niespodziewanie nie dotknęłam kolanem czoła!

Nawet, kuźwa, nie podejrzewałam, że się tak umiem złożyć!

Fit Matka Wariatka, może być ze mnie dumna! Przewrotu w tył nie robiłam od ósmej klasy, to przyznaję, że mi krzywo wyszedł. Ale za to jak ja się poturlałam!

No jak ja się poturlałam! A że w kiecce byłam, to jak się tak turlałam, to normalnie dzieciom oczy zastaniali.

Ale dlaczego Państwu o tym piszę?

A bo ja to zawsze taka trochę dupa wołowa jestem. Taka Karyna biznesu.

Rady po prostu potrzebuję, bo się na tej całej blogosferze nie znam i interesów nie umiem robić.

Teraz to już powinnam wypuścić płytę z ćwiczeniami czy jeszcze poczekać?

Mnie to w ogóle ostatnio kumpela zasugerowała, że dla zdrowia to mogłabym biegać. Chociaż na bieżni. Taa, kufa... chyba jak na końcu postawią barek.

Zresztą i tak po drodze pewnie trzy razy zdążyłabym się wyjechać.

Koniecznien jak wszyscy by patrzyli. Jak na jaką Szakirę, psia mać!

Mocy, przybywaj

W zasadzie codziennie, gdy Siara jest poza domem, piszę do niego SMS-y. Wiecie, takie tam: „Kocham Cię”, „Tęsknię”, „Buzi-łuzi”... Choć możliwe, że częściej jednak: „Jak będziesz wracał, kup mi bounty”, „Napijemy się dziś wina, a potem będziemy improwizować?”, „Zajedź na pocztę”. Czasami też: „Zieloną koszulkę będziesz jeszcze nosił czy wrzucić do prania? Leży na fotelu, a boję się powąchać”.

Tym razem było jednak inaczej, to on napisał do mnie pierwszy: „Mam coś dla Ciebie, bo Cię kocham”.

– Oho! – powiedziałam do siebie. – Ostatni raz jak słyszałam ten tekst, to dziewięć miesięcy później byłam na porodówce. Głupia nie jestem, nie dam się znowu nabrać. Nie odpisuję.

A ten tam dalej ciśnie swoje:

„Twoje koleżanki padną, jak to zobaczą”.

No to mnie zaciekawito, nie powiem. Jednak postanowiłam odpisać:

„Porwałś George'a Clooneya?”.

Chwila ciszy i przychodzi SMS:

„Lepiej”.

„Porwałś Ryana Reynoldsa?!”

W tym czasie Rihanna podpowiada w radiu: *shine bright like a DIAMOND*.

Pip, pip! (To sygnał dźwiękowy nadchodzącej wiadomości).

„Zrobiłem to coś dla Ciebie własnymi rękami! Jak Cię znam, to Ci się spodoba!”

No, tu już się zdradził! Od razu wiedziałam, co to jest!

Na wszelki wypadek jednak poukładałam w głowie jeszcze raz puzzle: zrobił coś dla mnie, z miłości, wykonał to własnymi rękami, będzie mi się to podobać, a moje kumpele padną z zazdrości.

Wiem! To proste!

Dostanę bimber!

Późne popołudnie.

Wchodzi do domu.

– To bimber! – krzyczę.

– Co? Jaki bimber? Porypało cię?! – Po czym wyciąga zza pleców to, co widzicie Państwo na zdjęciu nr 4, (ale nie kota) i dumny woła: – To drewniany miecz! I jeszcze pyta: – Podoba ci się?

No więc masuję skronie dość mocno, żeby sobie powiekę podciągnąć, co mi natychmiast opadła, i przyglądam mu się. A potem na

wszelki wypadek szeptem, bo czuję, jak mi zaraz ciśnienie tęb rozsadzi,
grzecznie mówię:

– Przypomnij mi, proszę, po kiego wata mi drewniany miecz?

Na co mój czterdziestoletni mąż radośnie odpowiada:

– Głupiaś! Zrobię taki drugi i będziemy się nawalać!

No przecież! Jak ja mogłam na to nie wpaść!

Ja pierdołę.

Zatem: „Na potęgę Posępnego Czerepu, mocy, przybywaj!”.



ZDJĘCIE NR 4: Na potęgę Posępnego Czerepu, mocy, przybywaj!

Miałam sen

Miałam sen.

Pewnie myślicie sobie Państwo, że to staby początek opowieści, zwłaszcza jak się nie jest Martinem Lutherem Kingiem. Ot, nic nadzwyczajnego.

Otóż nie!

A to dlatego, że ja nie śnię.

Kiedyś myślałam, że to przez ten mój wrodzony pragmatyzm, od pampersa. Że jestem realistką twardo stającą po ziemi. A potem skojarzyłam, że jak śpię te cztery godziny na dobę i do tego jeszcze wstaję do dziecka, to po prostu w fazie REM nie zdąży mi się nic przyśnić lub może po prostu nie jestem w stanie nic zapamiętać.

W niedzielę szarpnęłam się na całe sześć godzin snu, to od razu miałam projekcję jak od Tarantino.

Nie wiem, czy to kwestia tego, o czym ostatnio Państwu napisałam, że moja mama jest fanką Michała Szpaka, ale właśnie on mi się przyśnił. I mama też.

Konkretnie to mama namawiała mnie, żeby pójść z nią na koncert Michała. Jako że akurat wyjeżdżałam z kraju, gdy kariera Szpaka nabierała tempa i jego twórczości tak za bardzo to nie znam, to pomyślałam sobie, że kij tam. Co mi szkodzi, no nie?! Tym bardziej że nawet jak się próbuje robić własną karierę, to przy czwórce dzieci nadal najczęściej wybierasz się na tournée po okolicznych warzywniakach. A po 14 latach od tego, jak pierwszy raz zostajesz matką, masz taki syndrom sztokholmski, że niemal byłabyś w stanie zgodzić się pójść na koncert Martyniuka, byleby tylko wieczorem nie prasować.

I zdaje się, że to właśnie dlatego, jak już się dopchatyśmy z mamą pod bariery, jak już postuchałam trochę, jak ten chłopak ładnie śpiewa, to postanowiłam w niego rzucić stringami. No, a co się będziemy szczytać?! Tak się ponoć robi. Nie wiem po co, ale skoro tradycja...

Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak robił, a swego czasu byłam nawet na koncercie Stachurskiego.

Od razu mówię, że byłam młoda, a koncert był darmowy. Nie oszczędzajcie mnie. I bez tego ciężko mi to pisać. Już chyba wolalabym przyznać, że byłam call girl albo że dublowałam Kasię Cichopek w *M jak Miłość*.

Zresztą teraz tak myślę, iż to, że w Stachurskiego nikt gaciami nie rzucał na tym koncercie, to akurat miało swoje logiczne wytłumacze-

nie. W ogóle dobrze, że nikt niczym w niego nie rzucił. Ale mniejsza z tym.

No więc stoimy sobie z mamą pod barierkami, ja wpadam na pomysł, co by w tego Szpaka gaciami rzucić. Zdejmuję je, rozkręcam nad głową, patrzę na mamę. Tak się śmieje, okiem mi mruga, kciukasy w górę. No to puszczam. I te stringi robią najpierw:

SZUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUU

potem:

SRUUUUUUUUUUUUUUUUUUUUU!

Wtedy dochodzi do mnie, co zrobiłam, więc rzucam się w stronę sceny. I tak w zwolnionym tempie krzyczę:

– Michaaaaaaatttttttt, uwaaaażaaaaajjjj!

Oczywiście jest już za późno! I Michał robi:

JEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEEB!

Bo gacie po prostu zmiotły go ze sceny.

Powiedzmy sobie szczerze, to jest strasznie szczupły chłopak, a ja eski przestałam nosić jakieś sześć lat temu, teraz mogłabym je ewentualnie założyć na ucho.

Zalega głucha cisza. Taką konsternację to ostatni raz widziałam podczas koncertu, jak Liroy zapowiedział kawatek „Chodź! Spierdalaj!” i nikt pod sceną nie wiedział, co ma zrobić.

Matka na mnie patrzy i mówi:

– Spokojnie, na pewno nic się nie stało, tylko nie panikuj! Zaraz to jakoś razem ogarniemy! Pamiętaj, że tobie nie wolno się denerwować!

„Pamiętaj, że tobie nie wolno się denerwować” – to ulubiony tekst mojej matki.

Co to jest, kufa, za tekst w ogóle?!

Obie wiemy, że mam astmę, tachykardię i mnie się nie wolno denerwować. I obie wiemy, że od małego, jak wstaję z łóżka, to już jestem wkurwiona!

No, taki rocznik!

Zaczyna się robić szum. Wszystkie oczy są zwrócone na mnie. Słychać sygnał karetki. W końcu pada gdzieś z oddali:

– Zabiła Michała! ZABIŁA MICHĄŁA!

Patrzę na matkę, szukając pomocy. Matka dwa kroki w bok i krzyczy:

– Ja jej nie znam! Tak tylko tu stałam!

Dalej to słyszę, jak ludziom obok opowiada, że „taka stara krowa i żeby nie znać swojego rozmiaru! Żeby tak barchanami rzucać w chucherko! To skandal!”.

I wtedy na scenę wychodzi Donatan. Moje zbawienie. I mówi:

– Proszę Państwa, proszę się uspokoić. Proszę nie panikować. To się zdarza. Teraz ja zastąpię Michała, dokończę za niego koncert i będzie-

cie się świetnie bawić.

Kątem oka widzę, jak moja mama robi się cała czerwona i zwraca się do mnie:

– A ten tu po co?

No więc jej tłumaczę, że to Donatan. Ratuje sytuację i będzie śpiewał dalej. Za Michała.

A wtedy ona:

– Donatan?! Za Michała?! Jeszcze czego! Trzymaj ty mnie pod ramię. Muszę zdjąć stringi...

Mogę się tylko domyślać, co było dalej, bo obudziłam się przerażona, powtarzając:

– Zabiłam Szpaka! Zabiłam Szpaka!

Na co usłyszałam zaspány głos Siary:

– Tobie też się zwierzęta śniły?

– Co?!

– Mówiłaś: „Zabiłam szpaka”. A mnie się z kolei śnił las widziany oczami borsuka!

I teraz – żeby była jasność – to nie jest opowieść o snach, proszę Państwa.

To jest opowieść o tym, co te chtopy mają w baniach?!

Co im się w tym korku od szyi gotuje?!

Prawie dwadzieścia lat razem! I przez tyle lat myślałam, że mój mąż śni normalnie o gotych babach. A tymczasem on, kufa, nocami po leśnych głuszach na borsuczych łapkach popierdala!

Kubek

Człowiek nie pomaga – niedobrze.

Pomaga – wychodzi na to, że też niedobrze.

Ale zacznijmy od początku.

Stifler dostał zaproszenie na urodziny kolegi, toteż udaliśmy się do sąsiedniego miasteczka, w którym jest taki wypasiony sklep z różnymi gadżetami, w sam raz na upominek. No i tak sobie łązimy między półkami, kiedy słyszę za plecami:

– Możesz mi pomóc, kochanieńka?

Odwracam się, a tam uśmiechnięta starsza pani na takim „harleyu” dla seniorów, które są bardzo popularne w UK, a my pieszczotliwie nazywamy je „pierdzioszkami”. No więc siedzi sobie ta pani i uśmiecha się, a ja jak normalnie nie lubię ludzkości, tak na widok takich pogodnych staruszek włącza mi się od razu tryb konsultantki z Avonu.

Pytam więc z równie szerokim uśmiechem:

– Jak ci mogę pomóc, złociuteńka?

Na co ona:

– Chcę zrobić wnuczce niespodziankę i kupić jej kubek. Taki wyjątkowy. Z jej ulubioną gwiazdą. Wiesz, ona ma dziewięć lat i naprawdę za nią szaleje.

– Mhm. – Pokiwałam głową z entuzjazmem, przypominając sobie, jak to było mieć 9 lat i szaleć za Pawłem Stasiakiem z Papa Dance.

– Tylko widzisz, kochanieńka, ja mam już swoje lata i zupełnie mi wyleciało z głowy, jak ta gwiazda się nazywa.

– Mhm – przytaknęłam w pełnym skupieniu.

– I tak sobie pomyślałam, że ty jesteś młoda, to mi pomożesz.

– O, kurwa. – Tego nie powiedziałam głośno, tylko sobie pomyślałam, bo ja naprawdę nie jestem dobra w te klocki. Z Kardashianek odróżniam tylko Kim. I to jak stoi z siostrami w rzędzie. Tytłem. No, ale na głos powiedziałam: – Mhm.

– To świetnie! – ucieszyła się starsza pani. – Powinno pójść łatwo, bo to ponoć bardzo znana piosenkarka. Melissa, to moja wnuczka właśnie, otóż Melissa mi mówiła, że ta gwiazda to zaczynała w programie Disneya. Wiesz może, jak się nazywa?

Normalnie poczułam się, jakby mi Hubert Urbański zadawał pytanie za milion.

Najlepsze jest to, że znałam odpowiedź! Wiedziałam! Byłam pewna! Kiedyś jechałam gdzieś samochodem i żeby nie puścić pawia (choroba

lokomocyjna), skupiałam się na audycji o gwiazdce Disneya, która stała się gwiazdą popu.

– Miley Cyrus! – wykrzyknęłam.

– Nie, nie ta – odpowiedziała starszka. – Ta druga.

I po milionie.

Skupiłam się najmocniej, jak umiałam, i dalej dumałam, a w tym czasie babcia Melissy postanowiła mnie nieco naprowadzić:

– Taka ładna, młodzietka. Ciemne długie włosy ma. Bodajże Latynowska.

„Jennifer Lopez?” – pomyślałam. Ale coś mi się od razu nie zgadzało, bo albo „Jennifer Lopez” albo „młodzietka”. Słuchałam więc dalej.

– Ona z tym..., tym chodziła. Z tym też znanym.

– No to mi nie pomogło – powiedziałam. – Oni, w tym show biznesie, to wszyscy się między sobą kottują jak Habsburgowie.

– No tak, to też racja. Ale mnie chodziło o tego, co to go wszystkie dziewczęta kochają. Taki młodzietki.

– Justin Bieber? – przeklełam.

– Tak! Tak! Ten! – Ucieszona od razu się ożywiła, miałam nawet wrażenie, że zaraz wstanie i zaczniemy tańczyć kongę. – No więc ta, o którą mi chodzi, to chodziła z Justinem Bieberem, kochanieńka.

No to ja, kurna, wracam do gry o milion, bo w tej audycji o Miley Cyrus mówili, że ona przyjaźni się z taką jedną, też ekskwiazdką Disneya, co teraz śpiewa, a w przerwach chodzi z Justinem Bieberem. Czy tam odwrotnie.

– Wiem, o kogo ci chodzi, złociuteńka. Już jej szukam.

Wertuję te kubki, a było ich tam od zajebu, musicie wiedzieć. I nagle – bach! Mam ją. Ciemne, długie włosy, uśmiechnięta. Wbrew pozorom – bardzo znajoma twarz. Pewnie media sporo o niej piszą. W każdym razie – to ona!

Podaję starszej pani kubek, ona mi dziękuje uprzejmie, ja jej mówię, że nie ma za co, ona, że jest, bo jej szalenie pomogłam, i sobie odjeżdża na tym swoim pierdzioszku do kasy, a my zmierzamy do wyjścia, bo Stifler postanowił kupić koleżkę grę w sklepie obok.

Ale powiem Wam, że jakaś taka dziwnie niespokojna byłam. Niby zapomniałam o sprawie, ale jednak wracałam myślami do tej pani, do jej wnuczki, do tego kubka. No i do tej piosenkarki. Dla spokoju ducha postanowiłam sobie ją sprawdzić. Odpaliłam zatem Google.

Na drugi dzień byłam z powrotem w tym sklepie. Tłumaczyłam młodej ekspedientce, że jak się pojawi u nich wkurwiona starsza pani na pierdzioszku, która będzie chciała wymienić kubek, to żeby jej przekazała, że ją przepraszam i że to nie było specjalnie. Ekspedientka widać

zauważyła moje przejęcie i zrobiło jej się mnie żal, bo postanowiła mnie pocieszyć opowieścią. Opowiedziała mi o starszym panu, który chciał kupić dla wnuczka koszulkę ze zdjęciem zespołu. Nie mógł sam jej znaleźć, więc poprosił obsługę o wskazanie t-shirtów zespołu „Blow job” (Robić laskę). Podobno w sklepie zapanowała lekka konsternacja i zaczęto dopytywać staruszka, czy na pewno zespół się tak nazywa. On te słowa powtarzał ze sto razy, raz nawet je wykrzyczał, ale za sto pierwszym razem chyba sam zważył i postanowił zadzwonić do wnuczka, „bo może faktycznie to tylko brzmiało podobnie”.

– I jak się nazywa ten zespół? – spytał ktoś z obsługi, gdy staruszek skończył rozmowę.

– No cóż. Aerosmith.

To mnie trochę uspokoiło. Błądzić jest rzeczą ludzką.

Mam nadzieję, że będzie to miała na uwadze i starsza pani, i rodzice Melissy, i sama solenizantka, gdy na kubku od babci, zamiast Seleny Gomez, ukáže jej się Sasha Grey.

Panterka

Czy jest tu ktoś, kogo przerażają teksty jego rodziców?

Już nawet nie chodzi o to, że moja mama stwierdziła, że mój najstarszy syn nie chce z nią oglądać filmów i złośliwie sprawił, że nie ma polskich napisów do niektórych seriali na Netflixie. Ani o to, że z godzinę słuchaliśmy monologu, że Siara źle wydrukował jej kartę pokładową, bo tam, „gdzie zawsze miała napisane, ile może wnieść bagaży, teraz jest jakaś reklama”. Nie chodzi mi też o jej starsze kawatki w stylu: „No jakoś dziesięć lat z tym guzem chodził i było dobrze, a potem poszedł tylko do szpitala i od razu ciach-pach i do piachu!”. Ale słuchajcie tego:

- A ja kiedyś utknęłam na szafce kuchennej!
- Gdzie utknęłaś, mamgo?!
- Na szafce kuchennej.
- A co robiłaś na szafce kuchennej?
- Weszłam tam, żeby posprzątać...

Tu mała dygresja, głupia ja, że też na to od razu nie wpadłam. Gdy przeprowadzałam się do UK, to na pięć miesięcy zostawiłam koty pod opieką mojej mamy i, kużwa, byłam niemal pewna, że jak zacznie z nich włoski zdejmować, wyczesywać, sprzątać pojedyncze kłaczki, to jak zostawiłam dwa dachowce, tak dwa sfinksy do mnie wrócą. Gdy zobaczyłam, że przyjechały owłosione, to tylko wyszeptalam do Siary:

- Patrz, peruki im kupiła!

No ale do brzegu. Mamusia mówiła dalej:

- ...a jak już weszłam na dolną szafkę, żeby z górnych zetrzeć kurz, to mi się taboret przewrócił i utknęłam.

- A dlaczego nie usiadłaś na blacie i się nie zsunęłaś powoli?

- Za płytki ten blat, żeby bezpiecznie tak zrobić. Pomyślałam sobie, że jak stary długo nie będzie wracał, to się wdrapię jeszcze kawałek wyżej, żeby usiąść na lodówce, bo przecież nie dałabym rady tak stać nie wiadomo ile!

Tu spieszę wyjaśnić, że moi rodzice mieszkają w kamienicy. Mieszkania wysokie na 3,30 metra. To tyle, jeśli chodzi o szczegóły techniczne. Teraz musi zadziałać wyobraźnia. U mnie zadziałała. Wyobraziłam sobie, jak ten stary w końcu już wrócił, jak wszedł do kuchni, jak zobaczył tę swoją starą na lodówce i, znając mojego ojca, spokojnie powiedział:

- Jak już tam siedzisz, to sprawdź, czy mamy jeszcze ogórki kiszzone, bo idę po fajki, to mogę po drodze kupić.

– Ale wiesz co było najgorsze?! – zapytała mama i nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: – To, że mnie tak z okna było widać! I jeszcze mógłby sobie ktoś pomyśleć, że ja chcę skoczyć!

Tu akurat obawy rozumiem, bo z taką jedną sąsiadką z dołu, to się mama nie do końca lubi. To znaczy to nie jest otwarta wojna, raczej ciche podjazdówki. Takie wiecie, jedna drugiej powie „dzień dobry”, ale jak przyjdzie co do czego, to uchwały wspólnoty o malowaniu klatki nie podpisze. Obgada z babą z warzywniaka.

Nie moja mama, żeby nie było.

Ta druga.

Moja mama brzydzi się plotkami i nie chodzi do baby z warzywniaka – właśnie dlatego, że ta jest plotkarą.

Moja mama, jak będzie chciała wyrazić swoją opinię na temat sąsiadki z dołu, to zrobi to z sąsiadką z góry. Po prostu.

W każdym razie istnieje podejrzenie, że w razie gdyby się sąsiedzi zbiegli, bo Danka z pierwszego piętra chce popełnić samobójstwo, skacząc z okna, to wiadomo, ludzie wotaliby:

– Nie, Danka, nie skacz! Daj spokój! Taka ładna środa!

A sąsiadka z dołu dartałaby ryja:

– Dajesz! Dajeeeeesz! Nie bądź pipą!

A w tym wszystkim moja mama krzyczałaby:

– Spieeeeerdalać! Kurz z górnej szafki tylko chciałam zetrzeć, brudasy! Człowiek w swoim domu już nie może nawet w spokoju na lodówce posiedzieć! Co za ludzie!

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że mama zapewne stałaby od stóp do głów ubrana w panterkę.

Kufa, to jest dopiero temat rzeka.

Postaram się Wam to zobrazować, żebyście mieli pełny wgląd w sytuację. Otworzyłam kiedyś jedną z szaf mojej mamy, bo mnie prosiła, żebym jej torebkę wyciągnęła czy jakiś szalik, już nie pamiętam. W każdym razie jak przesunęłam drzwi, to mnie odrzuciło na cztery metry w tył, bo byłam pewna, że się teleportowałam na safari i mnie zaraz jaki tygrys czy inny lampart wjebie. Długo musiałam nie wracać, bo mama jest przyzwyczajona, że jej dziecko jest bystre inaczej, a jednak przyszła sprawdzić, co się stało. A nawet spytała:

– Co się tak lampisz?

– Bo masz wszystkie ciuchy takie same! Wszystkie w panterkę!

I wtedy to się, kufa, zaczęło. Przysięgam, że ostatni raz tak oburzoną moją matkę widziałam, jak jej przekazałam, że ciocia Mariola mówiła, że moja mama nie umie robić naleśników. A musicie wiedzieć, że wtedy to naprawdę oburzona była. Naprawdę. Trzydzieści lat to Marioli wypo-

mina. Przypuszczam, że na urnie każe sobie wyryć: „Prochy Danki, która umiała robić naleśniki. PS Mariola to stara kłamliwa rura”.

Wracając do tematu, mama, żeby przekonać mnie, że te ciuchy nie są takie same, zaczęła mi je pokazywać:

– To jest koszula w panterkę ze złotymi guzikami, a to jest koszula w panterkę z czarnymi guzikami. Tu jest koszula w panterkę z czarnymi guzikami i żabotem. A tu jest koszula w panterkę, z czarnymi guzikami, żabotem i beżową lamówką. To jest koszula w panterkę, z żabotem i beżową lamówką, ale jakie są guziki?! No jakie?! Białe! A to jest koszula w panterkę, z kieszonką...

Dwie godziny później...

– ...i bez kieszonki, za to z suwaczkiem! Jak więc mogłaś powiedzieć, że „wszystkie takie same”?!

Czuję, że na urnie będzie drugie PS: „A Ania, moja córka, jest ślepym karakanem”. Zwłaszcza że przyczyniłam się do mamusinej rodzinnej ksywy „Peggy Bundy”.

Ale dlaczego Wam to piszę? Ano dlatego, że właśnie przytachałam coś ze sklepu.

Tak siedzę, patrzę na to i się zastanawiam, co to, kurna, tak właściwie jest?

Jaki dziki kot ma szare futro w cętki? Mimetyczna pantera miejska?

Ale w sumie jebać to! Nie to jest ważne. Ważne jest to, że – jak to mówią – gena nie wydlubiesz! Przed chwilą, stojąc w jaczce w dziwnej panterkę, krzyknęłam przez okno do najstarszego syna:

– Wstań z tego betonu, bo wilka dostaniesz!

Jak Bobra kocham, samo mi się wyrwało!

I wiecie co?! Już nie pamiętam, kiedy tak się śmiało!

Pewnie! Niech się śmieje! A jak się przestanie śmiać, to mu powiem, że takie niegrzeczne dzieci to zabiera czarna wółga...

Po publikacji tego tekstu dostałam wiele pytań od czytelników, jak moja mama zeszła z tej szafki kuchennej. Legenda mówi, że uratował ją jej mąż, a mój ojciec. Znaczy na początku wcale nie miał zamiaru jej ratować. Coś na zasadzie: „Se tam wlaźła sama, to niech se tam teraz siedzi. Będę mieć spokój”. Ale potem zgłódniał. A lodówki strzegł tak jakby bar-dzo wkurwiony smok.

W blasku stawy

Od ponad dwóch tygodni pizza złem tak, że nosa nie chce się wyściubiać z domu. Czasem jednak trzeba. Zwłaszcza jak spadnie we krwi poziom majonezu i człowiekowi się zachce satatki.

Podjechaliśmy do polskiego sklepu. Siara nawet z samochodu nie wychodził, a ja miałam tylko śmignąć po ogórki kiszone i dzida do domu. Ale nie moja wina przecież, że rzucili nową dostawę kosmetyków firmy Ziaja! No więc stoję sobie przy regale, oglądam, co tam mają, i słyszę szept. Patrzę i widzę przy lodówce z nabiałem parę, która jeszcze chwilę temu wyraźnie się na mnie lampiła, z tym że w momencie, gdy ja podnosiłam wzrok, oni od razu spoglądali gdzie indziej.

Spuszczam wzrok, ale czuję przecież, że się na mnie gapią, no głupia nie jestem!

Podnoszę. Oni szybko spuszczają.

Odwrociłam się tyłem. Popatrzyłam przez ramię.

Nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, ale ci od razu jeb – głowa w dół. Ja nie odpuszczam.

Oni siódmą minutę czytają skład makaronu. Nie oceniam. Miałam kolegę, który jeszcze w czwartej klasie sylabizował.

Myślę sobie: „O chuj im chodzi?!”. Ja naprawdę w tłumie niczym szczególnym się nie wyróżniam. Urodę mam przeciętną, ubrana też jestem normalnie – legginsy, japonki i kurtka zimowa, jak wszyscy o tej porze w Anglii. I tym sposobem doszłam do tego, że to – sorry – muszą być takie typowe buraki. Takie wiecie, co wlepiają gały i obgadują potem ludzi za ich plecami.

Weszłam za lodówki i tylko słyszę, jak się kłócą:

– Tak!

– Nie!

– Tak!

– Nie!

I nagle wyłażą zza winkla prosto na mnie.

Ja w tył zwrot, bo jarzeniówka zaczęła migać, a naoglądałam się w życiu tyle horrorów, że raczej unikam ganiań między sklepowymi alejkami przy migających lampach. Zapierdzielam chyżo w stronę kas, gdy nagle ona nieśmiało woła za mną:

– Nietypowa Matka Polka, prawda?

Zatrzymałam się.

A ponieważ stałam z otwartą buzią, nic nie mówiąc, ona postanowiła wykorzystać sytuację i powiedziała:

– Można zdjęcie?

Stało się. Ktoś mnie rozpoznał. A ja, psia mać, nawet ryja nie wypudrowałam! Oka nie zrobiłam! A legginsy to domowe i zmechaczone w kroku! A oni chcą zdjęcie! Ci przemili, kulturalni ludzie.

Wzięli mnie w środek, uśmiechnęli się promiennie, pamiętałam tylko, żeby nie mrugać i pozować z lewego profilu, bo mam lepszy. Cyknęli fotę w samą porę, bo od tego niemrugania strasznie mi oczy wyschły. Potem sprawdzili, czy zdjęcie wyszło.

Widać na nim było dwoje sympatycznych ludzi i jedną małpiatkę lori na sterydach, z wytrzeszczem, przyciskającą do siebie dwie kostki twarogu, paczkę krówek i ogórki kiszzone. Zatem moim zdaniem wyszło. Tak właśnie pragnę być zapamiętana!

A że i pierwszy szok zaczął mi mijać, to postanowiłam się odezwać:

– Jesteście moimi czytelnikami?

– Ja jestem! – mówi ona. – Ale czytam też czasem twoje teksty Robertowi i oboje się śmiejemy, nie Robciu?

– Tak, tak! – Robciu energicznie przytaknął.

– Jestem zaskoczona, że mnie rozpoznaliście, zwłaszcza że ja raczej rzadko pokazuję twarz – powiedziałam z dumą i wzruszeniem, które dosłownie zastygło mi na ryju, gdy tylko Robciu ponownie się odezwał:

– Ale Jola jest twoją wielką fanką! Czyta cię na Facebooku i jeszcze ma twoją książkę! I to dlatego. Wiesz, w tej książce jest twoje zdjęcie (zdjęcie nr 5)!

No serio, gościu?!

SERIO?!



ZDJĘCIE NR 5: - Wiesz, w tej książce jest twoje zdjęcie!

Nawet nie macie pojęcia

Wieje dziś z prędkością około 40 km/h. Wszystkie wysokie trawy uginają się solidnie, a i gałęziami drzew porządnie majta. Założyłam najmłodszemu chłopcom kurtki i czapki. Tuż za progiem zdjęłam kurtki. Cofnęłam się, żeby rzucić okiem na termometr. 21 stopni. Zdjęłam bluzę, założyłam okulary przeciwsłoneczne. I czapkę, bo po stu zapalegniach ucha, bardziej niż kolejnych problemów z uszami, boję się już tylko lekarzy pierwszego kontaktu i tego, że Mandaryna wróci do śpiewania.

Idziemy do szkoły. Znaczą ja i Stifler idziemy, Szeregowy jedzie w wózku. Jak nienawidzi czapek i opanował zdejmowanie nawet tych ze sznurkami poprzez robienie dziubka (robi dziubek, wtedy jego pulcyny stają się mniejsze, dzięki czemu może przecisnąć sznurek spod brody w górę i zdjęć czapkę), tak teraz trzyma się za głowę i sprawdza, czy czapeczka mu nie odleciała.

Pod szkołą 90% rodziców jest na krótki rękaw. Pozostałe 10% ma zimowe kurtki z futrzanymi kapturami. Jedna babka jest w kożuchu. Wszyscy mamy klapki, włącznie z babką w kożuchu. Gdy wchodzimy na dziedziniec szkolny, w ułamku sekundy z jedynej czarnej chmury na pięknym, błękitnym niebie zaczyna napierdzieć deszcz. Ulewa. Rozglądam się dookoła. Spośród wszystkich rodziców dwie osoby wyciągają parasolki, reszta nawet nie przerywa na chwilę rozmowy. Moknie, nic sobie z tego nie robiąc. Normalna.

Stifler biegnie do klasy, ja pod drzewo. Szamocę się z folią przeciwdeszczową do wózka. Niby prosta konstrukcja jak mózg dresa, ale jednak jak zaczyna łać i się człowiekowi spieszy, to założenie jej szybko i sprawnie urasta do rangi postawienia kosmodromu. W tydzień. Jedną ręką. Ale jest! Założyłam ją! Nareszcie, teraz biegniem do domu. Biegnę i biegnę jakieś pół godziny i widzę, po tych 100 metrach dalej, że tylko ja się spieszę, bo reszta idzie na luzie. I tylko moje dziecko jest pod folią. Zatrzymuję się. No, kuźwa, faktycznie nie pada. Ale wieje. A ja cała mokra, więc i tak przyspieszam, bo czuję, jak się z zimna trzęsę. Zresztą widzę, że nadciąga więcej czarnych chmur. Zziębnięta dochodzę do domu. Ściągam pospiesznie pranie z dworu. Wyżymam czapeczkę. Swoją.

A teraz siedzę sobie z lapkiem w kąciaku, owinięta kocem i bujam się.

Na dworze pełne słońce, 22 stopnie, ani śladu chmurki. Znowu jest piękne, błękitne niebo.

Wczoraj przeczytałam na jakimś forum, że Anglicy ubierają się jak buraki.

O, szczęśliwi ludzie, w klimacie w miarę stabilnej pogody!

Wy nie macie prawa nas osądzać!

Wy nie wiecie, kuźwa, co my tu przechodzimy!

Wtopa

To, że my kąpiemy się latem w jeziorach, jest dla Anglików tak samo dziwne jak dla nas fakt, że oni się w nich nie kąpią.

Jako Polka wzdycham za każdym razem, gdy mijam piękne angielskie jeziora. Nigdy nie zapomnę pierwszego razu, gdy nad jedno z nich pojechalśmy.

Lato, piękna pogoda, wszyscy domownicy mieli wolne. Wpadliśmy na pomysł, aby trochę poćwiczyć i padło na ojczysty sport narodowy – grillowanie połączone z kąpielą w jeziorze. Przygotowaliśmy się solennie. Nie zapomnieliśmy o niczym – grill z tym całym majdanem, stroje kąpielowe, parasol, kosz piknikowy, lodówka turystyczna, koce, leżaki, piłka, badminton, materac, zabawki plażowe dla dzieci. Jednym słowem: full wypas! Przeciętny tabor cygański zawiera średnio połowę mniej bibelotów.

Coś mi zaczęło śmierdzieć jeszcze w samochodzie, ale dmuchałam Stiflerowi kółko do pływania, więc tylko kątem oka przyuważyłam, że podejrzenie mało ludzi się kąpie. Tak dokładnie to nikt.

Wyszliśmy, wyglądając tak, że Zalewski ze swoim cyrkiem poczułby się onieśmielony. Wymieniliśmy między sobą uwagi, że Anglicy są przedziwnym narodem. Żar się z nieba leje, a ci zamiast wskakiwać do wody, to piknikują na trawie, spacerują wzdłuż brzegu czy kopią z dziećmi piłkę. To znaczy: piknikowali, spacerowali i kopali, bo w jednej chwili życie zamarło. Nawet wiewiórki przystanęły, wyjęły telefony i zaczęły nagrywać. I wszyscy się na nas gapią.

A my niezrażeni tak idziemy. Całym taborem. W tych strojach kąpielowych, kótkach, maskach, płetwach z rurkami, dierząc te wszystkie koce, parasole, lodówki, paletki, zabawki i oczywiście grilla.

I tak dochodzimy... najpierw do znaku „zakaz grillowania”. A zaraz potem „zakaz kąpiei”.

Dalej, po tym znaku, robimy w tył zwrot i powiem Wam, że całkiem możliwe, że wyjeżdżając stamtąd, złamaliśmy prawdopodobnie ograniczenie prędkości. Przez dwa lata się tam nie pokazywaliśmy. A najgorzej, że ponoć filmik wiewiórek do dziś krąży na jutubie.

Jamnik

Na początku, gdy zaczął we mnie celować komórką, byłam pewna, że to jakiś fan. Nieistotne, że jestem w cholerę kilometrów od Polski. Nieistotne nawet, że na moje oko facet miał azjatyckie korzenie i nie byłam pewna, czy mówi po angielsku, a co dopiero czyta po polsku. Jednak szłam brzegiem morza, to heloooot – tak na zdrowy rozsądek – z jednej strony ja, a za mną tylko zachód słońca na plaży. Zatem komu/czemu on niby miał robić zdjęcie?!

No wiadomo, że przepięknemu zjawisku!

Znaczy, rejczel, że mi!

I jak już byłam pewna, że to fan, bo się szczerzył co pięć minut do tego telefonu jak porypany jakiś, a ja od razu czułam, że w głowie kalkuluje, ile mu zapłacą za moją fotę ci z Pudelka.

I to wtedy mnie naszło! Ja pierdzielę! A jak to nie to?!

A jak się śmieje z wateczków?! Jak podstępnie zdjęcia robi, żeby potem kumplom pokazać z komentarzem, takim wiecie: „Patrzcie, chłopak, jakiego kaszalota na brzeg wyrzuciło!” Przyznaję, że tyle wystarczy, żebym znieubiła typu.

Ale wciąż na jego chamstwo nie miałam dowodów.

Idę więc dalej, jak gdyby nigdy nic. I nagle CIACH!

Jak Kung Fu Panda, jak pijany poseł za kółkiem sięgający po immunitet, jak błyskawica się odwracam i co widzę?! No! Akurat opuszcza telefon. Znaczy od tyłu mi zdjęcia robi. A jednak! Menda zakichana!

Więc ja znowu – SRU do tyłu! A on znowu – pyk, opuszcza telefon szybciotko. Gnojek jeden! Podzieliłam się nawet tym spostrzeżeniem z najstarszym synem, który właśnie nadjechał na rowerze:

– Patrz, co za ciul! Foty mi robi ukradkiem!

– Ale, mamoo...

– Żadne „ale”! Ty go nawet nie próbuj bronić! Wy, młodzi, to jesteście po prostu porypani z tymi telefonami! Wam się wydaje, że wszystko możecie! Zdjęcia robić komu popadnie, wszystko nagrywać.

– Ale...

– Żadne „ale”, mówię! A może ja tak zacznę łazić i obcym ludziom foty pstrykać?! To nie jest normalne zachowanie! Ale nie! Teraz gdzie nie pójdziesz, tam stoją z telefonami w rękach! Zamiast patrzeć, słuchać, przeżywać – napierdzielają zdjęcia! Bezmózgie zombie! Pytam koleżankę: „Jak była ubrana Grzeszczak na koncercie?”, a ona do mnie: „Czekaj, zaraz sprawdzę na zdjęciach, to ci powiem”. No, obtędl!

Końcówki syn nie słyszał, bo sobie odjechał, ale jak się nakręcę, to mi akurat nie przeszkadza, że do siebie gadam, bo przynajmniej nikt mnie dodatkowo nie wkurwia. Jak już się nakręciłam odpowiednio, to obróciłam się po raz trzeci, ten akurat trzymał telefon na wysokości naszych twarzy i dobrze się złożyło, bo mogłam od razu wylecieć z grubej rury:

– A mam ja ci tak zacząć zdjęcia robić?! Co ty sobie myślisz?! Że będziesz się później z kumplami śmiać z moich wateczków?! I uważasz, że to jest normalne?! Ile ty masz, człowieku, lat? Dziesięć?! Jazda, kasujesz te zdjęcia albo policję zaraz wzywam! A może ty jakiś zbok jesteś albo inny porywacz?! To ci od razu mówię, że ze mną żaden głupi numer nie przejdzie. Ty się lepiej zacznij modlić, bo jak...

I tu wtrącił się mój syn, który ponownie nadjechał na rowerze i głośno powiedział:

– Mamo, jechałem za tym panem. On sobie robił selfie.

Spojrzałam na syna. Uśmiechnięty, kuźwa, od ucha do ucha.

Spojrzałam na wodę. Tsunami nigdy nie ma, jak jest potrzebne.

Powiem Wam, że chyba pierwszy raz w życiu żałowałam, że nie trafiłam jednak na porywacza.

Długo myślałam, czy da się do czegoś porównać poziom zażenowania, który czułam. Czy jest ktoś, ktokolwiek, choć jedna osoba na świecie, która mogłaby się ze mną w tym momencie solidaryzować?

I gdy już miałam sobie odpowiedzieć, że nie, to przypomniało mi się! Jednak jest! Ten gość z *Najstabszego ogniwa*, który na pytanie Szczuki: „Jakie zwierzę widnieje na kostiumie Batmana?”, odpowiedział:

„JAMNIK!”.

Błysk pojeba

Kupiłam sobie boską sukienkę.

Seledynową, krótką, na ramiączkach, w drobne kwiatki.

Wiem, co się mówi – osoby przy kości nie powinny nosić kwiatowych wzorów – według mnie to guzik prawda. No bo tak: sukienkę w kwiatowe wzory założy jakaś chuda szprycha i co Wy tam widzicie? Nic! Stokrotek od tulipanów się nie odróżni! Materiał pozałamywany, bo tam plisy są wszyte, marszczenia jakieś i ogólna chujnia z bryndzą. Natomiast jak ja założę kwiatową sukienkę, mili Państwo, to Wy nie dość, że zobaczycie dokładnie, jaki to kwiat, to jeszcze jego pręciki, a nawet i te pylniki, czy jak to tam się nazywa, będziecie mieli okazję obcaić. Tak wszystko będzie naprężone!

No więc w tej pięknej, nowej sukience udałam się na plac zabaw, bo do nas ostatnio na kilka dni babie lato zawitało i było naprawdę ciepło. Stifler szczęśliwie angielski ma już na takim poziomie, że zawsze sobie znajdzie dzieci do zabawy. Postęp językowy jest widoczny, choćby po tym, że jak już sobie te dzieci do zabawy znajdzie, to teraz nie biega w przeciwnym do nich kierunku. A Szeregowy jak to Szeregowy – trochę się huśta, trochę ucieka, ale na ogół próbuje żreć kamienie. Póki co, jak to ujęła moja kumpela, mój syn nie czuje potrzeby obnoszenia się ze swoim geniuszem.

Stoję sobie tak zatem i jak robot powtarzam:

– Nie!

– Fe!

– Zostaw to!

– Wypluj!

– Pies na pewno na to sika!

A jak Szeregowy robi chwilę przerwy, to lustruję otoczenie, bo ja wręcz uwielbiam obserwować rodziców na placach zabaw.

Te miliony emocji wypisane na ich twarzach!

Od:

„A dlaczego za moich czasów takiego czegoś nie było? Spróbuję zjechać, póki nikt nie patrzy... Haliny to nigdy nie ma, jak jest potrzebna! Tyłek mi się zaklinował i sam teraz z tego nie wyjdę! Będę udawał, że buta wiążę. Won, won, gówniarzu, nie widzisz, że zajęte?!”

przez:

„Wejdz jeszcze raz zjeżdżalnią pod prąd, a ręka, noga, mózg na ścianie! Telewizję pozwolę ci oglądać najwcześniej na czterdzieste uro-

dziny!"

albo:

„Ciekawe, czy inni też widzą, że mój Bubuś ma spodenki, które polecała Maderfakerafaszion, te od Dżordża z Armenii? Na pewno wiedzą, bo tamta wsiórzycza, której dzieciak popyla w legginsach, cały czas się patrzy! OMG Bubuś wyrzwał kinolem prosto w poręcz i krew mu leci! Byleby spodenek nie poplamili!"

czy też:

„I jeszcze jedno ujęcie Łukaszka na Insta, jedno do albumu, jedno na ścianę, jedno do przesłania cioci Joli do USA, jedno dla babci do ramki na święta, jedno na fejsbunia na swoją tablicę. A nie, tu akurat czterdzieści dziewięć"

lub:

„No, rzuć do tatusia piłeczkę. No, śmiało rzuć! Tak! Brawo! Ej, ej, ale nie w ryj!"

po:

„Będzie fajnie – mówili. Macierzyństwo to świetna zabawa – mówili. Słodki, kurwa, Bobrze i pomyśleć, że mogłam leżeć teraz na lbizie z cymbkami nadal na wysokości klatki piersiowej..."

No mistrzostwo świata! Pierdyliard emocji! Prawie jak w grze w darta.

Stoję sobie tak i się dyskretnie rozglądam, gdy nagle do moich uszu dobiega:

– Juhu! Maniuś, popatrz!

Polacy! Już patrzę!

Od pierwszych chwil wiedziałam, że mają coś ze mnie i z Siary. Ona – pulchna blondynka, stoi na mostku linowym (jedna lina pod stopami) i trzyma się linowych poręczy. Z gracją. On tysy i brodaty. Bez gracji. Gdy zobaczył, co ona odpindała, od razu pojawił mu się w oku „błysk pojeba”.

Jeśli nie byliście nigdy w związku, to ciężko zauważyć to zjawisko, ale ja jestem żoną Siary od kilkunastu lat. Mam zatem doświadczenie. A Państwo je znacie? Druga połówka posiada?

Po tym błysku właśnie wiedziałam, że będzie jakaś akcja.

Wzięłam Szeregowego na ręce i przestawiłam go bliżej nich. W końcu co mu za różnica, gdzie żre te kamienie?!

Patrzę zatem na Manusia, a on hyc! I już też jest na mostku. Blondyna w pół drogi chwyciła się poręczy kurczowo, bo się chyba też kapnęła, co się święci. A Maniuś, z tym swoim „błyskiem pojeba” w oku, sru!

I zaczyna trząść mostkiem tak, że blondyna w jednej sekundzie straciła całą swoją grację, a wręcz na chwilę język jej wypadł z buzi

i widziałam jej lewego cycka niemal w całości!

– Maniek, popierdoliło cię?! Stary koń jesteś, a taki głupi!

Wiecie, Polonia na ogół się nie obcyndala. Mimo że jesteśmy najlicniejszą obcą narodowością na Wyspach, jest w nas taka przekora do logiki. Zawsze wychodzimy z założenia, że jesteśmy w danym miejscu jedynymi Polakami i nikt inny nie zrozumie naszych przekleństw.

A to zazwyczaj nieprawda!

Drugim moim hobby, gdy nie udaję wróbelka na placach zabaw albo złego wilka czy tam w razie potrzeb Deadpoola, jest wprowadzanie przeklinających publicznie ludzi w zakłopotanie i obserwowanie ich reakcji, które bywają przekomiczne. Chyba że się trafi na pięknych chłopców w patriotycznej na ogół odzieży, wtedy nie ma skrępowania tylko pytanie: „Krajanka? No, kuuuurwa, wiedziałem od razu! To musimy się umówić na wódkę i pieroga!”.

W każdym razie w takich momentach robię swój ulubiony numer, czyli stojąc bardzo blisko innych Polaków, wołam po polsku:

– Synuś, za pół godziny idzieemy!

To taka podpucha, żeby oni wiedzieli, że słyszałam i rozumiałam, bo akurat co Stiflera obchodzi, co będzie za pół godziny, skoro teraz może się bawić? On nie histeryzuje przecież na zaś!

A więc wiedzą. Widzę, że blondyna paruje uszami, ale z powrotem wróciła jej gracia. Maniuś nic sobie z tego nie robi i sru! Znowu trzęsie mostem!

Kufa, szczerze powiem, że nie sądziłam nawet, że można mieć tak nisko głowę w porównaniu do własnych barków!

Ale teraz, jak już wie, kto podstuchuje obok, to klasa musi być:

– Mariusz, ja cię proszę, przestań natychmiast! Bo zaraz spadnę!

Na co Maniuś woła radośnie:

– No! – Po czym z „błyskiem pojeba” dodaje: – I o to chodzi!

Opowiadam to koleżance i turlam się wrednie ze śmiechu! Z tego Manusia, z tego jej skrępowania, a przede wszystkim z tego, że nie tylko ja mam z Siarą takie Kongo.

Kumpela mnie słucha, słucha i nagle mówi:

– Ty, Anka, a to w tej sukience, co ją masz na sobie, tak się śmiałaś?

– No!

– A gdzie ty ją kupiłaś?

– W lumpeksie. A co? Fajna, nie?

– No, fajna, fajna. Też mam taką. Tylko ja kupowałam w Tesco.

I w niej śpię. Bo to góra od piżamy...

KARMA, TY PINDO!!!

Inspiracje

Pół życia byłam bardzo szczupła, często balansowałam na granicy niedowagi. Potem byłam po prostu szczupła, a po czwartym dziecku zostało tylko po prostu. Oczywiście nie ma co zwać tak od razu na czwarte dziecko, bo lody same się nie zżerają, podczas oglądania seriali wieczorami. Bardzo chciałabym opowiedzieć Wam o tym, jak to odwiedza nas regularnie ufo i wciąga, tą swoją wiązką ze spodka, wszystkie stodycze z szafki moich dzieci, niestety prawda jest zgoła inna. I widać ją jak na dłoni, zwłaszcza gdy usiądę. *Fun fact*: człowiek, gdy siada, przybiera taki specyficzny kształt czwóreczki, nie? No więc nie. Ja wyglądam jak ósemka z nóżkami.

To nie jest też tak, że człowiek jednego dnia zasypia jako Anja Rubik, ale już budzi się, nosząc rozmiar pięć razy większy. Choć oczywiście ludzie mają różne tempo tycia. Moje tempo to powiedzmy pół czekolady na odcinek serialu. A rzadko kiedy oglądam jeden odcinek. W każdym razie był oczywiście taki moment, że gdzieś tam po drodze zauważyłam, że mam problem z wagą.

Ona mnie nie lubi.

Mam problem z żarciem.

Lubimy się aż za bardzo.

No, że po prostu coś za szybko tyję. I to naprawdę nie jest tak, że ja Wam tu przy każdej możliwej okazji nadaję, że zawsze trzeba ufać nauce. Że jak medycyna, to konwencjonalna. Że trzeba słuchać specjalistów. A sama, jak przychodzi co do czego, to postępuję inaczej. O, nie! Ja jestem osobą honorową i stosuję się do własnych rad!

Zatem, jak już się kapnęłam, że ten problem z wagą zaczyna mnie dotyczyć, to po prostu wzięłam telefon w łapę i wykręciłam numer do specjalisty od żywienia, prawidłowej sylwetki i psychologii w jednym, po czym powiedziałam:

– Babcia, ja chyba jestem gruba! Buuuuuuu...

Na co po drugiej stronie słuchawki usłyszałam wzburzony głos:

– No masz ci los! Ania, kto ci takich głupot naopowiadał?! Karolina, ta zazdrosna lambadziara? Ty nie jesteś gruba! Ty masz grube kości! My wszyscy w rodzinie tak mamy! Nie gadaj więcej głupot, tylko przyjedź na pierożki.

– No nie wiem, babcia, nie wiem...

– Mam też galaretkę z owocami z kompotu...

– Nie jestem pewna, czy powinnam. Ja już w zasadzie po obiedzie jestem.

– ...i bitą śmietaną.

– No dobrze, skoro nalegasz, to już jadę.

Myślicie sobie pewnie, że skoro moja waga mi przeszkadza, to powinnam przestać jęczeć i wziąć się do roboty. Rzecz w tym, że sama nie wiem, czy mi ona przeszkadza. Niewiele czasu spędzam, wpatrując się w lustro. W każdym razie jedno jest pewne – do tej pory nie miałam motywacji. Mąż przez 17 lat naszej znajomości, niezależnie od tego, ile waży, twierdzi, że jestem najpiękniejsza.

Wiem, to jest szalenie urocze.

Ale też zdradliwe szalenie, bo skoro tak czy siak najpiękniejsza jestem, to co se będę bounty o północy żałować!

Po co się kitrać ze stódką kawusią w jednej ręce, bajaderką w drugiej i eklerką za uchem?

Ja nie wchłonę o dwudziestej drugiej talerza frytek?! Ja?!

No to tak sobie żyłam w gastroraju jak pączek w maśle. Dostownie. Dopóki, jak to bywa w bajkach, księżniczkę Wpierdzielajkę nie zaczęły rypać kolana. Zwłaszcza prawe. Ja Wam mówiłam kiedyś, że moja mama oraz jej mama, a także mama tej mamy, czyli moja prababcia, wszystkie, kufa, cierpiały na chondromalację rzepki. Jak powszechnie wiadomo, bystra jestem niestykanie, więc doszłam do tego, że to gówno może być dziedziczne! Zresztą lekarz mi to kiedyś powiedział. Tak czy siak, nadwaga nie sprzyja tym biednym, niedorobionym kolonom i to był pierwszy impuls, żeby się zastanowić, czy istnieją bajaderki light.

Drugi impuls pierdolnął wczoraj, jak sprzątałam szafę. Znowu podczas prasowania naoglądałam się na Netflixie jakichś gówien. Tym razem był to program Marie Kondo. Znać? Babeczka uczy ludzi sprzątać chałupy, w tym garderoby czy tam szafy. Pic polega na zgromadzeniu wszystkich posiadanych ciuchów w jednym miejscu, żebyśmy mogli nad tym ręce żałować w stylu: „Łolaboga, na chuj mi tego tyle, na jednej dupie do końca życia wszystkiego nie znoszę!”, a po wyciągnięciu tych sensownych wniosków, należy wziąć się do segregacji.

I tu się robi ciekawie, bo każdy ciuch, według Marie, trzeba wziąć, przytulić do siebie, a potem nastuchiwać, czy z naszego wnętrza dobiega radość.

I teraz tak: tulicie bluzkę i styszycie świergot ptaszków, a spaście amorki latają wokół – znak, że bluzka zostaje.

Tulicie sukienkę i głos z głowy Wam podszeptuje: „Stena Line wygląda na mniejszą niż twoja dupa w tej kiecce” – to kiecka won!

Na rozgrzewkę wzięłam się do ciuchów Siary. Powiem Wam, że nic mnie tam, kuźwa, nie ucieszyło. Jak doszłam do tych jebanych beżowych sztruksów, to miałam ochotę włączyć Bee Geesów, żeby podkreślić dramatyzm sytuacji. Strach było w ogóle do tej jego szafki rękę wsadzać. Bałam się, że zaraz wyciągnę z niej syfon, pastę „Biały kiel” albo projektor „Ania”. Wszystko byłoby z tej samej epoki.

Ja nie wiem, kurna, jak inne pary to robią, że są fajnie ubrane?! U nas wychodzi na to, że on ma ciuchy z kolekcji „Zostaw, to jeszcze dobre”, a ja – „Zostawię, w to się jeszcze kiedyś wcisnę”.

Właśnie!

Przejdźmy do mojej szafy. I powiedzmy sobie od razu, że z tego, co zaraz napiszę, nie jestem jakoś szczególnie dumna. Bo niby niegłupia, niby dojrzała, matka wielodzietna, nie taka znowu młódka, a stałam wczoraj przed szafą i sprawdzałam, czy na widok czegokolwiek poczuje radość. Zamiast tego ustyszałam ten podszept z głowy: „Co tu się odpiędała?! Czy ja stoję właśnie i wtulam ryj we własne gacie, cze-kając na świergot ptaszków i pastę amorki?!”.

Ta telewizja to pierze mózg równo! A Marie to już w ogóle. Naprawdę nie polecam tego allegrowicza!

Porzuciłam Marie Kondo i postanowiłam spróbować posegregować ciuchy w najprostszy i w najskuteczniejszy od lat sposób. Znaczy na te, w których wyglądam jak młoda Brooke Shields, i na te, w których wyglądam jak Kirstie Alley, kiedy naprawdę nie była w formie.

Po dwóch godzinach na kupce Brooke leżały cztery pary nowych skarpet.

Powiem Wam tak: w szczupłym życiu śmigalam zazwyczaj w jeansach i koszulce na szerokich ramiączkach. Jak było zimno, to wrzucałam na to sportową marynarkę albo kardigan. Minimalizm w każdej formie – skromne dodatki, stonowane kolory. Żadnych wzorów, żadnej krzykliwości. Wszystko ponadczasowe. No, nie chcę się chwalić, ale taka Grażyna Torbicka w wersji na luzie.

Po tym, co wywaliłam z szafy, to aż do lustra poszłam się obejrzeć, bo jak już mówiłam wcześniej, rzadko w nie patrzę. I to jest błąd! Bo wszystko wskazuje na to, że ja wychodzę do ludzi, wyglądając jak hybryda Maryli Rodowicz i papugi na koksach, która nabzdryngolona zaplątała się w kapę!

I jak przy kolekcji Siary powinien lecieć Modern Talking, tak przy mojej to chyba klasyczne: „Ram pam pararara ram pam para”, aż by się Zalewski, ten od cyrku, zwinął w kulkę z zazdrości. Mówię Wam, jestem pewna, że tam echem się niesie jego:

– O, jebana! Skąd ona wzięła ten namiot!? Halyna, weź mnie to wyszukaj w tych grafikach gogle!

A ja dostaję potem takie wiadomości od czytelniczek: „Cześć, nazywam się Halinka, widziałam na Insta, że miałaś taki ładny sweterek. Skąd on?”.

Mało tego! Przymierzyłam takie zestawy, w których kiedyś bosko wyglądałam i... ja już nie wyglądam w nich bosko! Głupia nie jestem, wiem czyja to wina!

Cholerni projektanci! Wszystko potrafią sknocić!

No nic. Jestem kobietą czynu, myślę zatem: „Jebać ich! Trzeba się samemu ratować!”.

Przeszłam więc oficjalnie na dietę. Było cholernie ciężko. Miałam okropne stany po odstawieniu cukru: drgawki, zwidy, zimne poty. Nie chcę dramatyzować, ale prawie szłam w stronę światła! Miałam też sporo czasu na przemyślenia...

Kojarzycie pięć etapów, które przechodzą osoby terminalnie chore albo ich bliscy? No wiecie – zaprzeczenie, gniew, negocjacja, depresja, akceptacja. Powiem Wam, że do bycia na diecie też one pasują.

I teraz mówię to oficjalnie, z ręką na sercu, bez kitu: **TO BYŁY TRZY NAJGORSZE GODZINY MOJEGO ŻYCIA!**

Wróble

Zacznę od tego, że to nie był mój najszcześniejszy tydzień. Po pierwsze moja prawa noga, od łydki do stopy, jest dwukrotnie grubsza niż lewa i boli. Stało mi się tak, od kiedy zaczęłam regularnie wydreptywać te 10 tysięcy kroków. Siara mówi, że to jakaś tam kontuzja stawu strzałkowego, ale on przecież nie wie, że mój organizm ma wbudowaną specjalną zaporę. On tak się broni przed sportem.

Jak zobaczyłam, że mi ta noga tak spuchła, to od razu chciałam się umówić do lekarza. Siara zaczął radzić, że można przecież kilka dni poczekać, bo lekarze są teraz zarobieni, a w międzyczasie smarować jakimś altacetem. Wypytywał równocześnie, czy aż tak mnie boli.

Oczywiście, że mnie aż tak nie boli!

Po prostu chciałam wejść do gabinetu tego typu, który od dawna namawiał mnie na sport, pokazać nogę, krzyknąć:

– Ha! A nie mówiłam?!

I wyjść.

Po drugie – postanowiłam odmalować chatę. Stwierdziłiśmy, że skoro w sklepie, w którym robimy normalnie zakupy, jest minidział z farbami, to co nam szkodzi?! I wszystko bytoby ok, gdyby nie fakt, że chyba tracę czujność. Nawet się nie zająknęłam, gdy poprosiłam sprzedawcę, żeby mi zdjął z półki „Warm Pervert”¹. Niby jebaniutki prawie się nie zaśmiał i nie byłoby się o co przypierdzielić, ale jednak trochę prychnął, a potem broda mu drżała, gdy się upewniał jeszcze:

– Warm PEWTER?

„Co za debil, będzie mi wyśmiewał mój kolor!” – pomyślałam. „I na cholerę się upewnia. Ja mam bardzo ładną dykcję i przecież dokładnie właśnie to BARDZO GŁOŚNO powiedziałam”.

A że tego właśnie dokładnie nie powiedziałam, doszło do mnie, gdy się kapnęłam, jakie wrażenie zrobiłam na pozostałych klientach.

Po trzecie – w końcu dojechały moje zakupy z Tesco. Podczas lockdownu wbicie się w kolejkę na zakupy online z dowozem graniczy z cudem, ale mnie się udało. Zamówiłam m.in. kapustę, bo mi stary marudził od jakiegoś miesiąca, że zjadłby gołąbki. Pomyślałam sobie, że wezmę te kapuchy dwie, bo jak już mam się jebać z tymi gołąbkami, to raz a porządnie, przy czym część sobie zamrozę i będę miała na leniwe dni czy tam awaryjny obiad.

Siara wypatrywał tego dostawcy, jakby był Mesjaszem Ludzi Spragnionych Gołąbków. W końcu dojechał, a wraz z nim dojechały nasze

zakupy. Gość wyjmuję żwirek dla kotów, Siara go jeb, na bok! Ten żwirek, żeby nie było! Podaje jajka. Siara je jeb, na bok! Chemia – jeb! Mrożonki – jeb! I w końcu podaje mu siatkę z warzywami. Mój mąż pierwsze co, to sprawdził, czy są te kapusty, bo zdarza się przecież, że część zakupów nie dojeżdża. Sprawdził zatem. I zaczął płakać.

Były.

Młode.

Obie mieściły mu się w jednej ręce.

Otworzył usta, ale mu przerwałam:

– Nawet nie próbuj! Z tego nie da się zrobić gotąbków.

I wiecie, że zrobił?!

Może nie, że od razu „gotąbki”, raczej „pisklaki”. Ale zrobił.

À propos ptaków! Jak większość ludzi podczas siedzenia w domu, regularnie ostatnio odpalamy Netflixa. A że jestem za leniwa, żeby przekopywać się przez setki tytułów i jeszcze sprawdzać w necie, czy warto je oglądać, to siłą rzeczy skazana jestem na filmy znalezione przez mojego męża. I tak, jak ja mam w organizmie mechanizm z zaporą sportową, tak on ma detektor gównianych filmów i ośrodek klikania na nie. W rezultacie o dwudziestej drugiej, gdy Wy się fajnie bawicie przy serialu, to ja oglądam hiszpańską produkcję o egzorcyzmach i płaczę razem z bohaterami. Tylko każdy z nas z innego powodu.

Albo wczoraj – znalazł dla nas nowy serial ZOO. Nie wiem, szczerze mówiąc, jakie jest polskie tłumaczenie. *Śmiertelny zadkozmiażdżacz pawiana? Wkurwione zwierzęta w amoku?* No nie wiem. Musicie sobie sami poszukać. W każdym razie NIE POLECAM. Choć zaznaczam, że to pierwsze wrażenie, gdyż drugiego nie doczekałam, bo wyłączyłam.

Serial opowiada o grupie ludzi, która próbuje wyjaśnić niespodziewane ataki dzikich zwierząt. Tyle wiem z opisu. Bo dotrwałam do momentu, gdy lwy atakują jeepa, w którym siedzą kobieta i mężczyzna. No nie wiem, jak daleko zaszłam? Czwarta minuta filmu? W każdym razie właśnie do sceny, w której pokazują, jak się ten jeep trzęsie, ludzie tam w środku krzyczą przerażeni i słychać takie groźne lwie:

– ROOOOOOAAAAR! KURWAAAAA! ROOOOAAAAR!

I potem ujęcie na lwa ocierającego się o zderzak, którego mina mówi: „Wyjebane mam! Jestem przeżarty. A w ogóle to lwice polują, debile!”.

To nie jest dla mnie! Choć podejrzewam, że Siara dalej potajemnie ogląda. Wczoraj, już po tym fragmencie, zafascynowany powiedział:

– Weź sobie wyobraź, że wychodzisz z domu i napada cię stado dziesięciu wróbli!

– Wróbli? WRÓBLI?! Stary, w czotówce widać lwy, nosorożca, dzikie koty, a ty mi wyjeżdżasz ze stadem dziesięciu wróbli?! Taki wróbel to jest moje alter ego. Mały, gruby, niepozorny, wygląda sympatycznie, a jak się wkurwi, to może na człowieka nasrać. Cała ja! Ale gdyby mnie napadło stado tych dziesięciu wróbli, to po prostu machałabym łapami. One są szalenie delikatne i raczej by nie przeżyły ciosu ręką. Musisz się bardziej postarać.

I on to chyba zrobił. To znaczy – postarał się bardziej. Tak myślę w każdym razie, bo obudził mnie przed siódmą tak, jak się budzi miłość swojego życia po ponad siedemnastu wspólnych latach. Czyli dźgając paluchem w policzek.

– Co jest, kuźwa?! – zapytałam go tak, jak się pyta miłość swojego życia po ponad siedemnastu latach.

I wtedy zauważyłam, że on ma zamknięte oczy – udawał jeszcze, że śpi, ale właśnie zaczął je otwierać, niby ziewając i przeciągając się. Jak ja chcę coś od niego rano, to też tak robię. W każdym razie podejrzanie szybko oczy zrobiły mu się jak 5 złotych, zaczęły lśnić z podekscytowania, a on pełnym napięcia głosem powiedział:

– Dobra, mam!

– Co masz?

– Scenariusz przerażającego ataku...

*

*

*

Tu Wam, kurna, zbuduję napięcie, bo warto!

*

*

*

– A co zrobiłabyś, gdyby zaatakowało cię...PIĘTNAŚCIE WRÓBLI?!

Piętnaście wróbli?

PIĘTNAŚCIE WRÓBLI?!

No jak piętnaście wróbli, to już bym nic nie zrobiła!

To już koniec.

Leżę, kurwa, rozdziobana. Ja pierdołę.

Traumy zakupowe

Powiem Wam w sekrecie, że nic tak nie inspiruje mnie do pisania, jak przeglądanie forów internetowych. Wczoraj na jednym z nich wpadłam na temat „Największe traumy zakupowe”. Pięć milionów komentarzy pod spodem. Jedna babeczka opisała, że zamówiła sukienkę w rozmiarze L na AliExpress i jej pięcioletnia siostrzenica się w nią nie zmieściła. Ktoś inny przyznał, że wyciskarkę Zeptera już trzy razy do serwisu oddawał. Następna osoba stwierdziła, że to jeszcze nic, bo jej odkurzacz Bosh'a to w serwisie ma nawet własną szczoteczkę do zębów i gacie na zmianę, za to w domu rzadko bywa. I tak czytam to sobie, czytam i powiem Państwu, że jeśli tak wyglądają Wasze traumy zakupowe, to Wy życia nie znacie...

To był czerwiec 2013. Pamiętam dokładnie, bo byłam na początku ósmego miesiąca ciąży z trzecim synem. W galerii handlowej znalazłam się dla towarzystwa. Kumpela z mojego gangu szykowała się na imprezę rodzinną i chciała wyglądać jak ktoś pomiędzy Cristal z *Dynastii* (bo dużo starszych cioc będzie) a siostrą Godlewską (żeby miaty o czym gadać).

Co do tego gangu, to nazwałyśmy się „Natarte Amolem”. Kiedyś dziwie, w krótkich kieckach, na mrozach bez czapek, z wyższością patrzyłyśmy na babcie po trzydziestce, żrąc nad ranem zapiekanki w podejrzanym budkach. Dziś, same po trzydziestce, z litością patrzemy na te biedne panienki w przykrótkich kieckach, na mrozach bez czapek, co je będą zatoki potem rypać. O przeziębionym pęcherzu nie wspominając. A na widok, jak żrą zapiekanki nad ranem, tylko czujemy nadchodzący refluks, zgagę, wzdęcia i podajemy sobie espumisan.

Ale do rzeczy!

Zatem razem z kumpelą z gangu wchodzimy do sieciówki. Miałam sobie nic nie kupować, bo to były czasy, gdy jeszcze tudziłam się, że po ciąży schudnę, więc w tym ostatnim miesiącu nie bardzo mi się opłacało wydawać kasę. Jednak już przy wejściu zostałam zaatakowana widokiem przepięknych, jeansowych rybaczek. Błękitnych jak moje oczy. No, dobra. Wkręcłam Was. Oczy mam szare, ale szary pasuje do błękitnego, więc dalej wszystko się zgadza. Zdjęłam pierwszą parę z wieszaka, bo chciałam je koleżance pokazać. Ona się obróciła i... w tym momencie obie zamartyśmy.

Tu taka dygresja, żebyście sobie Państwo nie pomyśleli, że jestem jakaś oderwana od ptuga. Bo ja to zasadniczo wiem, że nosimy różne rozmiary. I zapewniam, że nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Głównie dlatego, że w życiu stosuję mało skomplikowany podział ludzi na: fajnych, tych, co mnie nie obchodzą, i wkurwiających debili. A jak już ktoś jest fajny, czy tam jest debilem, to jakie to ma znaczenie, jakiego rozmiaru nosi gacie? No żadne. Niemniej to, co ukazało się naszym oczom, było z deczka szokujące. Mój wujek ze trzydzieści lat skacze ze spadochronem. Nie, że cały czas, ale często. W każdym razie ten jego spadochron to jednak jest mniejszy. To musiał być rozmiar 72 x XL. I rzecz w tym – jak już Wam wielokrotnie mówiłam – że mam bardzo plastyczną wyobraźnię, więc od razu konspiracyjnym szeptem walnęłam do kumpeli: „Ej, zobacz, mają tu plandeki na Stena Line”. Dalej to zaczęłam wymieniać, co z takich spodni można by uszyć: pokrowce na falowce na Przymorzu. Albo lepiej na większość fiatów multipla. Albo na budynek Sejmu. A potem szczelnie związać dodatkowo sznurkiem. I folią. I zaspawać. A jeszcze dalej zaczęłam wymieniać co dupa, która mieści się w takie spodnie, mogłaby pochłonać. Po wymienieniu wszystkich największych budowli, rzeźb, szczytów górskich i ssaków lądowych (w tym Marcina Gortata), ocierając łzy ze śmiechu, kątem oka spojrzałam na zegarek i zobaczyłam, że zrobiło się już cholernie późno. Powiedziałam zatem koleżance, że przymierzę tylko szybko te boskie rybaczki i możemy lecieć dalej.

No i cóż...

Tak.

Te, którymi machałam wcześniej, to byle jedyne, jakie na mnie pasowały.

Część 2

Matka

Dlaczego węże nie mają nóg

Odprowadzam dziś Stiflera do szkoły, a ten się mnie pyta:

– Czy wiesz, dlaczego węże nie mają nóg?

– Miały. Ewolucja zrobiła swoje. Po prostu już nie są im potrzebne.

– Wiem, że miały. Pytam, czy wiesz, dlaczego już nie mają.

– Bo... yyy... Możliwe, że na przykład za głośno tupały.

– Tupały?

– Tak... yyyy... No wiesz, podczas polowań. Może... yyyy... miały pta-skostopie, stąpały całą powierzchnią stopy i tupały, co odstraszało ich potencjalne żarcie. Albo chodziły w chodakach. To jest wprawdzie mało prawdopodobne, ale kto tam wie.

– Albo po prostu ze względu na to, że skoro węże pochodzą ponoć od podziemnych jaszczurek, to nogi zanikły im, żeby swobodniej mogły się poruszać w podziemnych tunelach.

– Tak, to też jest możliwe – powiedziałam.

I żeby nie było, przyznaję, że od razu widać, kto się wychował na Kulfonie i Monice, a kto na National Geographic.

– No dobrze, ale czy ewolucja nie dostosowuje tak, żeby łatwiej było przetrwać? Czy wężom nie byłoby prościej chwycić ofiarę, mając łapy, a nawet ręce?! – ciągnął młody.

– To też się nie sprawdziło – odpartam. – Węże bardzo łatwo się ekscytują. Dawno, dawno temu król Wężystaw XIV obserwował jednego ze swoich poddanych w czasie polowania. Ten poddany, Mietek mu było, powoli i bezszelestnie zbliżał się do małej myszki. Nie tupał, bo nie miał już nóg. Ani chodaków. Ale miał jeszcze ręce. I gdy był już naprawdę blisko, gdy już witał się z gąską...

– Z myszą.

– Co?

– Powiedziałaś wcześniej, że to była mysz.

– Tak właśnie było. No więc, gdy już witał się z myszą, to nie wytrzymał z tego napięcia, zatarł ręce, potem głośno klasnął i jeszcze krzyknął: „Ha! Mam cię!”. No i mysz zwiąta. A wtedy król Wężystaw XIV powiedział do swojego doradcy: „Stary, musimy coś z tym zrobić”.

Spojrzałam na syna i powiem tak: w życiu nie widziałam kogoś tak zdegustowanego.

Tego nie należy robić dziecku

Stiflerowi cały wieczór już porządnie bujała się lewa jedyńka. Prawa nie mogła się bujać, bo już jej nie ma. Gdy mówię „bujata się”, to mam na myśli ten stan, gdy dziecko wypycha językiem ząb tak, że ten sterczy mu z dziąsła poziomo zamiast pionowo, a rodzicom chce się wtedy haftać.

No i stało się! W końcu mu ten ząb wypadł! Ja odetchnęłam, a Stifler wziął to swoje pudełeczko w kształcie trzonowca, włożył tam ząb i pochwalił mi się:

– A jutro będę miał tu pieniążek, od Zębuszki!

I, jak Bobra kocham, ja o tym pieniążku pamiętałam. Do dwudziestej trzeciej. Bo potem z Siarą zaczęliśmy oglądać *The Big Bang Theory* i mniej więcej w momencie, gdy Sheldon powiedział Amy, że od dawna ma prawo jazdy, musiałam walnąć w kimę. Tuż nad ranem obudziły mnie wielkie, zaszkłone oczy Stiflera i jego drżące usta. Konkretniej to obudził mnie jego szturchający palec. A z każdym dotknięciem powtarzał: „Nie ma. Nie ma. Nie maaaaa!”.

– Czego nie ma? – zapytałam, nic nie kumając, jak zawsze przed szóstą kawą.

– Pieniążka. Zębuszka nie przysłała! – zawołał i zrobił minę jak właściciele restauracji, gdy witają w swojej kuchni Magdę Gessler.

O, kurwa! Zębuszka! Jak mogłam zapomnieć?! Poczułam się jak najgorsza matka świata. Ale na szczęście mam coś takiego w sobie, że jak coś spierdole, to zadzieram kiecę i idę to łątać.

– Idź do pokoju, króliczku – zarządziłam. – Pieniążek pewnie wypadł z pudełka i gdzieś leży, zaraz poszukamy razem.

Króliczkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać, poszedł postusznie trzepać pokój, a króliczkowa mama zaczęła łątać. Czyli najpierw świńskim truchtem zaiwania do portfela, potem po szlafrok, a na końcu do pokoju króliczka, z dwoma funtami w kieszeni.

Weszłam i niby na luzie go zapytałam:

– A sprawdzateś, czy nie zostawiła kasy pod prześcieradłem?

No, nie! Dziecko pod prześcieradłem nie sprawdzało! Zaczęło więc sprawdzać.

A wtedy ja cichaczem wyciągnęłam monetę i po prostu rzuciłam sobie pod nogi. I właśnie w tym momencie, jak ta moneta spadała, króliczek obrócił się i spytał:

– Ale jak ten pieniążek miałby się tam pod to prześcieradło dostać?

– Po czym po chwili dodał: – O! Dwa funty ci upadły. – A następnie

podał mi monetę do ręki.

Podziękowałam mu uprzejmie i powiedziałam, że faktycznie, pod prześcieradłem to głupi pomysł, więc może niech sprawdzi w kapciach. Tam przecież mogła się poturlać przypadkiem. Dziecko wczotgało się pod łóżko po kaptcie, a ja ponownie rzuciłam monetę na ziemię. I jak ona upadła, to on wyciągnął głowę spod łóżka, odwrócił się i spytał:

– Czy to nie byłby za duży zbieg okoliczności, gdyby akurat wturlała się do kaptcia? – I oczywiście dodał: – O, znowu ci pieniążek upadł!

Grzecznie podał mi monetę, a ja grzecznie skitowałam, że może bonus od Wróżki zaplątał się w kołdrę! I że może trzeba ją dobrze strząchnąć.

Tak, jest!

Złapał mnie i tym razem. Ale coś się zmieniło w wyrazie jego twarzy. Coś drgnęło. Patrzyłam tak na niego i dostownie widziałam, jak mu zwoje się gotują. Jak tam pod czachą mu dymi. Tak to jest, gdy się ma ponadprzeciętnie inteligentnego dzieciaka! Myślę sobie: „On już wie!”. I niemal w tej samej chwili Stifler krzyknął:

– Wiem!

Kurna, wydało się. Serio, jestem najgorszą matką świata. Spierdzieliłam mu dzieciństwo! Zjechałam całą magię!

Już tam się samobiczuję w myślach, pokutę sobie zadaję: będę do końca miesiąca czytać chujowe cytaty u znajomych na fejsowych tablicach, będę oglądała wiadomości, czytała Terlika, puszczać sobie album Boysów... I wtedy Stifler skończył myśl. Bardzo spokojnie:

– No, wiem! Ty masz na pewno dziurę w kieszeni! Musisz ją zaszyć. Pomożesz mi szukać tej monety od Zębuszki?

Nie uwierzycie, ale znalazła się na regale z książkami.

Możecie uważać, że niepotrzebnie dramatyzowałam, ale ja po prostu wiem, jaką traumę mogą dziecku wyrządzić historie z zębami w tle. Wiem, bo tego doświadczyłam i zaraz Wam opowiem.

Jak już Wam kiedyś wspominałam, wakacje spędzałam na ogół u babci. Spałam tam zazwyczaj na polówce w kuchni, bo w pokoju waliło czosnkiem, gdyż dziadek jadł go namiętnie na wszelkie dolegliwości. Czosnek na katar, na biegunkę, na cukrzycę. Na podagrę i na kaca. Na nadciśnienie, stłuczenia i alergię! Czosnek na wszystko! Gdy mój dziadek oglądał obrady Sejmu, to tylko mruzczał: „Powinni zażyć czosnku!”, a jak w wiadomościach pokazywali trzęsienie ziemi, to sprawdzał w encyklopedii, czy w Tajlandii czosnek znają, bo jakoś ofiary będą musieli leczyć. Ale jak coś, to też gotów był im go dostać. Kuźwa, tak swoją drogą w tym Czerwonym Krzyżu to się nieraz musieli zdziwić, jak przychodzili dary od dziadka... I jeśli myślicie, że to przesada, to ja

Wam powiem, że nie macie pojęcia, co to przesada! Przesadzała to dopiero babcia DiCaprio!

Wbijamy raz z kuzynem do babci. Gdy w babcinym domu drzwi od kuchni były otwarte, to już od przedpokoju miało się rzut na całe pomieszczenie. No więc wbijamy, widzimy, że babcia ziemniaki ciacha. W słupki.

Zajebicie! Będą frytki!

Tam się nawet optymistyczną uwagą wymieniliśmy, że mamy fajną babcinę, i poszliśmy do pokoju czytać gazetki. Przeczytaliśmy „Bravo”, „Popcorn”, a nawet „Naj” i „Panią Domu”, ale frytek jak nie było, tak nie ma. Co więcej – tyle czasu upłynęło, a nawet olejem nie capi, więc wracamy do tej kuchni sprawdzić, co jest grane.

No, kurna, magia! Miały być frytki, a tu ni hu, hu. Babcia dymi szluga, napieprza jolki, popija kawkę, wszystko posprzątane, więc nie wytrzymałam i wybuchłam:

– Babcia, gdzie frytki?!

– Jakie frytki? Nie ma frytek. Ziemniaczki będą, normalnie.

– Jak „jakie frytki”?! Przesz widzieliśmy, jak ziemniaki w słupki strugasz!

– Aaaaa, to! Nie, nie robiłam frytek. Słuchajcie, babcia ma hemoroidy i nawet nie wiecie, jak taki surowy ziemniak pomaga...

Wy za to na pewno nie wiecie, jak takie wyznaczenie niszczy psychikę dziecka.

Tego naprawdę nie należy robić żadnemu dzieciakowi! Nigdy!

Mam 35 lat i nigdy więcej u nikogo domowych frytek nie jadłam! Wuj wie, gdzie wcześniej były.

Ale wracamy już do wątku głównego – no więc zanim pościeliłam sobie u dziadków tę polówkę, to czasem udawało mi się z nimi jakiś tam hit z Bruce'em Willisem obejrzeć, czy tam z innym Schwarzeneggerem. Kiedyś to w ogóle były inne czasy, dorośli się na oznaczenia wiekowe w filmach nie patrzyli. Był „zagramaniczny” hit na Polsacie – było oglądane! Na podobnej zasadzie, jak miałam 7 lat, to na VHS-ie obejrzałam *Koszmar z ulicy Wiązów*. Chciałabym radośnie dodać: „I patrzcie, jestem normalna!”, ale zakończę na zdaniu: „Jak miałam 7 lat, to na VHS-ie obejrzałam *Koszmar z ulicy Wiązów*”.

W każdym razie na takiego hiciora z Willisem o dwudziestą, to ja się wcześniej ostro przygotowywałam. Jakiś przysmak świętokrzyski do miski naładowałam, jakąś natę do szklanki. I landrynki. Jak krówek nie było, bo landrynek nigdy nie lubiłam jakoś specjalnie, ale jestem z pokolenia, które przy słodkim nie wybrzydzało.

A teraz sobie wyobraźcie, jak już sobie naszykowałam to wszystko, jak pędem poleciałam się umyć, jak wróciłam do pokoju, w pokoju już ciemno, światła pogaszone i zaczyna się! Jeszcze Bruce sam jeden pierwszych dwudziestu opryszków nie wymordował, a mnie się już pić zachciało. No masz ci los! Ale przecież i na tę okoliczność byłam przygotowana. Macam zatem za szklanką, delikatnie podnoszę do ust, nie odrywając wzroku od ekranu i... zaczynam przeraźliwie drzeć mordę:

– Zapal światło! Babcia, zapal światło! Coś mi w szklance pływa!

Babcia się rzuciła do włącznika, ale nawet przez sekundę nie wyszła z roli babci, próbując mnie przekrzyczeć:

– Uspokój się, dziecko! To pewnie nic takiego!

Nawet dziadek się przebudził, choć on już nie był taki miły:

– Ciego się dześ jak opaziona? Dziadek skłanki pomylił. ZĘBY SIĘ MOCA!

Powiem tak: tego też nie należy robić dziecku.

Nigdy!

Epitafium

Szeregowy boi się biedronek. Nie tylko na żywo, ale też tych w książkach. Kapnęłam się po tym, że gdy oglądamy książeczki, to wygląda to tak:

- Co to? – pytam, wskazując na krowę.
- Kłowa. Muuuuu – odpowiada Szeregowy.
- A to? – pytam dalej, wskazując tym razem na konia.
- Konik. liihaaa.
- A to? – pytam, pokazując palcem biedronkę.
- Ble! Stodki Bobze! Fuij!

I odruch wymiotny.

Dziś na placu zabaw zrobiliśmy przeogromny postęp. Szeregowy, który nie gada za dużo, jak kompocik jest (całkiem jak w tym kultowym kawale), wyszedł przed szereg i w swoim narzeczu, wskazując na ostatnią zabłąkaną biedronkę, która zgubiła się widocznie w akcji, rzekł:

- To daj tu! – Przy czym wyciągnął przed siebie dłoń.
- Chcesz biedronkę na rączkę? – upewniłam się.
- Na rączkę! – wydarł się rozkazująco, kiwając głową.

Podniosłam zatem delikatnie drobinkę z trawy, pokazałam mu przez chwilę, jak chodzi po mojej dłoni, a następnie przełożyłam ją na jego otwartą rękę. Wbrew moim oczekiwaniom nie zacisnął dłoni, nie strząchnął biedronki, nie uciekł, nie zaczął krzyczeć ani nawet nie zwymiotował.

Jak na kochającą matkę przystało, wyrwało mi się takie przeciągłe, wzruszone:

- Ooooooooooch!

A wtedy i on, uśmiechnięty od ucha do ucha, powtórzył:

- Ooooooooooch!

- Biedronka chodzi ci po rączce – powiedziałam.

- Dłonka chodzi – powtórzył.

- A ty jesteś dzielny i już się nie boisz – dodałam.

- Nie bojam się – powtórzył dzielnie.

- Bravo! – wykrzyknęłam entuzjastycznie i energicznie zaklaskalam.

- Blawo! – wykrzyknął równie entuzjastycznie Szeregowy.

I też energicznie zaklaskał.

Perspektywa

Ubraliśmy choinkę przy *Snow is falling* Shakin' Stevensa, *Happy Xmas* Lennona i takich tam innych.

Jest śliczna.

Nasza wystużona sztuczna choinka. Wygląda jak co roku, czyli jak znajomy żul Marian z mojej gdańskiej dzielnicy, tylko że ubrany w garnitur.

I można nawet podejść do niej blisko, czy tam posiedzieć obok, bo w tym roku zabroniłam dzieciom psikać ją leśnym odświeżaczem do kibla.

Przy okazji zrobiłam przegląd bombek. Wyszło mi, że jesteśmy albo biedni, albo sentymentalni.

Znalazłam bombki z mojego dzieciństwa. I przy okazji świątopogląd mi runął, gdy wyciągnęłam rękę i powiedziałam do syna:

– Ja wiem ufoludka z pindolem na wierzchu i laserem w ręku!

– Masz na myśli pszczołkę z żądłem i akordeonem? – zapytał syn, unosząc jedną brew, jednocześnie prostując bombce skrzydełka i obracając głowę o 180 stopni.

Pszczołka z żądłem i akordeonem!

Kto by pomyślał?!

Jak to dzieci zmieniają człowiekowi perspektywę widzenia... (zdjęcia nr 6 i 7)



ZDJĘCIE NR 6: Jak to dzieci zmieniają człowiekowi perspektywę widzenia...
Widok przed.



ZDJĘCIE NR 7: Widok po.

Co widzicie?

Jeden z widoków mojej matki, który najsilniej wbił mi się w głowę, to ten, w którym siedzi przy kuchennym stole, nieco zgarbiona, nad kubkiem mocnej herbaty i z książką. Moja mama potrafiła przeczytać siedem książek w tydzień i pomstować na limity ilościowe w bibliotekach. Moja mama zaciągnęła ojca do każdej z bibliotek, w której była zapisana, tylko po to, żeby na jego kartę i stary jej numer: „A to dla męża jeszcze...” brać sobie dodatkowe pozycje. I w końcu – moja mama zaciągnęła do biblioteki mnie.

Urodziłam się w latach osiemdziesiątych. Nie jestem więc z pokolenia tak „wychuchanego” jak współczesne dzieci. Niejedno za dzieciaka widziałam. Ale nic, naprawdę NIC nie zszokowało mnie bardziej, jak wizyta w mieszkaniu koleżanki, w ładnym wnętrzu, z nowoczesnym (jak na tamte lata) telewizorem i jakąś taką pustką. Nawet nie wiem, kiedy bezwiednie spytałam: „No, ale gdzie masz książki?”. Wiedziałam, że domy mogą być różne. Pełne miłości, przemocy, gwaru, samotności, dostatku, biedy, itd. Nie wiedziałam natomiast, że istnieją domy bez książek.

Moi synowie kochają czytać. Szeregowy od kiedy skończył rok, pierwsze, co robi po otwarciu oczu, to idzie po książkę, którą wspólnie czytamy, leżąc w łóżku. Czytamy w ciągu dnia, a wieczorem junior czyta z tatą. A ja czytam wtedy ze Stiflerem. W międzyczasie rozmawiam o przeczytanych książkach z naszymi nastolatkami. I tak dzień po dniu. Nie licząc własnego dzieciństwa, „siedzę” w dziecięcych książkach już niemal siedemnaście lat.

Przez ten czas wyciągnęłam sporo wniosków, ale jeden jest najważniejszy i bardzo chciałabym, abyście i Państwo się o nim dowiedzieli, a potem sami się przekonali. Otóż uważam, że nie ma dzieci, które nie polubią czytania, jeśli mamy im tylko odpowiednie książki (zdjęcie nr 9)!

Nie ma!

Próbowano wielokrotnie udowodnić mi, że się mylę. I przez wiele lat, gdy zaprzyjaźnione mamy zostawiały w naszym domu swoje dzieciaki, na wieść o tym, co mamy zamiar robić, mówiły: „Anka, ale on nie usiedzi przy czytaniu / ona nie lubi książek”.

Czasem po krótkiej rozmowie z delikwentem wiedziałam, którą powinnam wybrać, aby od razu dotrzeć do niego. Czasem to były ciężkie boje i nieudane próby, a zanim doszliśmy DO TEJ właściwej, odrzuciliśmy po drodze kilkadziesiąt innych. Ale zawsze, absolutnie zawsze,

prędzej czy później, udawało mi się przeciągnąć dzieciaka na Książkową Stronę Mocy.

Gdy rozmawiam z dziećmi, które „nie lubią czytać”, zawsze pytam je, dlaczego tak jest. Żadne z tych dzieci nie wie, że dzięki książce może w kilka minut przenieść się na drugi koniec globu. Może nurkować w głębinach, by po chwili szybować w przestworzach. Staczać nieustraszone boje czy zamieszkać w prawdziwym zamku. Latać na smokach i rozmawiać z elfami. Z książką można uciec bardzo, bardzo daleko, poza wszelkie małe czy duże troski, nie ruszając się z miejsca. Być kim się chce, zupełnie wolnym, bez żadnych ograniczeń. Natomiast im literatura dziecięca kojarzy się nudą. Stale mówi się jedynie o wartościach umoralniających, zapominając, że książki to przewspaniała rozrywka!

Po lekturze *Burzliwych dziejów pirata Rabarbara* Stifler oznajmił, że pragnie do końca życia pić rum i z papugą na ramieniu rabować, więc do tej pory nie mogę się doszukać tego umoralnienia :D Za to przy czytaniu śmiał się tak bardzo, że ten śmiech dźwięczy mi jeszcze cały czas w uszach, i wiem, że o to właśnie chodziło! Bo książka, moi mili, jakkolwiek banalnie by to nie brzmiało, to przede wszystkim niesamowita przygoda!

Co widzicie, gdy patrzycie na poniższe zdjęcie? Małego chłopca w dziwnej pozie? Nic bardziej mylnego. To groźny pirat, postrach mórza i oceanów, który dumnie prezentuje swoją papugę o wdzięcznym imieniu Joe Grog. Jest uśmiechnięty, ale zmęczony. Chwilę wcześniej stoczył zwycięską bitwę. To tylko wyglądało tak, jakby przenosił kamienie. Tak naprawdę były to ciężkie skrzynie, pełne najbardziej osobliwych słodkości na świecie: żelków o smaku nieba, gum balonowych o zapachu lata i czekoladowych cukierków, które smakują jak uśmiech. Zjeżdżając na oponie przeprowadził udany abordaż, a z każdym podskokiem na huśtawce na sprężynie – strzelał z armaty. Walczył niewidzialnym kordelasem i pokonał wielu wrogów, mimo że Wam, gdybyście obserwowali te sceny z boku, mogłoby się wydawać, że na placu zabaw poza nim i mną nie było nikogo. Patrzyłam na niego i zastanawiałam się, co chcę Wam koniecznie przekazać po raz kolejny.

Posiadam pewną przydatną i cenną umiejętność. Umiejętność swobodnie wystawić, umiem powiedzieć dokładnie to, co bym chciała. Zaczynam pisać albo mówić, a słowa same płyną, układając się w sensowne kształty. Krótkie formy albo długie opowieści, które wywołują pożądane reakcje i emocje. Moja ciocia nazywała to „talentem”, babcia – „iskrą bożą”, ale ja tego tak nie widzę. Przemawiają przeze mnie setki przeczytanych książek. Po prostu.

Jeździłam na najlepszych motorach, kiedy inne dzieci widziały jedynie rower po bracie. Byłam w tak wielu zakątkach świata, że ciężko byłoby mi te wszystkie miejsca wymienić czy zliczyć, choć podróżowałam niewiele. Walczyłam z potworami, byłam na księżycu, nurkowałam w głębinach, wspinałam się na szczyty. Byłam każdym. Królową, służką, szalonym naukowcem, odkrywcą, przyrodnikiem, detektywem, małą rudowłosą dziewczynką, dorosłym mężczyzną z bujnym zarostem, starszką, strzygą, wilkotakiem czy psem. Nigdy się nie nudziłam. Dzięki książkom.

Od przeszło dwóch lat konsekwentnie polecam w sieci (głównie na Instagramie) książki dla dzieci. Prowadzę Czytelników przez świat dziecięcych książek, by ułatwić wybór w księgarni, antykwariacie czy bibliotece. Zza wielkich stosów mówię o tym, co jest naszą pasją. Pokazuję najpiękniejsze baśnie, opowiadania, pozycje najzabawniejsze, niszowe, popularne, inne, klasyczne, szczególnie wartościowe, osobliwe, czy też te najbardziej wzruszające. Wyszukuję też te, które łamią tabu, mówią o śmierci, dojrzwaniu, seksie, o wielkich problemach małych ludzi. Udowadniam, że nauka to nie nuda, bo serie edukacyjne czy popularnonaukowe mogą być arcyciekawe. Jednym słowem – zabieram wszystkich chętnych do takiego świata książek, w którym znajdzie się coś dla każdego dziecka. A robię to tak naprawdę dlatego, bo nie tyle wierzę, co wiem, jestem absolutnie pewna, że czytanie to jedna z najlepszych inwestycji na przyszłość, jaką możecie poczynić względem małych ludzi. Wspólne czytanie zbliża, stymuluje rozwój dzieci, tworzy przepiękne wspomnienia, rozwija dziecięcą wyobraźnię, kreatywność, wzbogaca słownictwo i przede wszystkim – otwiera przed nimi wiele światów i perspektyw, których z różnych względów nie bylibyście w stanie sami im pokazać. Uwierzcie mi, że warto, jak mało co, dać dziecku tak wiele tak niewielkim kosztem. Zresztą spójrzcie na szczęśliwego pirata i Joe Groga ze zdjęcia nr 8... bo ich widzicie, prawda?



ZDJĘCIE NR 8: To groźny pirat, postrach mórz i oceanów, który dumnie prezentuje swoją papugę o wdzięcznym imieniu Joe Grog.



ZDJĘCIE NR 9: Uważam, że nie ma dzieci, które nie polubią czytania, jeśli damy im tylko odpowiednie książki!

Maoam dla tatusia

Wczoraj Julas dostał od cioci kwaśne gumy Maoam.

Julas nie lubi kwaśnych gum. W przeciwieństwie do swoich braci, którzy, jeśli idzie o stodyczne, zdecydowanie wybredni nie są. Gdy starsi bracia włożyli po pierwszej gumie do buzi i zaczęli wydawać odgłosy w stylu „mmm, dobra”, Julas doszedł do wniosku, że głupi nie jest i lubi czy nie lubi, wszystko jedno, skoro gumy są „mmm, dobre”, to też spróbuje się przetać.

Otworzył pierwszą, obejrzał, obwąchał, oblizał z każdej strony, trzymając w dwóch palcach i stwierdził z uznaniem: „Truskawkowa”. Wpakował do buzi, zrobił minę jak ja, gdy słucham Macierewicza, wypluł zdecydowaną większość gumy, wypluł też kawałek 1 mm na 2 mm, który zdażył odgryźć, i trzymając wszystko na długość wyciągniętej ręki, zaczął wycierać sobie język rękawem drugiej.

Francja elegancja, wiadomo.

Po czym, gdy zobaczył, że na niego patrzę, dodał takie: „Yyy, bardzo dobra... ale może podzielę się z tatusiem jeszcze”. No i guma spoczęła na stole. A przynajmniej była tam wtedy, gdy ją osobiście ostatni raz widziałam...

Dalej to od czasu do czasu dochodziło do mnie coś takiego:

– Rychu (zdjęcie nr 16)! Nie liź gumy! To dla tatusia!

.....

– A Rysiu swoją wielką, włochatą pupą usiadł mi na tatusia gumie i nie chce zejść!!!!

Buuu...

.....

– I widzisz, Rychu, co zrobiłeś?! Teraz gdzieś spadła i nie mogę znaleźć. O, widzę ją! Jest za biurkiem, zaraz ją sięgnę... Łeee, tu jest pajak... Jesteś Maoam tatusia! Muszę cię gdzieś schować...

.....

– Czy ktoś mi może wytłumaczyć, co w moim kapciu robiła guma? – To Szara Eminencja.

Julas (biegnąc z wystawionymi pięściami):

– Spróbuj tylko wyjąć gumę tatusia z kryjówki!

– Nie wolno wkładać rozpakowanej gumy do cudzego kapcia! Zresztą zapakowanej też nie. Ona ma teraz bakterie. – To ponownie Szara Eminencja.

– Bakterie?! – Julas zdziwiony. – Pójdę ją umyć...

.....

Szara Eminencja (z łazienki):

– Julas, chodź tu i wyrzuć tę gumę! Zostawiłeś ją tym razem na podłodze przy kiblu! Co ona tu robi?

.....
I czy to moja wina, że Julas wcale jej nie wyrzucił, a ja akurat byłam w toalecie, jak mąż wrócił z pracy, i przez to nie zdążyłam interweniować?!

Ustyszałam tylko:

– Otwórz buzię, tatusiu. Gumę dla Ciebie zostawiłem.

Później to już stwierdziłam, że po ptokach. Lepiej mu niczego nie uświadamiać w myśl zasady: „Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”. I trochę też: „Co nas nie zabije, to nas wzmocni”. A wieczorem, gdy zaczynaliśmy oglądać *Absolutnie fantastyczne*, Siara niespodziewanie się odezwał:

– Moim zdaniem nie powinnaś kupować takich gówien dzieciom.

– Co masz na myśli? – spytałam.

– Tę gumę, co mi Mały dał. Ty wiesz, że ona jakies takie dziwne grudki miała, że normalnie nie dało się jej pogryźć. Ohydztwo. Cholera wie, co to za chemia...

Matko Bobrza, nie ma co od razu histeryzować. Tym bardziej, że ja akurat wiem, co to za chemia.

W tym dniu podłogę w toalecie czyściłam ajaxem. Przy kiblu też.



ZDJĘCIE NR 16: Ja i Rychu. Rychu jest po prawej.

Fizyka dla średniozaawansowanych

W naszym domu dzieci od zawsze same odrabiały prace domowe. Po pierwsze to dziecka praca domowa, nie moja. A po drugie – to też ewentualny sygnał dla nauczyciela, czego uczeń nie umie. Oczywiście nigdy nie broniłam synom przyjść do mnie i o coś zapytać, w razie gdyby czegoś nie byli pewni.

I to był błąd.

– Mamo, chciałem zrobić zadanie z gwiazdką, ale w ogóle mi nie idzie. Rzucisz okiem?

No i co miałam zrobić? Rzuciłam okiem.

– Fizyka... – wyszeptalam. – Nie wygląda na trudne, trzeba zacząć od obliczenia prędkości. To jest równanie z dwiema niewiadomymi.

Po czym już w myślach dodałam: „Weź się w garść, Anka. To tylko głupie zadanie, a ty jesteś o kilkanaście lat mądrzejsza!”.

30 minut później...

Powiem Państwu, że to tak nie działa.

Jak się w szkole było debilną z fizyki, to okazuje się, że te kilkanaście lat później nadal jest się debilną z fizyki, a każde głupie zadanie jest tak samo straszne. Ta wiedza, o dziwo (!), nie przybywa akurat wraz z wiedzą o tym, jak zrobić dobre mielone, albo że wszyscy w rządzie kłamią.

– Daj mi pomyśleć, synuś – powiedziałam i podreptałam z książką w stronę salonu.

Po kolejnych 30 minutach dobijałam się na messengerze do mojego kumpla ze szkoły. On też raczej, jeśli idzie o fizykę, z tych wolniej myślących, ale to była konieczność, bo zwyczajnie nikogo dobrego z tego przedmiotu nie znam. Myśmy się nigdy z kujonami nie zadawali. Poza tym kilkanaście lat minęło. Gość prowadzi swoją własną firmę, głupi nie jest...

– To wygląda na łatwe – powiedział. – Trzeba najpierw obliczyć prędkość pociągu, rozwiązując równanie z dwiema niewiadomymi. Daj mi chwilę.

Gdy chwila przeciągała się w nieskończoność, a potem okazało się, że według niego pociąg jedzie z prędkością 3 m/h, postanowiliśmy zadzwonić do naszej wspólnej koleżanki. W sumie dziwne, że od razu na to nie wpadłam. Ona chyba była najbardziej z tych tematów kumata. Teraz siedzi w korpo...

– Wy to zawsze głąby z fizyki byliście – zaczęła. – Anka, a pamiętasz, jak cię Ruda wyrwała do odpowiedzi, a ty powiedziałaś, że...

– Pamiętam – przerwałam jej, bo właśnie o to chodzi, że dobrze pamiętałam swoje odpowiedzi i żadne nie nadawały się do publicznego cytowania. – Skup się i notuj...

– Przecież to jest proste jak drut – powiedziała po chwili. – Trzeba tylko rozwiązać równie z dwiema niewiadomymi i wtedy wyjdzie prędkość pociągu. Dalej to już zostaje podstawić do wzorów. Zaczekajcie moment. Tu 146... odejmuję... 7 w pamięci... przenoszę... za x podstawiam 22... yyy... Wezmę kalkulator, będzie szybciej. To jeszcze raz: 146, odejmuję... yyy...

– I co ci wyszło? – spytałam.

– Czekaj. Musiałam coś popierdzielić, bo to raczej niemożliwe, żeby ten pociąg jechał prędkością 36 m/h...

Po około godzinie we trójkę narzekaliśmy na to, że to się tym dzieciom, do jasnej cholery, w ogóle w życiu nie przyda!

Po kiego wata obliczać jakąś prędkość pociągu?!

Co oni, kuźwa, będą potem, patrząc na zegarek dywagować: „Zdążę wypić kawę czy spóźnię się na pociąg? Momencik... gdzie ja tu mam notes... 137... w pamięci 4... podstawić do wzoru...”.

SERIO?!

Dwie godziny później wspominaliśmy szkolne czasy.

Po kolejnych 45 minutach dowiedzieliśmy się, że koleżanka chce się rozwieść, a kolega w ogóle nie chce się hajtnąć.

Dokładnie godzinę po tym jak skończyliśmy gadać, znowu zadzwonił do mnie ten kumpel.

– Anka, dzwoniłem do taty. Jak już przestał mnie opierdalać, że go obudziłem, to obliczył, że pociąg jedzie z prędkością 99,42 m/h. Weź coś do pisania, to ci powiem, jak do tego doszedł.

Zanotowałam. A rano czekałam na synusia jak na skrzydłach. Gdy tylko wszedł do kuchni od razu przyatakowałam:

– Pociąg jedzie z prędkością 99,42 m/h! – wykrzyknęłam dumna i zaraz dodałam: – Siadaj, mam tu przygotowaną kartkę i długopis. Zaraz ci wytłumaczę, jak to obliczyłam.

No co?! To jest dziecko jeszcze! Nie musi wszystkiego wiedzieć!

– Co? Jaki pociąg? – zapytał, przeciągając się.

– Jak to „jaki”? Jaja sobie robisz? Wczorajszy pociąg. Ten z zadania z gwiazdką! No przecież sam mnie o niego pytałeś.

Synus ty razem ziewnął, zrobił jakieś dziwne krążenia głową na boki, po czym złapał za książkę i mówi:

– Patrz!

Patrzę. A ten kontynuuje:

– I co? Widzisz tu jakąś gwiazdkę przy zadaniu z pociągiem?

- Ale jak to? - wybąkałam tylko, bo w sumie prawie nie spałam, a i tak przed szóstą kawą jestem na bakier z elokwencją.

- Zadanie z pociągiem było proste, sam je sobie zrobiłem. Z gwiazdką jest niżej. To te z rakieta. Mogłabyś mi szybko je wytłumaczyć, bo za kwadrans wychodzę? - zapytał, podając mi książkę.

Najpierw zrobiłam taką minę jak wczoraj, gdy Stifler przywitał swojego ojca, wracającego z roboty, słowami:

- Ty to masz fajnie. Cały dzień nic nie robisz.

- Jak to nic nie robiłem? A kto był w pracy? - odpowiedział stary.

- No właśnie. Byłeś tylko w pracy.

- A ty co takiego dziś robisz?

- Milion rzeczy. Byłem w szkole, bawiłem się, jadłem lunch, czytałem, myłem zęby, **PODCIERAŁEM SIĘ!**

No a potem, to wzięłam tę książkę i takimi drobnymi kroczkami, jak gejsza... tfu, wróć... takimi jak Morticia Addams udałam się w stronę sypialni, gdzie przytknęłam głowę do poduszki. I po chwili dało się stamtąd słyszeć nieco stłumione:

- AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!!!

Gówniak

Na swoim fanpejdżu napisałam kiedyś: „Słowa mają moc i kształtują rzeczywistość”. Chciałabym zatem opisać swoje odczucia na temat pewnego popularnego słowa, którym wielu z Was określa dzieci. Jest to wyraz „gówniak”.

Uważam, że jest to jedno z najstabszych słów, jakie wymyślono, aby opisać dziecko. Myślę, że moje odczucia nie są tak zupełnie od czapy, w końcu de facto słowo to pochodzi od „gówna”. Pierwotnie chodziło o nawiązanie do częstego wypróżniania się maluchów, ale potocznie przyjęło się, że „gówniakiem” może być zarówno dwulatek, jak i ośmiolatek, a nawet nastolatek. Używają tego terminu dorośli w stosunku do wszystkich niegrzecznych dzieci albo opisujący po prostu dziecko, niekoniecznie niegrzeczne, ale i niektórzy rodzice, którzy „żartobliwie” nazywają tak swoje pociechy.

Skąd ten cudzysłów przy słowie: „żartobliwie”? Ano stąd, że bardzo się staram, ale nie mogę dostrzec w tym słowie niczego śmiesznego. Zastanawiam się, czy analogicznie tak samo za śmieszne uznalibyście, gdybym napisała felieton o starszych osobach i nazwała je w nim „szczochemi”? Oczywiście „żartobliwie”. Nawiązując do częstego problemu popuszczania moczu.

Co czulibyście, gdyby ktoś Waszą matkę, ojca, babkę czy dziadka nazwał „szczochem”? Dalej wydaje się Wam to śmieszne?

Założę się, że sporo osób pałałoby (słusznym) oburzeniem. Dlaczego więc tak łatwo przychodzi niektórym nazywanie dzieci słowem nawiązującym do gówna i twierdzenie, że nie ma w tym żadnego problemu?

Słowa mają moc i kształtują rzeczywistość.

Żadne dziecko nie jest dla mnie „gówniakiem”, bo żadne nie zasługuje na takie określenie. Nawet dziecko niegrzeczne. A może zwłaszcza takie? W końcu ono samo z siebie nie jest niegrzeczne, to w większości wytwór niewydolnych wychowawczo rodziców. Może zatem zamiast „gówniak” będziemy mówić: „dziecko gównianych starych”?

Przeczytałam ostatnio takie zdanie, o ironio, wypowiedziane przez jakiegoś tam terapeutę, że gdy ktoś oburza się na „bachora” – bo w artykule o to słowo się rozchodziło – to działa to na zasadzie „uderz w stół”.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

Idąc tym tropem, gdy nie godzę się na nazywanie czarnoskórych ludzi jak mieszanki, której używa się do budowy dróg, a gejęw tak, jak części od roweru, to widać znaczy, że przeżyłam niemal 36 lat i nie kapnęłam się, że jestem czarnym gejem.

Nie, nie bronię dzieciaków, bo mam coś na sumieniu i nie bronię ich od dziś. Ja się po prostu nie godzę, żebyśmy my, mądry ludzie, odreagowywali na pięciolatku, że go nikt nie wychował! Nie godzę się, żebyśmy my, dorośli, ponoć dojrzali ludzie, obrażali siedmiolatka, bo brak mu kultury!

A gdzie on niby miał się jej nauczyć? W łonie matki? To dokładnie tak, jakby w Waszym domu nie było sztukców, a tym samym nikt nie nauczyłby Was się nimi postugiwać. I teraz wyobraźcie sobie, że przychodziecie do szkoły i jecie obiad w stołówce tak jak zawsze. Dokładnie tak, jak Was tego nauczono w domu, czyli rękami. Na co wpada nauczycielka i wyzywa was od debili i dzikusów. Uważacie, że to byłoby fair?

Zatem zapamiętajcie sobie, kochani dorośli – za każdym niewychowanym dzieckiem stoi nieudolny wychowawczo rodzic. A prawdziwym tabu jest skala tego zjawiska. Ponawiam pytanie zatem: To jak? Zamiast „gówniarz”, „gówniak”, „bachor” będziemy mówić „dziecko gównianych rodziców”?

Już słyszę te protesty.

Bo rzecz w tym, że my, dorośli, możemy protestować, gdy ktoś nazywa nas tak, jak byśmy sobie nie życzyli. W skrajnych przypadkach niektórzy reagują nawet na obrazę swojskim staropolskim daniem delikwentowi w ryj. A co ma zrobić dziecko, gdy jest werbalnie obrażane przez dorosłych ludzi? Przez bliskich ludzi? Przez ludzi, którzy powinni już dawno zrozumieć: „Słowa mają moc i kształtują rzeczywistość”.

Rozumiem, że istnieje coś takiego jak język potoczny, ale nie mylmy go z językiem poniżającym i nie tuszujmy tej kupy słowem „żarcik”. Nie jesteście komikami. Jesteście ludźmi, którzy mają temu następnemu pokoleniu pokazać, że słowa mają moc i kształtują rzeczywistość.

Nie mylcie chamstwa z dystansem. Co wypada z kumpelą przy winie, gdzie granice słowne ustalacie wy same, zdecydowanie nie zawsze jest dobrze przenosić to do przestrzeni publicznej. Inaczej może się zaraz okazać, że dla kogoś jesteście „starą rurą”, „głupią krową”, „ttustą świnią”, bo ten człowiek granice będzie przesuwiał jeszcze dalej.

Nie cofajmy się. Nie wracajmy do czasów, w których „to tylko dziecko”, a „dzieci i ryby głosu nie mają”. Sami wiecie, ilu z Was te czasy wiele kosztowały, bo niektórzy do dziś odczuwają pokłosie takiego podejścia.

Dzieci nie są gnojkami, debilami i „gówniakami”.

To są dzieci.

To jest nasza przyszłość.

Mówcie o nich na co dzień tak, jak chcecie, żeby oni teraz i w przyszłości o Was mówili. A ewentualne pretensje dotyczące wychowania, czy raczej jego braku, kierujcie do tych, którzy są za to odpowiedzialni.

Jeśli nie, to zanim się obejrzyicie, dla „gówniaka” zostaniecie „szczochem”.

Nigdy nie ufaj siedmiolatkowi

Najmilsi moi, po tym co właśnie przeżyłam, mam dla Was jedną radę: nigdy, ale to absolutnie NIGDY NIE UFAJCIE SIEDMIOLATKOM!

Wołam do Stiflera z łazienki:

– Stifleeer, otwórz drzwi, to kurier. Powiedz, że już idę.

Po czym nastuchuję.

– Dzień dobry, panie kurierze! – słyszę i jestem bardzo zadowolona.
Grzeczny chłopczyk.

– Mama jest w łazience... – drze się Stifler, jak zwykle nieproporcjonalnie do odległości, która go dzieli od mężczyzny.

„Jest dobrze” – myślę, w pośpiechu myjąc już ręce.

I nagle dochodzi do moich uszu jego konspiracyjny „szept” na pół ulicy:

– Robi kupę.

O kurwa!

Lockdown

Póki co życie podczas lockdownu upływa nam spokojnie na jedzeniu, graniu w różne gry, jedzeniu, siedzeniu w miniogródki, jedzeniu, przepisowych spacerach, jedzeniu, czytaniu i tworzeniu. Sporo też jemy.

Muszę się jednak pochwalić, że schudłam całe trzy kilosy! A to za sprawą tego, że Julas jeździ podczas spacerów na swoim rowerku biegowym. Odkryłam już dlaczego ten rowerek nazywa się „biegowy” – bo zwyczajnie starzy muszą za nim zapierdalać! To znaczy nie wiem, jak to wygląda z innymi dziećmi, być może normalnie.

Nasze najmłodsze dziecko też się całkiem zwyczajnie zapowiadało. Jako maluch był taki mocno papuśny i taki trochę zamulony – siedział sobie, coś tam dłuwał przy samochodzikach. Trochę nam zeszło, zanim się kapnęliśmy, że sukcesywnie próbuje zżerać części. Nie było jednak tak źle, ogólnie był spokojny – marzenie każdego rodzica. A teraz wygląda to mniej więcej tak, że przez dzielną przepychamy go jak w tej sławnej scenie z Hannibalem Lecterem w klatce. Potem przez pręty zakładamy mu kask i jedno z nas podaje mu biegówkę, a drugie otwiera klatkę. I jakby, kuźwa, diabła tasmańskiego wypuścić! Wkurwioną, nabuzowaną samicę najlepiej! W PMS-ie. Taką, której stary nie wrócił na noc, bo znowu zachlał z oposami.

No istny szat!

Juleczek ma kask imitujący łeb dinozaura, co się z tyłu świeci i mruga. Normalnie to takie bajery mają na celu zapewnienie bezpieczeństwa dzieciom. W naszym wypadku chodzi o ostrzeżenie wszystkich innych, że otworzyliśmy klatkę.

Kształt kasku jest nieprzypadkowy, bo synuś uwielbia dinozaury. Również je udawać.

No więc zapierdala z prędkością światła na tym rowerku, krzycząc:

– ROOOAAAAAR! ROOOAAAAAR!

A za nim zapierdalał ja, krzycząc:

– AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!!!

I jeszcze:

– Zwolnij! Synuś, zwolnij!

Wtedy on z kolei:

– ROOOAAAAAR!

I dodaje takie demoniczne:

– MUHAHAHAHAHAHAHA!

Tu wspomnę tylko, że Fit Matka Wariatka regularnie wrzuca zdjęcia kobiet, które dzięki ćwiczeniom z nią, przechodzą spektakularne metamorfozy. Wiecie, z ciała uroczonego tapira robi się ciało modelowej gazeli.

I teraz m.in. przez tę cholerną biegówkę Julasa schudłam kilka kilogramów.

Czy spłaszczyl mi się brzuch? Nie.

Czy wysmukliły mi się masywne uda? Nie.

Czy na moją rumianą buzię powrócił zarys kości policzkowych? Nie.

Czy papuśne ramiona są choć nieco mniej papuśne? Ni cholery.

A więc co się zmieniło? – spytacie.

Ano mogę włożyć dwa cycki do jednej miseczki stanika.

NA TYM ŚWIECIE NIE MA SPRAWIEDLIWOŚCI!!!

Wracając do tematu, to Siara mówi, że to bieganie za krzyczącym synem dziwnie wygląda. Ale nie będzie mi mówił, co wygląda dziwnie ktoś, kto w wieku 41 lat, potrafi przez pustą alejkę sklepową przejechać na wózku, głośno się spierdzieć i krzyknąć: „Turbodoładowanie!”.

Swoją drogą zza winkła wyszedł wtedy gość z obsługi sklepu. Ale Siary już nie było. Odjechał na wózku. Zostałam ja. W oparach bąka. I TO dopiero wyglądało dziwnie!

Fakt faktem, że jak nie biegam za najmłodszym, to łączę z najstarszym. Tak czy siak, postanowiłam mieć wydreptane dziennie przynajmniej te 10 tysięcy kroków. Od razu mówię, że nie mam pojęcia, jak to z tą liczbą jest. Jedni mówią, że ona jest kompletnie z dupy, inni – że to takie minimum przyzwoitości, żeby się nie rozsypać za chwilę. Nie wiem, nie obchodzi mnie to. Dla mnie to czas, kiedy mogę przespacerować się i pogadać z synem, do tego wymówka, żeby spokojnie jeść stodycze, aby się nie nabawić jakichś niedoborów kalorycznych.

Tych z Państwa, którzy się o nas martwią to od razu uspokoję, że my nie mieszkamy w bloku, nie posiadamy części wspólnych z sąsiadami, a spacerujemy po takim odludziu, że gdybym miała napadać na Bobrowi ducha winnych ludzi, to czaiłabym się właśnie tam. Z drugiej strony – tym też proszę się nie martwić, bo ja, gdy uprawiam sport, to mam taką minę, jakbym szła na ustawkę, więc mnie to chyba tylko samobójca by zaczepił.

I dobrze czytacie – w ramach dbania o formę spacerujemy, bo ja nienawidzę biegać. Należę do tego typu osób, które biegnąc, czują się jak idioci.

Gdzie ja biegnę? Po co biegnę? Po chuj się tak spieszyć? Za czym ja właściwie latam? Może, M O Ź E, gdyby mi ktoś na trasie porozkładał naprzemiennie małą i czekoladę, to miałyby to jeszcze sens, ale tak,

to nie widzę powodu, dla którego miałabym biegać. Wystarczy mi, że chodzę. I tak sobie nowe adidasy na tę okazję kupiłam. W sumie to już ze trzy tygodnie tak te 10 tysiąch chodzę, więc moim zdaniem można uznać, że taki trochę ze mnie sportowiec, zatem pewnie ciekawi jesteście, jaki model wybrałam.

Otóż moje obuwie ma podeszwę i taką tę górną część buta oraz bardzo ładny kolor – cielistoróżowy. I lekkie jest. Jakże te buty są lekkie! Do tego wzięłam jeszcze pół numeru większe, bo powiem Wam, że z wiekiem mam coraz większy problem ze stopami.

„Z wiekiem”. Jak to brzmi! No ale prawda jest taka, że w moim wieku człowiek nadal nie jest stary, ale z drugiej strony już się nie czuje takiej pierwszej świeżości. Tak czy inaczej, mój problem polega na tym, że stopy mi się zrobiły szalenie wrażliwe. Kiedyś potrafiłam niemal dobę przekicać na szpilkach i chuj! Nic się nie działo. Jak nowo narodzona. Teraz nie mogę nawet o tym myśleć. Ba! Jak widzę koleżankę, która szpile zakłada, to leżę za nią i nawijam:

– Haluksy ci się zrobią! Styszysz? HALUKSY!

I samo patrzeć mnie boli. Niedługo będę popierdalać na randkę z mężem w takich antygwałtach-ortopedkach. I to założonych na przeciwylakowe rajstopy. A na to ciepła, wetniana spódnica. Długa. Żeby nerek nie przewiało. No sam seks.

Wracając do tych butów, to w sklepie naprawdę były nieziemsko wygodne. W ogóle to mam taką teorię, że w sklepach obuwniczych robią nas notorycznie w bambuko. Wiecie, mierzycie nowe buty – no zajebicie wygodne! Nigdzie nie piją, nie obcierają, normalnie jakby człowiek syreń na miękkiej kaczuszcze postawił.

Nie to, żeby mi miała porównanie. Nie jestem jakaś pojebana. Nie chodzę po kaczkach. Ale tak to sobie wyobrażam w każdym razie.

No i dalej idzie się z pudełkiem do kasy, a tam sprzedawca odwala numer w stylu:

– Królowo złota, a co tam się dzieje w górze? Czyż to nie wymarły kuzyn dzięcioła?

Człowiek się zaczyna z zainteresowaniem rozglądać, tam gdzie szuka tego prapłata pod sufitem (wrzucę go na Instagrama, dostanę tysiąc serduszek na bank), a w tym czasie ten chujek zza lady podmienia pudełko. Przychodzi się do domu, niczego nie będąc świadomym. Zakłada się te nowe, wygodne buty, bo przecież znów chce się poczuć pod nogami miękką kaczuszkę. Stawia się dwa kroki I JA PIERDOŁĘ! Nosz kurwa, bez kitu, Cejrowski popierdalaający po ostrych amazońskich kamieniach nadal ma wygodniej!

No i ja też tak zostałam oszukana. Jeszcze na dodatek podczas pierwszego spaceru mój najstarszy syn wpadł na szalony pomysł

i powiedział:

– Ścigajmy się!

To żem się uśmieła!

Ale on mówi:

– Nie, na serio, dam ci fory. Twój dystans skrócimy o połowę.

I to mnie ubodło. Jeszcze nie tak dawno trzymałam smarkacza za rękę, gdy robił kupę. Zresztą on też mnie trzymał, gdy ja robiłam. A teraz ON CHCE MI DAWAĆ FORY.

Oceeniłam ten dystans, myślę sobie: „O cię chuj! No nic. Prawdopodobnie umrę, ale z godnością!”. Wystartowaliśmy.

Pędziłam jak gazela!

Jak jaguar!

Jak starsza pani, która widzi wolne miejsce w tramwaju!

Biegłam mimo kolki i wygrywałam. Zdażyłam krzyknąć jeszcze:

– Kto pierwszy, ten...

I wtedy usłyszałam takie ZIUUUUU i zobaczyłam, jak mnie wyprzedza, więc rozpaczliwie spróbowałam jeszcze podstępem:

– ...ten głupek! Styszysz?! Ten głupek!

Niestety nie zatrzymał się. Ja się zatrzymałam. Prawie zwymiotowałam z tego zmęczenia. Pytam go resztką sił:

– To ile przebiegliśmy?

A on mi na to:

– Ty? Na moje oko ze dwadzieścia metrów.

Wróciliśmy do domu w milczeniu. Nawet nie czułam bólu. Fizycznego, bo psychiczny jednak troszkę tak.

W domu zdjęłam buty, skarpetki i mało co nie padłam, ale nie chodziło o zapach. No bąbel na bąblu. Całe palce od stóp miałam pokryte bąblami. Zaniostałam te nieszczęsne, podmienione adidas do Siary i mówię:

– Rozbij mi je młotkiem!

– Co mam zrobić?!

– Rozbij mi je młotkiem! Mój ojciec zawsze tak robił, gdy matkę buty cisnęły.

No to zaczął mi je rozbijać. I tak rozbijał cztery dni, zanim się kapnęłam, że kupując buty, kupiłam też nowe skarpetki – jak się okazało, takie z chujowym, grubym szwem przez palce. Ale nic nie szkodzi. Nadal da się te moje rozbite adidas nosić. Wyglądają wprawdzie jak pletwy, ale za to w ładnym cielistoróżowym kolorze.

Dziś byliśmy z synem na rowerku. Po drodze zobaczyliśmy porzucony wózek sklepowy, tuż przy plaży... Pewnie musieliśmy wyglądać

dziwnie... Mały, wkurwiony diabeł tasmański zapierdalający na bieżące z okrzykami:

- ROOOAAAAR! ROOOOAR! MUHAHAHAHA!

Za nim ja w cielistoróżowych płetwach:

- AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!

A przy nas Siara na wózku, drący ryj:

- TURBODOŁADOWANIE!

Jak ta syrena

Wydreptując z najstarszym synem te nasze dziesięć tysięcy kroków dziennie wzdłuż plaży, wymyśliłam sobie, że skorzystam z okazji i mój amator fotografii „strzeli” mi przepiękne zdjęcie nad morzem, na tle zachodzącego słońca. A potem wrzucę tę fotę na moje konto na Instagramie. Koleżanki blogerki pokazały już Wam niemal każdy fragment swojego ciała, a mnie się od czterech lat nie chce zmienić zdjęcia profilowego, bo w sumie jaka to różnica?

Ale tym razem klamka zapadła.

Widziałam to oczami wyobraźni... Morska bryza rozwiewa mi włosy, ostatnie promienie rzucają nastrojowe cienie na mojej skórze, a ja stoję uśmiechnięta tajemniczo, jak ta syrena, co to kusi żeglarzy! Jak ta nimfa wodna!

Oczywiście liczyłam się z tym, że po publikacji Czytelniczki zaczną obgryzać paznokcie z zazdrości, a Czytelnicy będą mi masowo składać propozycje matrymonialne, no ale trudno! Nie wybrałam celowo tego piękna i bijącej na zewnątrz charyzmy!

Daję więc ostatnie wskazówki synowi, że mam wyglądać zjawiskowo i szczupło, po czym ustawiam się w połowie drogi do wody. Odrzucam włosy, patrzę niewidzialnym wzrokiem gdzieś w dal, żeby wyglądać inteligentnie, a po chwili krzyczę:

– Już?

Na co on odkrzykuje:

– Nie! Do tyłu! Cofnij się!

Cofam się nieco, ustawiam od nowa. Raciczka wyciągnięta, brzuch wciągnięty, włosy odrzucone, wzrok na tyle inteligentny, na ile potrafię, czyli obiektywnie podejrzewam, że nie za bardzo, ale przynajmniej się staram. I stoję.

– Już?

– Nie! Jeszcze do tyłu!

Robię kilka kroków w tył, choć za plecami słyszę już niebezpiecznie blisko szum fal, a i nogi zaczynają mi się zapadać w mokrym piasku. Ustawiam się po raz trzeci. I czekam.

– Już?

– Nie! Cofnij się bardziej!

– Jak daleko?

– Powiedziałaś, że ma wyjść szczupło?

– Tak.

- To do wody! Po szyję!

We własnym narzeczu

Śładki Bobrze, dobrze, że ten tydzień dobiega już końca, bo normalnie codziennie coś.

W poniedziałek dwuletni Julas, który jak wiecie, gdy kompocik jest, to się niespecjalnie odzywa – a przynajmniej nie po polsku. I nie po angielsku. Ewentualnie w swoim własnym narzeczu. W każdym razie w poniedziałek ten sam Julas podszedł do swojego ojca zmywającego naczynia, rozstawił ręce na boki, jakby mu ktoś arbuzy pod pachy wsadził. No, takie miniarbuzy. Powiedzmy te małe, dekoracyjne dynie. A jak już rozstawił te ręce, to zaczął przebierać paluszkami, spojrzął starym głąboko w oczy, wydał z siebie taki przerażający ryk prosto z trzewi, a potem wskazał paluszkami na kąt pokoju i powiedział:

– O, tam!

Po stronie Siary zapadło krępujące milczenie. A potem zdanie skierowane do mnie, z nutką pretensji:

– Nasz syn chyba bierze kwasy.

Nie podnosząc oczu znad gazety, odrzekłam spokojnie:

– Mówi, że w rogu pokoju jest straszny pająk.

– Pająk, powiadasz? – upewnił się Siara i tak jakby od ręki stracił -10 na pewności siebie i -100 na ogólnym komforcie.

– No, dobrze. Tata weźmie kapeć i...

– Hola, hola! Jaki kapeć?! – Tym razem podniosłam już oczy znad gazety. – Weź szklanke, złap go do niej, wsuń papierowy talerzyk pod nią i wynieś go na zewnątrz – powiedziałam zdecydowanym tonem, bo po pierwsze tu i tak wystarczająco pada, a poza tym byłam ostatnio na warsztatach o pająkach i dowiedziałam się, jakie one są niesamowicie potrzebne i przyteczne. I to nic, że były to warsztaty dla maluchów, a pani dwukrotnie kazała mi przesiąść się do tytułu i nie zastaniać złośliwie dzieci, gdy sama zgłaszałam się do odpowiedzi.

– Sama se wynieś! – bąknął pod nosem Siara. Widać odwaga mu wróciła.

– Mamy XXI wiek i musimy się zachowywać jak dorośli i odpowiedzialni ludzie! – wykrzyknęłam.

– Chyba ty! – krzyknął on, nie spuszczać pająka z oczu.

– Weź się opanuj! Junior cię obserwuje. – Wskazałam głową na minicłowieka, który właśnie stał i obserwował nas tymi swoimi świdrującymi minioczkami. – Musimy mu pomóc oswoić strach przed pająkami. Żadnych morderstw! Nie na mojej warcie!

No więc Siara stanął na wysokości zadania, przynajmniej na początku, i wziął tę szklankę. Choć w drugiej ręce trzymał też kapeć, bo twierdził, że czuje się z nim bezpieczniej. Dalej tą szklanką nie trafił, upuścił ją i upuścił kapeć, bo pająk na niego zemdłał. Po fakcie tłumaczyłam mu, że to i tak lepsze, niż gdyby miał się na niego zsikać ze śmiechu. A to, co potem zobaczył i usłyszał Julas, to jestem pewna, że w żaden sposób mu nie pomogło i czuję, że będziemy mu opłacać psychoterapeutę do czterdziestki.

W każdym razie wieczorem Junior streszczał tę sytuację starszemu bratu, który właśnie wrócił do chaty i wyglądało to tak:

Rozstawione na boki tapki, machanie paluszkami, ryk z trzewi, wskazanie na kąt pokoju. Dodanie słowa „tata”, skradanie się na paluszkach w stronę rzeczonoego kąta, z rękoma wyciągniętymi ku wyimaginowanemu pająkowi. A potem piski oraz krzyki, trzymanie się za twarz i lata nie wkóło.

Co obserwujący Julasa Siara podsumował obrażonym tonem:

– Wcale tak nie było!

A oczywiście, że było DOKŁADNIE tak! Mówiłam, że mały ma świ-drujące oczka i nas obserwuje!

À propos obrażenia – na mnie też się obraził. We wtorek jechaliśmy na zakupy. Jeżdżę zawsze z listą.

– Co to jest „płyn – Siara”? – zapytał.

– Nazwa wyleciała mi z głowy, a musiałam to jakoś zapisać. To płyn na grzyba.

Zemsta nadeszła w środę.

Pisałam maila na jego telefonie i pytam:

– Gdzie masz matpę (@)?

A on wstał i przytulając mnie mówi:

– O, tutaj!

W czwartek przeszarżowało z kolei moje najstarsze dziecko. Dwoma zdaniami wyjechał w kosmos całą moją wiedzę o wychowaniu dzieci i wszystkie rady ekspertów.

Wpadam do jego pokoju i podirytowanym tonem wyrzucam z siebie:

– Matko Bobrza, co ty masz tu za syf?! Pod krzestem chyba coś zdechło! A nie! Rusza się! I nawet drapie po jednej z siedmiu głów! Toć tu wygląda jakby bomba na środku wybuchła.

Na co on takim bardzo spokojnym, terapeutycznym tonem odparł:

– Niepotrzebnie się denerwujesz. Rozumiem twoje emocje i przecież nie bronię ci mieć własnego zdania. – Po czym pogłaskał mnie po ramieniu, wręczył mi bounty i poszedł na trening.

A ja tak zostałam i gryząc batona, zastanawiałam się: „WTF?!“.

W piątek wrócił do formy mój najmłodszy kandydat do wygryzienia z posady Ireneusza Krosnego. Powiedział coś do mnie. Ze zdania składającego się z dwóch słów rozumiałam jedno – „płoseę”. Próbowałam więc dopytać:

– O co prosisz, króliczku?

Na co króliczek przewrócił oczami, włożył krowę do kubeczka, uniósł brwi oczekująco i popatrzył na mnie dokładnie tak, jak ja patrzę na naszego marszałka seniora.

No ja pierdolę!

Gacie

Przyznaję, że rzuciłam błękitne gacie syna na grzejnik olejowy, bo wydawały mi się niedoschnięte.

Możliwe też, że faktycznie ten grzejnik był rozgrzany dość mocno.

Ale żeby od razu kręcić aferę, bo przebierając się na wuefie zauważył, że ma przez to z tyłu żółtobrazowy szlaczek?!

Pewnie nawet nie on jeden.

Nie znają życia ci nastolatkwie...

Tancerz

Dzisiaj w szkole Stiflera odbył się Kings & Queens Ball. Rodzice zostali zaproszeni na ostatnią godzinę. Jadłam sobie spokojnie bułeczkę i z miłością w oczach patrzyłam, jak mój synuś wspaniale tańczy, gdy podeszła do mnie jego wychowawczyni. Wręczyła mi oceny opisowe, w kopercie. A kiedy zabrałam się do otwierania tej koperty, odezwała się:

– Wszystko ok, z niektórych przedmiotów jest na poziomie rówieśników, z niektórych jest wyżej. Jest grzeczny, uprzejmy, ma wielu kolegów. Jest też jednak coś, co mnie niepokoi. Przedmiot, z którego nie idzie mu dobrze. Domyślasz się jaki?

– Nie – odpowiedziałam szczerze zaskoczona.

– Muzyka – podpowiedziała. – On kompletnie nie ma wyczucia rytmu. Lubi śpiewać w domu?

– Raczej tak.

– W szkole śpiewa chętnie. Głośno. Nie zważając na melodię. Jak zapomni tekstu dorabia własne słowa.

Uśmiechnęłam się. Moja krew.

– No i to... – powiedziała z lękiem w głosie i – bez kitu – z trwogą w oczach, wskazując na tańczącego synusia.

Przez moment, dosłownie przez ułamek sekundy, zobaczyłam dziecko, które wygląda jak podczas ataku padaczki. Potrząsa głową jak rasowi metal. Dalej robi coś na kształt weselnych kaczuszek. Taniec robota, macarena i Slash grający na gitarze. Nie wiem, czy warto wspomnieć, że piosenka była w miarę wolna, takie tam plumkanie. W każdym razie na koniec synuś wykonał takie ruchy, jak gdyby wsadził gwoździak do kontaktu, a wtedy być może zrobiłam równie wielkie oczy co pani nauczycielka.

Ale zaraz się uspokołam, bo coś sobie przypominałam i nawet miałam przez chwilę dylemat moralny. Udawać zmartwioną czy powiedzieć jej prawdę?

Przecież to w naszej rodzinie normalne. My wszyscy tak tańczymy.

Yasin

W mojej poprzedniej książce ukazał się felieton zatytułowany *Grzywka*. Ponoć istnieją na świecie heretycy, którzy tego tekstu nie czytali, więc dla nich streszczę, co w nim opisałam. Otóż mój syn uważał, że każdy głupi mógłby zostać fryzjerem, więc pozwoliliśmy mu samodzielnie pomajstrować przy swoich włosach. Nie będę Wam tu streszczać wszystkiego, ale powinno Wam wystarczyć, że tydzień później prawie wpadł w histerię, tak bardzo nie chciał, żebyśmy zapłaciła za pamiątkowe zdjęcie szkolne.

Minęło od tego czasu kilka lat i przyznaję, że najwyraźniej to nie był najszcześniejszy pomysł, bo zdaje się, że wywołała u niego jakąś traumę. Spowodowała ona wprawdzie to, że – matko kochana – jak on szanuje teraz fryzjerów! W pas się każdemu kłania! Ale równocześnie przegina niestety w drugą stronę. I jak na co dzień jest całkiem wygadany chłopakiem, tak na fotelu fryzjerskim traci całą swoją asertywność.

Ale od początku.

Jakoś tak się złożyło, że przed całym tym koronawirusowym chaosem byłam dwa razy z rzędu, w odstępie kilku tygodni, z synusiem u fryzjera. No tak jakoś wyszło, bo fryzjer jest akurat obok sklepu, w którym często robimy zakupy, więc gdy mieliśmy wrócić na chatę, to jeszcze synus oznajmiał, że śmignie się ostrzyc, a ja potakiwałam spokojnie, bo właśnie na takie okazje mam w telefonie ambitną grę strategiczną, więc nie mam problemu z czekaniem. Po prostu sobie spokojnie siedzę i z małego działka napierdalam w kolorowe bąbelki, którym nadaję imiona nielubianych ludzi.

Fryzjer mojego syna ma na imię Yasin. Jest młodym chłopakiem, który – jak wyjaśnił mi syn – chciałby zostać kaskaderem, ale jego ojciec „nie po telepał się z Turcji, wyprzedawszy cały swój majątek, który zainwestował w zakład fryzjerski w UK, żeby mu smarkacz go roztrwonil w podskokach”. I to dosłownie. Albo w fikotkach. No nie wiem, co tam kaskaderzy głównie robią. Znaczą trochę wiem, bo Yasin a to kuleje, a to się nie może wyprostować, a to ma śliwę na pół twarzy i trochę opowiada mojemu synowi, co akurat ćwiczy po pracy. Jakiś tam zarys tego, co on tam odpierdziela, powinien dać Wam fakt, że kilka tygodni temu podsłuchałam, jak mój syn tłumaczył fryzjerowi, na czym dokładnie polega zamknięty obwód elektryczny.

Poza tym obaj słuchają tej samej muzyki, mają wspólnych znajomych i wygląda na to, że synuś tego gościa zwyczajnie lubi, co moim zdaniem w tym wypadku go gubi i właśnie przez to nie jest obiektywny. Bo obiektywnie rzecz biorąc, to do Yasina, jako do jedynego w zakładzie – tfu! – W SALONIE, nigdy nie ma kolejek. A przecież wiadomo, że jak do fryzjera nigdy nie ma kolejek, to „wiedz, że coś się dzieje”.

Osobiście zarejestrowałam, że Yasin ma przedziwny styl pracy. Mój syn dwoi się i troi, żeby mu wyjaśnić, jak chce być ostrzyżony, i co by nie wymyślił – klasyczne „z tyłu krótko, z przodu dłużej” albo te wszystkie *pompadour*, *slicked back*, *quiff*, *crew cut* i różne inne, na których się nie znam – i tak zawsze wychodzi z jedną i tą samą fryzurą. Nie mam pojęcia, jak ta fryzura się profesjonalnie nazywa, ale moja robocza nazywa brzmi: „Na Opierdoloną Owcę, Której Krewni Parzyli Się Ze Sobą Przez Kilka Pokoleń”. To ostatnie skojarzenie to przez efekt, jaki daje wyjątkowo paskudnej długości grzywka. Moim zdaniem, gdyby istniało piekło, to byłby tam specjalny kocień dla wszystkich fryzjerów, którzy tną do tej długości.

Generalnie sytuację mojego syna w tym salonie można porównać do sytuacji premiera podczas orędzia. Obaj przez godzinę wygłaszają pobożne życzenia, ale koniec końców prawie nic z tego się nie spełnia.

No i teraz zapytacie, jak to się dzieje, że Yasin go tak krótko opierdziela, mimo że syn woli dłuższe włosy. Otóż, ten dziwny styl pracy polega właśnie na tym, że po tym jak synuś zasiądzie wygodnie na fotelu i się wyprodukuje, to Yasin bierze maszynkę i mniej więcej na wysokości ucha upierdala mu taki pasek włosów, powiedzmy z 4 x 15 cm, a zaraz potem pyta:

– Tak będzie dobrze? Dobrze tak? Bo ja uważam, że świetnie! Idealnie! Golimy tak dalej?

Przyznaję, że jak pierwszy raz usłyszałam te pytania, w takich okolicznościach, to mógł mi rozjebać.

Jak już wspominałam, syn nie ma problemów z asertywnością, tymczasem z tego dwumetrowego ciała wydobywa się jedynie takie:

– Ach! – I to głosiłem czteroletniej dziewczynki.

A wtedy Yasin zaczyna go nerwowo oglądać. Uszy. Oczy. Szyję.

Przyznam szczerze, że dopiero przy drugiej wizycie kapnęłam się, że nerwowość Yasina w takiej chwili może mieć związek z tym, że on zawsze w drugiej ręce trzyma nożyczki, cały czas gada, przy tym dużo i zamasyście gestykuluje.

No i, kurde, możliwe, że po prostu nie wytrzymałam i gdy Yasin znowu wygolił mu ten prostokąt 4 x 15 nad uchem, na niemal tyso, po czym spytał: „Tak będzie dobrze? Dobrze tak? Bo ja uważam, że świet-

nie! Idealnie! Golimy tak dalej?", to przestałam naparzać w bąbelki i powiedziałam bardzo głośno:

– Moim zdaniem zdecydowanie za krótko. Niech te włosy w tym miejscu będą jednak dłuższe, tak ze trzy centymetry!

Z Yasina wydobyło się jedynie tylko takie ciche:

– Ach! – I to głosem czteroletniej dziewczynki.

Ale chyba zostałam bohaterką w tym salonie, bo nawet jego stary się odwrócił, żeby mi się przyjrzeć, i wyglądał przy tym, jakby tym razem jemu mózg rozjebało.

No sorry, ale no zaczął! Niech mi ktoś, kurde, wytłumaczy sens pytania „czy tak dobrze?” po tym, jak typ wyciął mu niemal tysy prostokąt na głowie! Jakie on daje opcje odpowiedzi?!

„Nie, nie podoba mi się, proszę cofnąć ten ruch”?!

No, na litość Bobra!

Ale to jeszcze nic.

Gdy tego dnia już myślałam, że nic gorszego mnie nie spotka, to wróciłam z moim synem, habsburską owcą, do domu. A jak to mówią – kto był u nas w chacie, ten w cyrku się nie śmieje. Chwilę potem położyłam Stiflera spać i nalałam sobie drinka. Ledwo usta umoczyłam – Stifler dziarsko z powrotem wkroczył do pokoju.

– Mamusiu, czy pomożesz mi zasnąć? Miałem wczoraj zły sen i mi się przypomniał.

– Jasne, że pomogę – powiedziałam i poczłapałam za nim do pokoju.

A musicie wiedzieć, że pokój Stiflera jest mały. Łóżko za to duże, piętrowe, stojące przy regale z książkami. Stifler bez problemu wślizguje się na górę, ale to, co ja muszę odpiardolić, żeby tam się dostać, to w GROM-ie wzbudziłoby szacunek nawet weteranów. Zapierdalałam więc po tej drabince, wciągając brzuch, żeby się prześliznąć przy wystających z regału książkach – ni chuja! Zadzieram nogę, żeby przeleźć od razu przez barierkę – ni chuja jeszcze bardziej! W końcu się odbijam i robię jakiś taki... nazwijmy to „desant”. Przez chwilę myślę, że zarwałam deski, ale nie! Wszystko jest ok, a więc leżę w ciemności i sapię, bo ostatni raz taką aktywność fizyczną przejawiałam chyba w '86. A jak wiadomo, nie jestem stworzona do ćwiczeń. Przy mnie leży Stifler. Leży i czuję, że się na mnie patrzy. Nie zagaduję, bo głupia nie jestem, mam czworo dzieci i wiem, że pod żadnym pozorem nie należy zagadywać zasypiającego dziecka, jak się tak nie chce przeleźć jeszcze czterech najbliższych godzin.

Stifler jednak pęka i w końcu sam się odzywa:

– Mamo?

– Tak, króliczku?
– Czy wiadomo, kiedy starzy ludzie umrą ze starości?
– Różnie to bywa. Czasem wiadomo, bo wszystko wskazuje na to, że ludzie niebawem odejdą, a czasem po prostu zasypiają i już się nie budzą.

Leży. Milczy. Kręci się. Widać, że coś go ciśnie.

– Mamo?

– No?

– A ile ty masz tak dokładnie lat?

– W lipcu skończę trzydzieści sześć.

Leży. Znowu milczy. Rozkminia. I nagle odzywa się:

– Możesz sobie już pójść?

– Mogę. Ale dlaczego?

– Za duże ryzyko, że tu zaśniesz, a chyba nie jestem w razie czego gotowy, żeby się obudzić koto trupa.

Teraz ja milczę. Bez słowa po prostu spadam z łóżka. Tak jest najprościej. Wstaję, otrzepuję się, sięgam po drinka i idę szukać Siary.

Znajduję go w łazience, właśnie rozkręcił sitko w brodziku, bo odpływ nam się zapchał, i wyjął stamtąd kłęb włosów. Stoi tak, patrzy na niego i pyta:

– Co to, kurwa, jest?

A ja, ponieważ nawet gdy jestem megazmęczona, to nadal jestem czarująca, chciałam sobie zażartować, więc mówię:

– Wąsik rano depilowałam.

I teraz tak: Panowie, jedna złota rada ode mnie.

Jeśli chcecie dożyć następnych urodzin nigdy, ale to NIGDY nie patrzcie najpierw na kłęb kłaków wyjęty z odpływu, wielkości dorodnego szczura, potem na żonę.

Potem znowu na kłęb.

Na żonę.

Na kłęb i na żonę szybko.

I nigdy po tym nie próbujcie zde gustowanym tonem powiedzieć do niej:

– To następnym razem, z łaski swojej, weź gól ten wąsik nad kiblem!

Ojcostwo po raz kolejny

Moja koleżanka niedługo rodzi po raz drugi i spytała mnie dziś, czy mój mąż podchodził jakoś inaczej do pierwszego i kolejnych porodów.

Niech pomyślę.

Przy pierwszym, kiedy odeszły mi wody, spędził 12 godzin w samochodzie pod szpitalem, żeby nie przegapić rodzinnego porodu.

Przy czwartym, gdy przypomniałam mu, żeby się zbierał, bo jesteśmy umówieni w szpitalu, spojrzął najpierw na kubek z herbatą, który trzymał w jednej ręce, potem na talerz z kanapkami, który trzymał w drugiej i wykrzyknął:

– Ja pierdzielę, no serio teraz?!

Tajemnica

W takiej przeciętnej grupie przedszkolnej „Żabki” istnieje przynajmniej jedno danie, na widok którego wybuchu gremialna panika.

Zaszczyt bycia traumą małolatów – obok mojego kumpla, który wybierając ostatnio korniszony w Biedrze, usłyszał za plecami szept: „Jak będziesz niegrzeczna to ten pan cię zabierze! Chcesz, żeby cię ten pan zabrał?! No popatrz na niego, chcesz?!” – przypada na ogół...
WAŹRÓBCE!

Gdy wątróbka wjeżdża na stół osiemnaście na dwadzieścia „żabek” zaczyna histeryzować, szlochać i tarzać się po glebie.

Ale w każdej przeciętnej grupie przedszkolnej, a takie właśnie są „Żabki”, znajdzie się zawsze dziewiętnasta „żabka”, mały Jasio, który szamie swoją wątróbkę, aż mu się uszy trzęsą. Na widok czego dwudziesta „żabka”, dotąd twarda, zwyczajnie mdleje.

Gdy Jasio wsunie swoją wątróbkę, to najpierw pyta kolegę po prawej: „Nie jesz? To ja wezmę”. Potem pyta kolegę po lewej. A potem już się nie pierdzieli i zbiera na swój talerz wszystkie pozostałe porcje od całej grupy. W dorosłym życiu zaś zostaje jakimś alpinistą czy innym kaskaderem, bo przez cały czas siedzą mu w głowie te spojrzenia i szepty „żabek” z tamtego dnia.

...Dla ciebie, Jasiek, nie ma rzeczy niemożliwych...

...Mój bohater!...

...Niesamowity czubek! Ale i tak mi zaimponował!...

Mój najstarszy syn był takim Jaśkiem, aż do pewnego feralnego letniego piątku. Nic nie zapowiadało dramatu, jak to w życiu bywa. Słońce łagodnie grzało przez okno, kątem oka obserwowałam pająka, który rozpinął w rogu pajęczynę, gdy nagle podczas obiadu synuś spytał:

– Mamo, a z czego tak właściwie jest wątróbka?

Zapadła głucha cisza. Pomyślałam o tych wszystkich chwilach, gdy mówiłam Siarze, że chyba za mocno wiąże mu czapeczkę.

Jednak to było za mocno.

Gdy wyszłam z pierwszego szoku, bo ten mój Jasiek, to już miał wtedy z dobre 10 lat, odparłam:

– Synuś, pająk się z ciebie śmieje, na litość Bobra! No, kurna, jak z czego jest wątróbka?! A jak ci się wydaje? WAŹRÓBKA. Patrz mi na usta: WAŹRÓBKA! – powiedziałam, śmiejąc się.

– No i co, że „WAŹRÓBKA”?! Chcesz powiedzieć, że „GOŁĄBKII” są z gotębi?! – zapytał, a pająk w zamyśleniu pokiwał

głową.

Od razu przestałam się śmiać.

– Ty mi tu z gołąbkami nie wyjeżdżaj, głupi przykład w ogóle. Wątróbka jest z wątroby. A co?

Synuś niestety nie zdążył odpowiedzieć, bo haftował w łazience. Ledwo żeśmy go odwiedli od pomysłu pojechania na pogotowie z prośbą o płukanie żołądka. Po czym od tego dnia nigdy już nie tknął wątróbki.

(Ta scena kończy się stadem kurczaków, które najpierw krzyczą: „Yes! Yes! Yes!”, a potem najtwardszy, być może też dosłownie, robi gest Kozakiewicza w naszą stronę).

Rzecz w tym, że on taki plebejski gust po starych odziedziczył i jak już przestał jeść tę wątróbkę, to się przerwucił na... kaszankę. I nie mam sumienia powiedzieć mu, z czego jest ta cholerna kaszanka, i po raz drugi złamać mu serce. Temat oczywiście podjął, bo po tym incydencie z wątróbką sprawdzał chyba nawet, czy jabłko jest aby na pewno z jabłotki, a nie z wnętrzości maciory, ale szczęśliwie dla siebie nigdy nie dotarł z tym pytaniem do Google. Wystarczyło mu moja odpowiedź:

– Kaszanka? No TEŻ z kaszy, jak sama nazywa wskazuje.

W sumie nie wiem czemu „też” napisałam capsem, bo akurat to słowo wyszeptałam pod nosem.

Strasznie mną miota, bo na dzisiejszą kolację kaszankę sobie zaży-czył. A mnie się w nocy śniło, jak leży na kozetce u psychoterapeuty i mówi:

– I nigdy mi nie powiedziała... NIGDY! Czterdzieści lat jedzenia kaszanki, jak jakiś jebany Dracula...

A potem puszczają pawia i płaczą razem.

Złamany palec

Ten tekst powstał w wielkich emocjach tuż po rodzinnej tragedii, jak miała miejsce w 2015 roku.

Przyszła kryska na Matyska.

Kilka dni temu moje najstarsze dziecko, tłukąc się z młodszym bratem, upadło niefortunnie i złamało palec lewej ręki.

Jako że początkowo nie wyglądał on źle, wspólnie uznaliśmy, że nic mu nie jest, ale niestety rano palec złośliwie postanowił spuchnąć i zsinieć. Wcześniej rano.

A w zasadzie o trzeciej nad ranem obudziło mnie pytanie, jak wygląda martwica.

Uspokoił się go w naszym stylu, zapewniając, że martwica wdaje się w palec tylko wtedy, gdy dzieci nie wykonują swoich obowiązków domowych.

Pojechaliśmy też do szpitala, bo nie dał się oszukać, że Siary telefonem robimy mu prześwietlenie i nic mu nie jest, niech wraca spać i my również.

W szpitalu, tym razem otwarcie, śmiano się z prób wymówienia imienia syna, zwłaszcza w połączeniu z naszym nazwiskiem.

Syn się nie śmiał.

Bał się prześwietlenia, bo miało być to jego pierwsze w życiu.

Wprawdzie przez godzinę tłumaczyliśmy mu, że położy tylko rękę w odpowiednim miejscu, ciach-pach, cykną mu fotę specjalną maszyną i nawet się nie zorientuje kiedy skończą, bo zaraz go wyproszą.

Niestety, z przyczyn niewiadomych, dziecko nie ufa nam w kwestiach medycznych. Myślę, że niepotrzebnie powiedzieliśmy mu kiedyś, że mikrochirurg to specjalista poniżej metra pięćdziesięciu. Później oglądał jakiś program na Discovery i sprawa się rypta.

Z nerwów przed badaniem powiedział pielęgniарce, że urodził się w roku 204, a na moje: „Syn jest autorem m.in. pierwszych zapisów runicznych”, próbował zabić mnie wzrokiem.

Spytał tylko, kto robi rtg.

Powiedziałam, że radiolog. Choć w głowie miałam fajniejszą odpowiedź, jednak nie sądzę, aby wiedział, kto to Tomasz Tomaszewski.

Potem zapytał, gdzie to zdjęcie trafi.

– Do chirurga pewnie – odparłam. I tu poradziłam mu, żeby był otwarty. Wszak chirurdzy lubią otwartych ludzi.

Pytał też, czy przy nastawianiu kości dostaje się narkozę, i chciał, abym mu wytłumaczyła, dlaczego to zależy od słuchu lekarza. I dlaczego głusi lekarze nie dają.

Śmiałam się, jak zwykle sama, a on patrzył na mnie tylko bardzo dużymi oczami.

Widać poczucie humoru po ojcu odziedziczył.

Później syn powiedział, żebym spoważniała, bo ma obiekcje, co do bagatelizowania jego stanu. A przecież ręka może mu odpaść, czy coś, bo czuje jak mu dziwnie sztywnieje i zaczyna mrowić. A jeszcze dalej to weszliśmy do gabinetu, gdzie na pytanie lekarza, jak się czuje, odpowiedział: „Super. Phi. To tylko palec. Phi. W ogóle nie zauważył, że mu coś jest, tylko mama panikowała. Phi”.

A wtedy ja miałam bardzo duże oczy.

Niestety lekarz nie dał się namówić na założenie gipsu. Ani zielonego, ani żadnego innego. Ponoć wystarczy usztywnić dwa palce razem kawałkiem plastra i voilà.

Trudno.

Syn jest i tak dumny – i z palca, i z plastra.

Tak czy siak, trzeci dzień jest w stanie agonialnym.

Wiecie, jak to jest, kiedy pięknie kość najmniejszego palca – dreszcze, gorączka, omamy wzrokowo-słuchowe, katatonia, epilepsja, lumbago, alzheimer... Do tego dochodzą też cierpienia psychiczne.

Najbardziej cierpi z tego powodu, że nic nie może. Ani zetrzeć kurzu w swoim pokoju, ani posprzątać w swojej szafie, ani śmieci wyrzucić.

Może niestety tylko grać na Xboxie i jeść deser. A musicie wiedzieć, że biednemu dziecku należy się duży deser. Przedwczoraj mi to uświadomiono. Czterokrotnie. Z wyrzutem.

Jeszcze z rzeczy, które może, to dzielić się ze światem swoją tragedią.

Wiem o tym, bo nasza mała sąsiadka spytała mnie, czy to prawda, że Don Juan złamał palec, zatrzymując bandytę w sklepie.

A teraz dochodzą do mnie fragmenty rozmowy Don Juana, który stoi przed domem z inną koleżanką i na potrzeby własne przerabia odcinek *Kapitana Ameryki*.

A rano tuż po przebudzeniu poprosił o bezy.

– Z kremem, jeśli to nie problem – dodał, po czym narysował w powietrzu serduszko. Złamanym palcem, oczywiście.

A ja mam piekarnik gazowy, psia mać!

Naprawdę jestem bliska, żeby rzucić to wszystko w pizdu i zostać striptizerką. Niestety mam cellulit, watki i nie potrafię normalnie tańczyć. Choć jak dłużej o tym pomyśleć, to w sumie mogłabym się wzbogacić. Ludzie bywają bardzo wrażliwi, nie? Myśleliby: „Biedna striptizerka, nie dość, że ma cellulit, watki, to jeszcze padaczkę”.

I Don Juan mógłby odbierać mnie po pracy.

Wtedy by myśleli: „Biedna striptizerka, nie dość, że ma cellulit, watki, padaczkę, to jeszcze syna ze złamanym palcem”.

Muszę to wszystko jeszcze raz przemyśleć, bo znowu czuję, że kariera ucieka mi bokiem.

Usta w ciup

Byłabym wielką hipokrytką, gdybym napisała, że w życiu przy dziecku nie przeklełam. Nie przeklinam do dzieci, nie wyzywam, ale prawda jest taka, że moje dzieci nieraz słyszały, jak w rozmowie z kimś używałam wulgaryzmów różnego kalibru. Zazwyczaj nie zwracały na to uwagi.

Sporadycznie zdarzało się, że któryś z synów zapytał mnie, co konkretnie dane słowo znaczy. Tłumacząc, zaznaczałam, że jest to słowo powszechnie uznawane za nietadne, że w wielu miejscach i przy wielu osobach nie wolno byłoby go użyć, że wulgaryzmów używają tylko niektórzy dorośli, dlaczego ich używają itd. Zawsze dostosowywałam ilość wiedzy do wieku dziecka, ale nigdy nie kłamałam. Nie jestem zwolenniczką okłamywania dzieci i uważam, że nie ma co tworzyć niepotrzebnego tabu. Wszystko da się spokojnie wyjaśnić.

Ten system działał bez zarzutu niemal 17 lat, bo tyle ma mój najstarszy syn. Z ręką na sercu mogę przyrzec Wam, że ani nigdy nie słyszałam, żeby którekolwiek z moich dzieciaków przekleło, ani nigdy nikt mi o tym nie powiedział. Z rozbawieniem obserwowałam dzieci nieprzeklinających znajomych, które przynosiły z przedszkola „kurwę” albo inne „spierdalaj”, ku przerażeniu swoich staruszków. A znajomi obserwowali ze zdziwieniem moje dzieci i mnie, no i zachodzili w głowę, jak to się dzieje, że moim dzieciom to się nie zdarza.

Nieprzypadkowo w zdaniu „ten system działał...” użyłam czasu przeszłego. Bo oto nadeszła era Julasa, czyli mojej najmłodszej, trzyletniej już, latorośli.

To był zwykły dzień, w którym najstarszy brat Julasa postanowił wziąć mikrusa na spacer. Kiedy wrócili od progó usłyszałam:

– A teraz powiedz mamie, co wykrzyczałeś na ulicy?

– Kulwa mać!

Zdębiałam. Myślałam, że się przestyszałam, więc poprosiłam mojego słodkiego króliczka o powtórzenie.

– Kulwa mać! – powtórzył słodki króliczek.

Nie mam pojęcia, dlaczego zareagowałam panicznie. Niby wiedziałam, że najlepiej jest dziecku spokojnie wszystko wytłumaczyć, a potem po prostu konsekwentnie nie zwracać uwagi na dziecięce przekleństwa. Tymczasem ja w jednej chwili postanowiłam złamać i tę zasadę, i jeszcze tę o nieokłamywaniu. W końcu i tak wmawiam im, że istnieje Święty Mikołaj, więc jebać to!

– Króliczku, kojarzysz, jak mamusia wygląda rano, gdy się budzi? To kiedyś tak nie wyglądałam. Kiedyś byłam piękna, a potem mówiłam dużo „kurwa mać” i o! Proszę, co się stało.

Króliczek przyjrzał mi się, wyglądało jakby zatrybił, i poszedł się bawić.

Wróciłam do swoich obowiązków, targana wyrzutami sumienia. Powiedzieć, że przeklinam, to jak nie powiedzieć nic. Potrafię sklecić zdanie wielokrotnie złożone z samych bluzgów. Wymyślam własne przekleństwa. Obrzucam inwektywami slangiem i w gwarze. Pierwszą uwagę za przeklinanie dostałam jeszcze na początku podstawówki. Dalej było już tylko... bardziej ekspresyjnie. I zawsze jak mnie ktoś pytał, czemu klnę, to odpowiadałam szczerze: „Bo w chuj lubię”. I tyle.

Co zawiodło? Kiedy podłapał? Bo że ode mnie, to przecież jasne. Postanowiłam podzielić się tymi wszystkimi wątpliwościami z mężem, a on udzielił mi wsparcia pod postacią:

– No pięknie! Pięknie! No brawo! – Po czym złożył usta w ciup, pocmokał, pokiwał głową i zdegustowany odszedł.

Kilka dni później sytuacja powtórzyła się. Byłam w kuchni, mój najstarszy i najmłodszy syn siedzieli w pokoju, a ja usłyszałam:

– Kulwa mać!

I po chwili znowu. A potem w drzwiach pojawiła się moja przebiegła, dorosta już niemal pociecha i rzekła:

– Zagadka rozwiązana! On mówi te swoje „kulwa mać!”, jak ktoś trąbi! Słyszałaś? Przed chwilą zatrąbił sąsiad. I tak mi się skojarzyło, że gdy byłem z nim na spacerze, to też ktoś trąbił.

Poszłam do pokoju.

– Króliczku, czy to prawda, że mówisz brzydko, gdy słyszysz klakson?

– Yhy – odparł króliczek

– A dlaczego?

– Tak trzeba. Tata tak robi.

I byłaby KURTYNA w tym miejscu, ale pewnie jesteście ciekawi, co było potem i czy dalej tak gada. Póki co już nie, bo mu wytłumaczyłam, że tak się wcale nie mówi, gdy ktoś trąbi. Po prostu. Natomiast od wczoraj gada za to: „No ja pieldole”, bo MÓJ MAŻ uderzył się matym palcem w kant łóżka, a myślał, że synuś jest w łazience. Nie był. A ja? No cóż. Wspieram męża. Powtarzam stale:

– No pięknie! Pięknie! No brawo! – Po czym robię usta w ciup, cmo-kam, kiwam głową i odchodzę.

Tymczasem na Instagramie

Jak macie urządzone „na chacie”?

Jak z katalogu, czy bardziej w stylu: „Byłoby fajnie, ale mam dzieci”? Macie czasem zabawki w każdym kącie? Napotykanie bluzę porzuconą na krześle? Wypierniczacie się o małe kapcie zdjęte na środku pokoju, bo właściciel musiał zrobić bardzo ważną rzecz „natentychmiast” i koniecznie na bosaka? Czy Wasze podłogi mają rysy, a obicia wieczne plamy? Czy obok Waszej porcelany stoi kubek z pierdzącym potworem ze sklepu, gdzie wszystko jest za piąta?

A co ze sztuką?

Tak bardziej w stylu Zdzisława Beksińskiego czy głowonogów przypiętych do lodówki, kwiatów z bibuły w ozdobionych brokatem i cekinami stoikach po majonezie oraz dziwnych kamieni, których pochodzenia nie jesteście pewni i do końca nie chcecie wiedzieć, bo jeden wygląda jak zeschnięta psia kupa? Tak w wielkim skrócie sztukę w Waszym domu dałoby się opisać słowami: „Tu się świeci, tam się błysko, dzisiaj na wsi będzie disco”?

A znacie to uczucie, kiedy pół dnia sprzątacie i jak dochodzicie do końca, to na początku już jest zasyfione?

Jeśli chodzi o mnie, odpowiedzi wyglądają: to drugie, tak, tak, no rejczel, nie piję z porcelany, tylko z kubka w kształcie głowy szturmowca z *Gwiezdných Wojen*, to drugie, tak, *story of my life*.

Najgorsze jest to, że zaczynam podejrzewać, że w tym szaleństwie jestem sama.

To przez Instagram.

Część z Państwa wie, że jestem na Instagramie, bo mnie tam część z Państwa wyczytała, ale nie wiecie jeszcze, że poszłam krok dalej i ja wyczytałam Matki – Instagramerki. Te bardzo znane.

Co tam się na tych profilach niektórych „odmontypajtonia”, to nie mam pytań. A w sumie mam. Nawet niejedno.

Czy one serio na plac zabaw ubierają synów w marynarki i czy to jest wygodniejsze od dresów?

Jak wygląda u nich Gwiazdka? Koleżanka w przedszkolu mówi do ich dziecka:

– Jestem ciekawa, co mi Mikołaj przyniesie.

I na to ich dziecko odpowiada:

– Ja wiem, co mi przyniesie: kolejną lalkę w kolorze majtkowego różu, bo pasuje do ściany. Szarego pieska z włóczki, bo pasuje do lalki. Metalowy budzik, bo dobrze będzie wyglądał na półce obok bukietu róż i smoka z czterech leśnych patyków za osiem stów, bo jest modny na Instagramie i można dać hashtag #eko.

– To może narysuj Mikołajowi, co byś chciała...

– Nie mogę zużywać kredek, bo takie oryginalnej długości lepiej wyglądają na zdjęciach.

Serio, kuźwa, nie ogarniam tej kuwety.

Tam w dziecięcym pokoju zabawki pasują do siebie kolorystycznie! KOLORYSTYCZNIE!

Ja to myślałam, że jak moja mama w ramach dekoracji pokoju poprzyczepiała mi kiedyś lalki do belki na ścianie, to już nie było normalne. Wiecie, te lalki poprzyczepiane były sznurkiem za ręce, za szyje. To chyba jakiś cud, że ja nie wyrosłam na psychopatyczną morderczynię. I cudem będzie, jeśli właściciele zabawek pod kolor zaston nie wyrosną na jakich postów czy coś. Żeby nie było, że nie ostrzegęłam! Może warto się zastanowić, zanim się powie:

– Nie kupię ci paczki dinozaurów, możemy wziąć tylko triceratopsa, bo jest turkusowy. Fioletowy pterodaktyl odbierze nam lajki, bo fiolet był modny w zeszłym sezonie, a żółty tyranozaur zaburzy harmonię!

I żebyśmy się źle nie zrozumieli – nie mówimy tu o konkretnych osobach. Raczej o potowie Matek – Instagramerek. Potwierdzam też, że te ich zdjęcia są bardzo ładne, a te pokoiki dziecięce, jak i ich właściciele, wyglądają gustownie. Ale, na litość Bobra, „gustowny” to nie jest dobre określenie na pokój sześciolatka!

Gdzie te stare, dobre czasy, w których pokój odzwierciedlał właściciela? Człowiek wchodził, rozejrzał się i w trzy minuty wszystko wiedział. Na przykład: depešowiec, katolik, fan motoryzacji. Na lewo plakat z zespołem, na biurku zegarek z kalkulatorem z komunii, a obok resoraki.

A teraz co? Wchodzisz wirtualnie do takiego pokoju i co powiesz o dziecku oprócz tego, że ma dziwną starą?

Wszystko takie same, jak na innych profilach. Nawet maskotki te same, nie dlatego, że fajne, ale dlatego, że modne. Jak ten królik z wodogłowiem.

A rzecz w tym, że dzieci na ogół nie mają wycucia gustu! Wiem, bo mam czworo. Właśnie siedzi obok mnie mój sześciolatek, w zielonej bluzce w dinozaury oraz niebieskich szortach w czerwone głowy Spider-Mana. Powiedziałabym mu, że ten zestaw kijowo wygląda, ale widzę, że jemu się podoba i jego cieszy. A o to w ciuchach przecież

chodzi. Mają się podobać właścicielowi, a noszenie ich ma sprawiać mu radość.

Dzieci są kreatywne! Nie potrzebują wymyślnych dekoracji pokoju od znanych projektantów. Dajcie im kolorowy papier, klej, nożyczki, brokat, sznurki, muszelki i kamyki. A potem patrzcie i bądźcie dumni. Tak jak i oni będą, gdy się przypnie ich dzieło do lodówki, a nie wyrzuci czy schowa do szuflady, zastępując dziecięce dzieła tymi, które są na topie.

Dzieciaki kochają postacie z bajek, zwierzątka i kolorystyczne szaleństwo! Dzieci brudzą! Siebie samych i wszystko wokół. Jasne, że sprzątają i po nich się sprząta, ale jak widzę te sterylne pokoiki i ich właścicieli w śnieżnobiałych ciuszkach z logo drogiej marki, to mam nieodparte wrażenie, że w prosektorium lepiej się bawią.

Dzieci są mądre! I widzą, że coś nie gra, gdy matka wiesza modne hasła i każe im się fotografować, ciągle z tym samym uśmiechem, pod napisem „Bądź sobą!”.

Muszę przyznać, że gdy przeglądałam te profile, to w pierwszym odruchu poczułam się jak taka stryjenka Jadwinia, która z małej wsi przyjechała w odwiedziny do wielkiego miasta, gdzie powiewa Zachodem. Jakimś takim lepszym światem. Ładniejszym. Wysublimowanym. Bardziej wyrafinowanym niż kolorowa świnka skarbonka z pokoju Stiflera, przy zegarku w kształcie Batmana, na tle naklejek kotków z jarmarku i własnoręcznie zrobionych z jednorazowych talerzyków rybek i meduz. A potem do mnie dotarło, że jeśli to szopka do zdjęć, to niech im będzie, ale jeśli oni tak żyją, to fundacje zajmujące się ochroną praw dzieci powinny się tym zainteresować, bo cytując klasyka:

To jest, kurwa, dramat.

Geniusz

Dziecięcy geniusze byli, są i będą wśród nas.

W 1956 roku uznano, że dziesięcioletnia wówczas Marilyn vos Savant ma IQ 228.

W 1984 roku półroczny Michael Kearney powiedział do pediatry: „Mam infekcję lewego ucha”.

W 1999 roku dziewięcioletni Sho Yano rozpoczął studia medyczne.

W 2000 roku Akrit Jaswal przeprowadził z powodzeniem pierwszą operację, mając siedem lat.

W 2020 roku sześciolatek Stifler odkrył, że wirtualną Alexę można poprosić, żeby pierdziła na kilkanaście sposobów i obiecał w przyszłości wymyślić i zaprogramować podobne urządzenie, wzbogacając je o kilka innych pierdów, których według niego brakuje.

Część 3

Polka

Grażyna na salonach

Tekst ten dedykowany jest współczesnym elitom.

Byłam ostatnio na salonach. Ja, Grażyna. Nie podobało mi się. Takie smutne wnioski mi się nasunęły, że tej naszej polskiej inteligencji został najwyżej promil. Reszta brylujących to dziennikarze – tuby propagandowe, dziennikarze „od zaorania” i „zmasakrowania” rozmówców. Pokazania z bliska cellulitu jednej, zmarszczek drugiej i nadwagi trzeciego. Ośmieszenia, skompromitowania bliźniego... jak siebie samego, bo co kompromituje bardziej dziennikarza niż zrobienie z siebie szmaty, która odpowiada na wołania głodnego tłumu domagającego się stale igrzysk?

Widziałam na salonach aktorów, którzy niegdyś zachwycali talentem albo chociaż potencjatem. Dziś już bardziej sportowcy, nie aktorzy, znani głównie z maratonów po „Vivach” i „Galach”, prania brudów, opowieści o szczegółach rozwodów, kochankach, jak nie swoich, to cudzych, sprzedaży garnków staruszkom albo samozwańczego „kołczowania”. Pojedzie taki jeden z drugą do Tybetu pooddychać himalajskim powietrzem, popijając z rana kopi luwak, w czasie lunchu zagryzając szynkę iberyjską, i olśnienia doznają. Oto znaleźli antidotum na wszystkie Grażynowe smutki. Na problemy dnia codziennego. Pana-ceum na niską wyplatę i jej osteoporozę. Poradnik zatem napiszą, dla Grażyn, koniecznie! Toć szkoda, żeby takie złote rady się zmarnowały! „Co robić, gdy mąż marudzi, dzieciak pyskuje, a frustracja narasta?” No, jak to co?! Udać się do Tybetu, pooddychać himalajskim powietrzem, wypić z rana kopi luwak i zagryźć szynką iberyjską. To takie proste!

No, Grażyno, kasjerko z Biedry, na co jeszcze czekasz? *Carpe diem* i *bon voyage!*

Widziałam tam recenzentów, którzy w recenzjach popełniali błędy zarówno rzeczowe, jak i ortograficzne, gdy śmiali się z autorów. Niechlujni, niestaranni, poprawiając nerwowo okularki, dzielili czytelników na tych lepszych i gorszych. Wartościowali nie tyle literaturę nawet, ile ludzi.

Widziałam celebrytów znanych z tego, że są znani. Blogerki, instagramerki, influencerki wyglądające jak klony. Poprawne do wyrzyciu. Z przyklejonymi rzęsami i uśmiechami kaczych dziobów. Z zaszpachlowanymi twarzami i wszelkimi smutkami. Z silikonowymi cyckami

i mózgami. Sprzedające utudę szczęścia od rana do wieczora. Dostając co chwilę orgazmu, cholera wie, czy dlatego, iż są tak ponaciągane, że techtaczki mają pewnie na dłoniach, czy też dlatego, że im za to wciskanie szczęścia co niektórzy płacą.

Widziałam polityków w pięknych, dobrze skrojonych garniturach, których nie ściągali nawet, zanim pijani w sztok legli w hotelowych holach. Zdejmowali za to do bicia żon, co by krwią nie zachlapać. Z Bogiem i ojczyzną na ustach, hołdując wielkim wartościom, obsadzali pociotków na stołkach przy korycie, żeby też napchali sobie kieszenie. Jedni, drudzy, kolejni. W końcu pan stawia, pani stawia, Grażyna stawia.

Przypomniała mi się anegdotka opowiedziana przez znajomego: otóż pewna ciocia, pijąc na salonach herbatkę, zawsze odginała najmniejszy paluszek. Widziała gdzieś ten gest, więc uznała, że tak trzeba. Robiła tak, dopóki wszystko szło po jej myśli, ale przy pierwszych perturbacjach, jakiegokolwiek stresowej sytuacji zapomniała o paluszku, zapomniała o pozorach, które miały przykryć bardzo brzydką prawdę. Mianowicie, że ciocia do tych salonów wcale nie pasuje, a znalazła się tam przez nieszczęśliwy (dla ludzkości) przypadek.

Przypomniał mi się też mój sąsiad, narkoman, w dość nieciekawym stanie. Codziennie widuję go na plaży, jak siedzi i patrzy na morze. Od czasu do czasu, gdy zauważy na piasku jakiś śmieć, to wstaje, podnosi go i wyrzuca do kosza. Bez słowa, bez szukania poklasku, spontanicznie. Po prostu wie, że tak trzeba. Odniosłam smutne wrażenie, że ci z współczesnych salonów by tych śmieci nie wyrzucili. A jedyne, co mogliby podnieść, to larum: „Zobacz, jak ten plebs nie umie się zachować!”. Choć nieustannie wydaje mi się, że to akurat nie „plebs”, nie te Grażyny, najbardziej syfią.

Tyle lat wmawiano nam, że bycie Grażyną, która kocha pocztówki z kotkami, białe kozaczki i disco polo, to wstyd. Że to żaden prestiż być sprzątaczką albo zwykłym ślusarzem. Bo nie jest się w elicie. Tej elicie. Takiej elicie. Elycie właściwie.

A najgorsze w tym wszystkim jest to, że dużo z nas, Grażyn, im uwierzyło...

Byłam na salonach ostatnio. Ja, Grażyna. Widziałam na tych salonach same znane osobistości: Hipokryzję, Zaktamanie, Kompleksy, Snobizm, Głupotę, Zaściankowość, Zazdrość, Nieuczciwość, Lenistwo, Pychę, Próżność, Manipulację, Arogancję, Fatsz i kilka innych. Nie

widziałam Inteligencji. Bo ta prawdziwa polska inteligencja dziś salo-
nów unika, gdyż wie, kogo tam zastanie.

Doktor Mango Shop

Kilka lat temu, wieczorem, dokładnie po *Faktach*, musiałam usłyszeć o jakichś podwyżkach, bo złapałam się za serce. I tak jakoś się do tego serca złapałam, że wyczułam w prawej piersi guza. Tu powinnam napisać, że dzięki świadomości, którą nabyłam za sprawą licznych kampanii społecznych i tak dalej... ale prawda jest inna. Pewnie wyłącznie dlatego, że było to niedługo po tym, jak bardzo bliska mi osoba chorowała na raka – na drugi dzień z samego rana siedziałam już w poczekalni przed gabinetem USG.

Gdy weszłam do środka, jak zwykle popisałam się przenikliwością umysłu:

- I co, panie doktorze, to jakaś torbiel?
- Przykro mi, ale to nie jest torbiel.
- Taka mało charakterystyczna torbiel?
- Niestety, nie.
- Nie wie pan, co to jest, ale coś torbielowatego?

Pan doktor popatrzył wtedy na mnie długo i przenikliwie. Nieskromnie sądzę, że chyba pierwszy raz miał do czynienia z kimś tak błyskotliwym i wygadany, w związku z czym postanowił przyjrzeć mi się uważniej. Tak to sobie potem tłumaczyłam w każdym razie... Tymczasem lekarz przetaił powoli okulary, podczas gdy ja zastanawiałam się, czy zasugerować jeszcze toczeń, bo już wtedy oglądałam *Dr House'a*, lecz nagle usłyszałam:

- Pani Nietypowa, to nie jest torbiel. Żadna torbiel. Guz ma cechy nowotworu. Jednak nie można panikować, potrzebna jest dalsza diagnoza. Skieruję panią do mojego kolegi, jednego z najlepszych trójmiejskich onkologów, w celu wykonania biopsji. I on już zaleci dalsze postępowanie.

Pożegnałam się pospiesznie, wzięłam, co mi wypisał i udałam się pod wskazany adres, aby się zarejestrować. Wizytę miałam wyznaczoną za trzy dni, bo akurat trafiłam w jakieś „okienko”. Tylko za trzy dni, ale wiecie jak to jest, gdy się czeka z taką sprawą. Czas ciągnie się w nieskończoność, a wszystko, co się zdarzy pomiędzy, i tak jest z życia wyjęte.

No i w końcu się doczekałam. Weszłam do gabinetu na miękkich nogach i posłusznie zdjęłam górę, aby mieć to jak najszybciej za sobą.

Specjalista przemówił:

– Myślała pani kiedyś o silikonach?

„Kurwa, pomyliłam gabinet, tu kręcą najnowsze odcinki *Mamy cię*” – pomyślałam, a na głos wyrwało mi się tylko: – Stuuucham????!!!

– Pytam, czy myślała pani kiedyś o silikonach? Ma pani raczej mały biust, a mogłaby pani mieć taki, jaki się pani zamarzy. Mam kolegę, który świetnie robi takie zabiegi. Piersi wyglądają jak naturalne, nie poznałaby pani. Przyjmuje we Wrzeszczu, dam pani do niego numer. Dodatkowo, jak pani powie, że jest ode mnie, to jeszcze pani zniżkę dostanie. I będzie pani wyglądała jak prawdziwa seksbomba! – powiedział to wszystko z takim zaangażowaniem, jak pani, która reklamuje ciasteczka na śniadanie. TE ciasteczka właśnie, no wiecie które.

Nie powiem, zszokowało mnie to, nawet nie lekko.

– Panie doktorze, ale ja wcale nie chcę wyglądać jak seksbomba. Ja chcę po prostu żyć, nawet z małym biustem. Dlatego u pana jestem... – zaczęłam nieśmiało wykladać moje skromne oczekiwania.

Na co doktor wyraźnie się ożywił:

– O mój Boże, pani ma depresję!!! Na szczęście ja mam taką koleżankę, internistkę, przyjmuje prywatnie. Zapiszę pani jej numer, proszę się z nią umówić, a ona wypisze pani jakieś leki. Tylko broń Boże, niech pani nie idzie do psychiatry!!! Psychiatrzy doprowadzają człowieka do stanu, że później nie może normalnie funkcjonować. A moja koleżanka to fachowiec, zna się na tym, dobierze pani odpowiednie środki i...

Postanowiłam mu przerwać i bardziej bezpośrednio naprowadzić na właściwy tor oraz cel mojej wizyty. Choć nie będę się wypierała, że poprawiłam również włosy, bo po tym, co przed chwilą usłyszałam, byłam już pewna, że jestem w jakiejś ukrytej kamerze.

– Panie doktorze, miło, że się pan tak o mnie martwi. I że wziął sobie pan za punkt honoru poprawienie jakości mojego marnego życia z małym biustem. Jest pan tak świetnym fachowcem, że już w piątą minutę pobytu w pańskim gabinecie zdiagnozował pan u mnie depresję, ale nie skorzystam, nawet jeśli odeśle mnie pan do dentysty, który całkiem przypadkiem jest pana kolegą, przyjmuje prywatnie, ma akurat promocję i do każdej wizyty dorzuca toster gratis. Co z moim guzem?!

No dobrze, gdybym wiedziała, że onkolodzy są tacy obrażalscy, podeszłabym do sprawy łagodniej. Ale nie wiedziałam, więc pan doktor zdążył się obrazić, a że był dojrzałym mężczyzną, postanowił to również zamanifestować, robiąc minę pod tytułem: „Foch i chuj” oraz krzyżując ręce na piersi.

Jak świat światem wiadomo, że w kłótniach to jest tak, że jak jedna strona ma focha, to się tego zdecydowanie wypiera. A gdy pyta się:

„Ale o co ci chodzi?“, to wyraźnie chce przerzucić winę na kogoś innego, w tym wypadku na mnie.

– Z jakim guzem? Ja tu nie czuję żadnego guza!

Że niby moja wina? Sama przecież zaczęłam mu dupę zawracać.

W tym miejscu warto wspomnieć, że to wtedy właśnie wysnułam teorię, że scenariusz życia nie pisze Bóg / Opatrzność / Los, czy w co tam kto wierzy, a Stanisław Lem.

– Jak to pan „nie czuje“? Ja czuję, mój mąż czuje, moja matka czuje, moja przyjaciółka czuje, a radiolog nawet widział!

– Nooooo, jak radiolog widział, to ja nie mówię, że go nie ma. Bo on tam jest! Proszę się zapisać na biopsję w rejestracji, wypiszę skierowanie. A tak w ogóle, to jest pani bardzo nieprzyjemna. Do widzenia... Moment!...Te numery do kolegi i koleżanki zapisałem pani z tytułu książki zdrowia. Teraz do widzenia!

– Do widzenia, doktorze Mango Shop.

No nic, sama sobie jestem winna. Powinno mi dać do myślenia to, co powiedziała dziewczyna, która przede mną wyszła z jego gabinetu i na pytanie bliskich: „I co ci jest?“ bezradnie rozłożyła ręce i z lekkim obłędem w oczach wyszeptła: „Nie wiem“.

Zrobiłam tę biopsję, ale zmieniłam lekarza, bo nie opuszczało mnie przeczucie, że doktor Mango Shop ma w zanadru jeszcze znajomego patomorfologa, rzecz jasna z promocją, i też będzie chciał mnie do niego wystać.

Nikt w końcu nie zabroni mu potwierdzić diagnozę poprzez zrobienie sekcji.

Zastanawiałam się jedynie później, jak on powiadamia swoich pacjentów o rokowaniach?

– Panie doktorze, czy to poważna sprawa?

– Nie, skądże znowu, ale na pana miejscu oper mydlanych już bym nie zaczynał oglądać.

Co mówi przed operacją?

– I co, panie doktorze, amputacja obejmie jedną pierś, czy obie?

– Nie mogę powiedzieć, bo niespodziankę szlag trafi!

Jak bada?

– No tak, puls w porządku.

– Panie doktorze, niech pan sprawdzi na lewej ręce, to proteza...

Jak prowadzi pacjentów?

– Panie doktorze, ta terapia działa! Nie muszę już iść po kolejne diagnozy do pańskich kolegów!

– I co ja mogę powiedzieć?! No cóż, niestety, zdarza się...

Co wpisuje w kartę?

Rozpoznanie: rak trzustki, chyba. Tak konkretnie to: „CH... wie” albo inaczej: – nie do końca zdiagnozowany.

Wskazania: na wszelki wypadek ekstrakcja górnej szóstki, u stomatologa Jana, co przyjmuje na Bema 5/1.

Ten wpis powstał w wiele lat temu, a ja myślałam wówczas, że jedynym przewinieniem tego lekarza było nieprofesjonalne podejście do pacjentki, konkretnie – do mnie. Po latach, w 2017 roku, o opisanym przeze mnie lekarzu, Marku Ł., mówiąca ze sceny podczas występu stand-up Wiolka Walaszczyk rzuciła, że „złapał ją za cipkę”. W tym samym czasie wyplłynęło do mediów, że rzeczonemu doktorowi Ł., prokuratura postawiła aż 31 zarzutów dotyczących molestowania pacjentek, w tym jedno zgłoszenie dotyczyło dziecka poniżej 15. roku życia. Przestuchano ponad 2000 kobiet. W jego gabinecie znaleziono zaś m.in. ukrytą kamerę.

Bądź sobą

Po tym jak opublikowałam na swoim fanpejdżu post odnoszący się do mojego kalendarza: „(...) To mój ukłon w stronę kobiet. Zwłaszcza tych wszystkich kobiet, które chciałyby zmienić swoje życie, ale z różnych przyczyn tego nie robią. Tych, które dziś boją się być sobą (...)”, dostałam wiadomość. Zawierała retoryczne pytania: Jak tu być sobą w pracy, do której tak naprawdę nie chce się chodzić? Jak być sobą, żyjąc w świecie, w którym „wszystko jest zbudowane z zależności, systemu i pieniędzy”?

Myślę, że najpierw musimy zacząć od rozdzielenia dwóch kwestii. Otóż, jeśli czujesz się sobą na przykład wyłącznie nago, z piórkiem w rzyci, wydając odgłosy jak samica nosorożca w porze godowej, to faktycznie możliwe jest, że będzie ci trudno odnaleźć się w społeczeństwie i możesz być całe życie głęboko nieszczęśliwa.

Jeśli jednak jesteś mniej wymagająca, to nawet pewne ramy społeczne, które z góry są nam narzucone, jak choćby to, że na ogół trzeba chodzić do pracy, nie można bezkarnie powiedzieć publicznie tego, co naprawdę się myśli o Ojcu Dyrektorzem, czy właśnie to, że nie wolno chodzić po ulicach nago, z piórkiem w strategicznym miejscu, wydając te dziwne odgłosy – te wszystkie ramy, będą mniejszym ograniczeniem, niż może się to wydawać. Wystarczy jedynie pamiętać o kilku rzeczach.

Podstawą sukcesu w życiu w zgodzie ze sobą jest zrozumienie, że musisz (zwróć uwagę, że użyłam słowa „musisz”, a nie powinnaś) wiedzieć, że jesteś cholernie ważna. Jeden z moich ulubionych cytatów Janis Joplin brzmi: „Nie czyn siebie samego przedmiotem kompromisu, bo jesteś wszystkim, co masz”. Zatem ustalmy, że jeśli jeszcze tego nie umiesz, to musisz nauczyć się traktować siebie z szacunkiem i miłością. Musisz być dla siebie osobą, która cię nie zawiedzie, nie będzie działała bezsensownie na twoją (swoją) własną szkodę! Zaufajcie mi, że to nie jest kotczowskie pierdololo. To jest podstawa podstaw. To są frytki, reszta to keczup.

Gdybyś mi stała na rurce od aparatury podtrzymującej życie i mogłabym przekazać swoim synom tylko jedno zdanie z tego, czego się w życiu nauczyłam, to właśnie to bym im powiedziała. Poza: „Naucz się wdUPIEMANIA wszystkiego, co nie jest NAPRAWDĘ w życiu ważne” oraz: „Śmieję się jak najwięcej”. Tak, to byłoby dość długie zdanie.

Uwierz mi, nie wystarczy, że będziesz kochała dzieci i partnera, szanowała babcię, lubiła koleżanki, a siebie tolerowała, bo nie masz wyjścia.

Kuźwa, moja droga, tolerować to można teścia!

Siebie musisz KOCHAĆ! Musisz, bo ten brak miłości prędzej czy później wylezie. Czasem w najmniej oczekiwanym momencie. Najgorsze jest to, że on przez całe twoje życie zawsze będzie rzutował na wszystkie twoje decyzje. Te całkiem błahe i te naprawdę poważne. Zawsze będzie się za tobą ciągnął, gdziekolwiek nie pójdziesz, czegokolwiek nie zrobisz.

Droga do pokochania samego siebie bywa tym trudniejsza, im bardziej skrewili nasi rodzice, nie ucząc nas tej miłości w dzieciństwie. Składa się na ogół z trzech etapów: pierwszy to zmienienie tego, co nas wkurwia, drugi, często trudniejszy, to zaakceptowanie tego, czego nie możemy zmienić, a w ostatnim chodzi o to, by nie być wobec siebie zbyt krytyczną mendą. Naprawdę da się kochać siebie.

Myślicie sobie teraz pewnie: „Żeby to było takie proste...”.

Otóż, życie nie jest proste, Kochane. Życie na ogół to piękne momenty przeplatane chwilami, które wymagają od nas, mówiąc kolokwialnie, spięcia pośladków na granicy wytrzymałości i trzymania się choć cienia nadziei, że będzie lepiej, normalniej, spokojniej. Być może będziecie musiały przy pierwszym, drugim bądź trzecim etapie tak właśnie spaść pośladki. Ale dacie radę. Wierzę w Was.

Kolejną ważną rzeczą na drodze do bycia sobą jest konieczność uświadomienia sobie, że nie musimy spełniać oczekiwań swoich rodziców, partnerów, przyjaciół itd. Urodziliśmy się po to, żeby żyć własnym życiem, a nie spełniać cudze oczekiwania! Jeśli bardzo chciałybyś grać na lutni, to nie graj na gitarze basowej, bo tak jest bardziej sexy. Nie graj na skrzypcach, bo gra na nich Basia. Nie graj na pianinie, bo mama chciała od zawsze, żeby jej króliczek został pianistką. Graj na tej jebanej lutni, bo to jest właśnie to, czego przecież chcesz! A jak tego nie zrobisz, to istnieje prawdopodobieństwo, że do końca życia będziesz opowiadała wnukom, być może w coraz rzadszych przebłykach świadomości: „Kiedyś chciałam grać na lutni, ale byłam kretynką”.

Nie daj też sobie nigdy wmówić, że nie wypada, czy jest za późno. Ludzie odnajdują swoją drogę i szczęście w różnym wieku. Czy wiesz, że według „Forbesa” najwięcej potentatów z rozmaitych branż otwierało swoje firmy po 35. roku życia? Równie wielu po 40. Dopóki żyjesz, możesz próbować! Kto powiedział, że będąc 60-latką nie można założyć jeansów z dziurami na kolanach? Że nie można przeklinać? Że jest za późno, aby otworzyć wymarzoną kawiarnię? Albo, że mając 70 lat

nie można się zakochać i hajtnąć? Dopóki nikogo nie krzywdzimy – można! MOŻNA! A nawet trzeba, bo wielką głupotą jest marnować życie, nie eksperymentować, nie próbować choćby dążyć do tego, co nam może dać szczęście.

A ostatnią, równie ważną rzeczą jest to, aby zdać sobie sprawę, że nie musisz podążać za tłumem. Nigdy. No, chyba, że się pali, a oni znają drogę ewakuacyjną, czy coś. Ale w pozostałych przypadkach nie, *niet*, *nein* i *nope*! Gdy ktoś mi próbuje argumentować: „Ale wszyscy...”, to nawet nie słucham i od razu przerywam: „Wszyscy hajlowali na wiecu na cześć Hitlera, a August Landmesser nie hajlował”.

Nie musisz brać udziału w wyścigu szczurów!

Nie musisz z nikim konkurować ani na świadectwa dzieci, ani na wysokość wypłaty swojej czy męża, jędrność cycków, wielkość chaty, to jaką świetną jesteś matką czy córką.

Niech oni biegną, niech się ścigają, a ty leż, uśmiechaj się i spokojnie sącz wino.

Pierdol wszystko! Bądź sobą!

Bajki dawniej i dziś

W nowej ekranizacji *Matej syrenki* w Arielkę wcieli się czarnoskóra aktorka Halle Bailey, co wywołało swego czasu w sieci sporo kontrowersji. W pierwszym odruchu pomyślałam, że może zamiast zmieniać klasykę, wytwórnia Disneya zrobiłaby lepiej, tworząc więcej nowych bajek, w których główną rolę grałyby czarnoskóre księżniczki (alternatywnie – czarnoskórzy bohaterowie). Z drugiej strony jednak uwielbiam nowe książkowe wersje klasyki dziecięcej. I tak sobie myślę, że skoro tak bardzo podobała mi się babcia Kapturka z kijkami trekkingowymi, która była „niezależną kobietą”, i sam Kapturek, który z mamą naprawiał silnik traktora (w książce *Baśnie dla młodszych i starszych* Zofii Staneckiej), to dlaczego nie miałyby mi się podobać czarnoskóra syrenka w bajce?

Świat idzie naprzód, a wersje bajek i baśni, które nazywamy „wersjami klasycznymi / pierwotnymi”, tak naprawdę wcale takie nie są, bo z biegiem czasu zostały uwspółcześnione, żeby nadążyć za tym zmieniającym się światem, zmieniającymi się ludźmi i ich oczekiwaniami.

W pierwotnej wersji książkę ze *Śpiącej Królowny* był żonaty, a samej Śpiącej Królowny nie obudził ani pocałunek, ani seks, który rzeczony książkę wielokrotnie z nią uprawiał, ani nawet kolejne porody. Obudziły ją dopiero dzieci domagające się mleka i gryzące jej piersi. Pominę już to, że matka królowny była olbrzymką i chciała wszamać swoje wnuki.

Czy wiedzieliście, że zła macocha Śnieżki zjadła nie tylko serce (w niektórych wersjach ptuła), ale i wątrobę przyniesione jej przez myśliwego?

Wracając jeszcze do tego Kapturka – jaka wersja jest Wam znana? Dziewczynka przychodzi do babcinej chatki, gdzie czeka na nią w łóżku zły wilk, przebrany za babcię, potyka ją, a potem do akcji wkracza myśliwy wybawiciel? Jeśli tak, to wiedzcie, że to też nie jest oryginał. W oryginale wilk kazał położyć się do łóżka nagiemu Kapturkowi, a wcześniej uraczył dziewczynkę krwią babci (niby winem) i plasterkami mięsa ze spizarki (tak, to też był produkt „odbabciny”). Co ważne – Kapturka nikt nie uratował.

Podobnie zresztą jak Złotowłosej, którą pożarły trzy misie.

Dawno temu Kopciuszek uciekał od ojca gwałtociela. Motyw kazirodzcy przewija się też w jednej z wersji *Dziewczyny bez rąk*, jakby fakt,

że aby ocalić majątek, młynarz odrąbuje córce dłonie, nie był dość makabryczny.

Rumpelsztyka / Titelitury braci Grimm znacie? Co zrobił karzeł, gdy królowa odgadła jego imię? Tak, jest! Tak mocno tupał nogą, że wbił ją w ziemię i z wściekłości rozpołowił swoją stopę.

Dziś baśń *Flecista z Hameln* kończy się zazwyczaj w momencie, gdy bohater wyprowadza szczury z miasta i wszyscy są szczęśliwi. Dawniej opowiadano też ciąg dalszy tej historii. Mianowicie mieszkańcy chcieli oszukać flecistę i nie wypłacić mu należnego wynagrodzenia za pomoc. Toteż w ten sam sposób co szczury, flecista uprowadził z miasta 130 dzieci, które również utopiły się w rzece. Swoją drogą Hameln faktycznie przeżyło utratę swoich najmłodszych mieszkańców, choć okoliczności nie są tak niezwykle. Dzieci po prostu wybiła dżuma, a strój flecisty to odpowiednik stroju ówczesnych doktorów, którzy nosili czarne płaszcze, kapelusze, maski i grywali na instrumentach.

Mogłabym tak wymieniać do jutra, ale morał byłby jeden i wspólny dla tych wszystkich przykładów. Mało kto zna oryginalne wersje baśni. One cały czas ulegają zmianom i prawdopodobnie będą nim ulegać. Na szczęście.

Zastanawiałam się też, jak zareagowałby Stifler, gdyby jego ukochanego Batmana zagrał czarnoskóry aktor. Czy miałby z tym problem?

I wiecie co? Jestem pewna, że nie, bo – jak to dziecko – mój syn potrafi się utożsamiać z zielonym Hulkiem albo wcielać w jednego z żółwi z *Wojowniczych Żółwi Ninja*. Zatem jeśli ktoś ma problem z jakąkolwiek „innością”, z kolorem skóry, to na pewno nie są to dzieci. One są cudowne, czyste, otwarte na świat i jego różnorodność, przynajmniej do czasu, aż dorośli ich nie zepsują, zarażając choćby swoim skrywanym rasizmem. Nie psujmy ich zatem i pozwólmy dostosowywać klasykę do postępu, o który tak wielu walczy, aby nam wszystkim żyło się na tym świecie lepiej. Serio nie wypada, aby stare konie bojkotowały z tego powodu bajkę.

Obraza uczuć religijnych

Jedna z polskich aktorek umieściła na Instagramie grafikę, która dla mnie była dojmująco smutna, ale zdaje się, że inni wolą określać takie rzeczy mianem „kontrowersyjnych”. Rysunek przedstawia nagą kobietę nadzianą na krzyż. Poprzedza go plansza o treści:

„UWAGA
KOLEJNY RYSUNEK OBRAŻA
UCZUCIA RELIGIJNE
NIE MOJE
A MAM ZA NIE UMIERAĆ”

Autorką grafiki jest Matylda Damińska.

Komentarze były różne. Niektórzy pisali, że to niezwykle przykre. Wstawiali czarne serduszka, solidaryzowali się. Inni pisali, że nie zgadzają się z wymową grafiki, a potem starali się argumentować rzeczowo i spokojnie swój punkt widzenia. Znalazła się też pokaźna grupa tych, których uczucia religijne doznały obrazy. I o tym będzie ten wpis. O wrażliwych uczuciach religijnych.

Chcę się do Was zwrócić z prośbą – pomóżcie mi, proszę, coś zrozumieć, bo bardzo mnie to gnębi, a nie chcę wyciągać pochopnych wniosków. Mianowicie pomóżcie mi, proszę, zrozumieć, jak to się dzieje, że przez całą swoją bytność w sieci, nigdy, ale to NIGDY nie przeczytałam pod kolejnym ziejącym nienawiścią komentarzem abpa Jędraszewskiego zdania:

„Arcybiskup obraża moje uczucia religijne!”.

Nie przeczytałam tego też wtedy, gdy abp Marek Jędraszewski powiedział choćby: „Ci, którzy walczą o prawa bitych kobiet i niepełnych małżeństw, to mordercza, czerwona zaraza jak stalinowcy”.

Ani nie przeczytałam tego wczoraj, gdy arcybiskup cieszył się z wyroku TK, fundującego piekło tylu kobietom, rodzinom i w końcu dzieciom. Ani wtedy, gdy wyszło, kim był Paetz, którego tak bronił. Ani gdy wyszła sprawa kolejnego tuszowania pedofilii. Ani gdy w kwestii pedofilii wśród kleru publicznie tłumaczył, że zasada „zero tolerancji” to zasada bolszewików.

Za to wielokrotnie przeczytałam to wczoraj pod pieprzonym symbolicznym obrazkiem! OBRAZKIEM zamieszczonym na profilu aktorki.

Powiedzcie mi, Mili i Kochani, dlaczego nie przeczytałam tego, gdy abp Michalik mówił o lgnących do księży dzieciach, a przeczytałam to

pod zdjęciem okładki płyty Behemoth?!

Bądźcie tak uprzejmi wyjaśnić mi, dlaczego nie przeczytałam tego na przestrzeni lat POD ŻADNYM ARTYKUŁEM, W MEDIACH OD PRAWA DO LEWA, mówiącym o kolejnym księdzu pedofilu albo księdzu ukrywającym pedofila w swoich szeregach, a przeczytałam to pod recenzją sztuki teatralnej *Golgota Picnic*?!

Nie przeczytałam tego, gdy wyszło na światło dzienne, co robiły dzieciom siostra Bernadetta i jej koleżanki. Ani gdy kolejne grunty państwowe odsprzedawane były Kościołowi za śmieszne pieniądze. Nie wspominając o takich „drobnostkach”, jak fakt, że ksiądz odmówił udzielenia sakramentu dziecku z zespołem Downa. Albo źle mówił o zmarłym na pogrzebie. Ale wierzę, że pomożecie mi zrozumieć, dlaczego nienawiść łana nierzadko z ambon, upolitycznianie Kościoła, szeregowanie dezinformacji i wprowadzanie w błąd wiernych, też tych najmłodszych, zaprzeczanie nauce przez hierarchów kościelnych, pedofilia, tuszowanie jej, nadużycia na różnych gruntach, buta i zwykłe chamstwo części kleru nie obrażają uczuć religijnych wiernych, a przynajmniej żaden ksiądz, nawet ten, któremu udowodniono pedofilię, nie został przez wiernych pozwany z tego tytułu. Czy wymienione zjawiska, które mają miejsce W WASZYM KOŚCIELE tych uczuć nie obrażają? Czy nie obrażają na tyle, na ile choćby Urban, który ileś tam razy stawał przed sądem za umieszczenie w swojej gazecie wizerunku zdziwionego Jezusa na znaku drogowym?

Pomóżcie mi to zrozumieć, bo, jak już pisałam, nie chcę wyciągać pochopnych wniosków. Na pewno jest na to inne wytłumaczenie niż to, że jesteście ogromnymi hipokrytami, Moi Drodzy Obrażalscy.

Zalecam to sobie przemyśleć. Miłej soboty.

LGBTQ+

Gdy urodziłam pierwsze dziecko, obiecałam sobie, że wychowam je na najbardziej pokojową osobę na świecie. Taką, która rozbraja miłością. Taką, która nigdy nie sprawi nikomu przykrości, nie uderzy, a na agresję odpowie dobrocią. Zawsze cierpliwie, merytorycznie i z szacunkiem. A wtedy ludzie, niezależnie od poglądów, będą go szanować. Bo on będzie szanował ich.

O, święta naiwności! Jaka ja durna byłam!

Wiele lat później przyjechaliśmy do UK. Matą miścinka, 98% ludności to *white British*. Z ksenofobii tutejszych mieszkańców śmieją się mieszkańcy większych miast ościennych. Moi synowie zostali ponownie poinstruowani, że jeśli chcą, aby ktoś ich szanował, powinni sami szanować ludzi. Muszą być uprzejmi, wyrozumiali, kulturalni, mili, koleżeńscy, uczynni, powinni się asymilować itd.

Mojemu starszemu synowi „na dzień dobry” wrzucono plecak pod kran i puszczono wodę. Chciałam wierzyć, że to jakiś głupi żart. Może nieporozumienie, w końcu bardzo słabo mówił po angielsku. Miłością w nich. Spokojem i miłością. Zgodnie z planem.

Następnie dziewczynka oznajmiła nauczycielowi, że nie będzie z nim siedzieć w ławce. Na pytanie nauczyciela: „Dlaczego?”, odparła: „Bo jest z Polski. Mama napisała karteczkę do pana, że nie muszę z nim siedzieć”. Poszłam do szkoły. Pokojowo. Z miłością. Spławiono mnie równie czule.

Gdy mój średni syn został pobity, a na nagraniu z monitoringu było widać, jak trzech chłopców ze starszych klas podchodzi do niego, dwóch go trzyma, a jeden okłada po brzuchu pięściami, według świadków krzyząc: „Wypierdalaj do swojego kraju”, usłyszałam od zastępczyni dyrektora: „Tu jest Anglia, mamy demokrację, każdy sobie może krzyczeć, co chce. To wolność słowa”, po czym dodała: „Proszę nie nadużywać zwrotu: pobity. Dzieci się biją czasem. To normalne”. Poszłam na policję. Już bez miłości. Ale nadal z pełną kulturą. Doprowadzono do konfrontacji, na której od dyrekcji usłyszałam, że może powinnam zmienić dzieciom szkołę. Zatkano nawet policjantkę. Nie wiedziałam, czy się śmiać, płakać, czy lać po ryju. Choć w życiu nikogo nie uderzyłam.

Poszłam do councilu (tutejszy urząd miejski). Przyjęła mnie czarnoskóra urzędniczka. Wystuchała, westchnęła i powiedziała: „Ty przynajmniej jesteś biała”. Widząc, że nie takiej reakcji się spodziewałam, nachyliła się do mnie i rzekła: „Wybierz, jak mam ci poradzić: jak urząd-

niczka czy jak matka, która całe życie doświadcza dyskryminacji?". Wybrałam to drugie, a wtedy ona powiedziała: „ Nie możesz być taka miękka, bo was zajadą. Naucz synów oddawać. Zrób to szybko, bo będzie gorzej”.

Tego dnia przeprowadziłam z dziećmi poważną rozmowę. Spytałam, czy pamiętają to wszystko, czego ich uczyłam: o byciu miłym, sympatycznym, o niesprawianiu żadnym ludziom przykrości itd. Pamiętali. Kazałam im zapomnieć. Wprowadziłam nową zasadę: jeśli ktoś dobrowolnie nie chce się odczepić, nie reaguje na twoje prośby i ostrzeżenia, a osoby, które powinny ci pomóc, na stosownych stanowiskach, nie reagują natychmiast i definitywnie, to bardzo mocno podkreśl i odbij piętkę.

Niedługo po tym zostałam wezwana do szkoły. Mój syn wdał się w bójkę. Ustyszałam, że „wprawdzie tamten chłopiec go wyzywał i pierwszy uderzył, ale mój syn niepotrzebnie mu oddał i przez to też zostanie ukarany odsiadką po szkole”. Nie wyraziłam na nią zgody. Ba, otwarcie powiedziałam, że mój syn ma moje przyzwolenie na to, żeby oddać. I będzie to robił za każdym razem, gdy ktoś zacznie. To się nazywa w cywilizowanym świecie „samoobrona”. Spytałam, gdzie był ten nauczyciel, gdy mój syn został wyzywany i uderzony. Gdzie byli inni nauczyciele. Gdzie był dyrektor, który powinien zapewnić mu bezpieczeństwo. Co zrobił personel tej placówki, gdy tygodniami przychodziłam tam co drugi dzień, prosząc o reakcję, mówiąc o prześladowaniu moich dzieci i o tym, że się o nie boję. Byłam spokojna, ale bardzo oschła i stanowcza. Już się nie uśmiechałam. Na koniec zapewniłam, że jeśli kiedykolwiek wpadną jeszcze na pomysł, żeby próbować ukarać moje dziecko za samoobronę, to pozwę ich za dyskryminację i tak sprawę nagłośnię, że z tego zastynie ich szkoła na długo.

Wszystko się skończyło jak ręką odjął. Moi starsi synowie, w przeciwieństwie do większości swoich rówieśników, mają po dwa metry wzrostu, od zawsze byli bardzo wysocy i solidnie zbudowani. To głupi pomysł uderzyć kogoś takiego, wiedząc, że odda.

Już odda.

Do tego obaj mają cięty język, po mnie. To głupi pomysł próbować obrazić kogoś takiego, wiedząc, że odpowie tak, że w pięty pójdzie i nawet koledzy nie będą mogli powstrzymać śmiechu.

Już odpowie.

Czy ktoś odważy się mnie pouczać? Piętnować? Darujcie sobie. Ja wiem, jak to powinno wyglądać. Ale naprawdę to nie moja wina, że życie to nie bajka. Próbowałam inaczej. Niestety dobra wola jednej strony nigdy nie wystarcza.

A teraz postuchajcie, jak można byłoby skrócić tę historię do dwóch zdań: Dziecko Nietypowej Matki Polki wdało się w bójkę. Szkoła chciała je ukarać, ale matka nie wyraziła zgody.

Czy to by była prawda?

Tak.

Czy to byłoby uczciwe przedstawienie sytuacji?

Zdecydowanie nie.

Dlatego nie osądzajcie aktywistów LGBTQ+ bez wnikania w szczegóły. Bez uwzględnienia faktu, że próbowali. Przez cholernie długie lata grzecznie prosili o poszanowanie ich godności. O równe prawa. O niezagładanie im pod kotdry i do majtek. O zaprzestanie publicznych fantazji o tym, co robią w łóżku. O nierozpowszechnianie bzdur na ich temat. O nieublżanie im bez powodu. Słyszeliście ich prośby? Jeśli nie, to jedynie znaczy, że byliście odwrócenii plecami, bo mieliście je w dupie. Zatem mam nadzieję, że nie cmokacie teraz z niezadowoleniem, gdy przestali dziś prosić, a zaczęli głośno wykrzykiwać swoje żądania, które de facto się nie zmieniły. Mam nadzieję, że teraz przynajmniej je usłyszycie. Że wszyscy je usłyszą. Prasa zagraniczna już o tym pisze.

Co czuję, gdy słyszę te dzieciaki? Smutek. Jest mi smutno, że muszą prosić o fundamentalne prawa dla siebie. Tłumaczyć oczywistości. Jest mi smutno, bo tracę tożsamość narodową. Coraz ciężiej mi idzie identyfikowanie się z moją ojczyzną. Czuję też strach. Boję się o nich. Mam silny instynkt macierzyński. Najchętniej wzięłabym ich po kolei, przytuliła do piersi i powiedziała każdemu: „Jesteś ważny / ważna, jesteś wspaniały / wspaniała taki / taka, jaki / jaka jesteś. I nigdy nie daj sobie wmówić, że jest inaczej, a miłość dwojga dorosłych ludzi, niezależnie od płci, to coś złego. Nie słuchaj, że to ciebie nie powinno być w tym kraju. Jesteś Polakiem i Polska musi cię wysłuchać, bo ty też masz głos, taki sam jak każdy inny obywatel, a do tego masz coś do powiedzenia, masz swoją ważną historię”.

Czy uważam, że Margot powinna ponieść karę za to, co zrobiła? Jeśli są dowody na to, że uszkodziła furgonetkę czy – tym bardziej – naruszyła cielesność kierowcy – oczywiście, że tak. Nie można naruszać cudzego, nawet obrzydliwego, mienia. Nie można nikogo atakować. Jeśli jest winna, powinna zostać ukarana stosownie (!) do popełnionego czynu. Powinna mieć prawo do sprawiedliwego (!) procesu. Powinny zostać uwzględnione wszystkie jej pobudki (!) i okoliczności (!).

Uważam również, że tak samo powinien zostać ukarany kierowca tej furgonetki, którego oszczerstwa ją poniżały. I fundacja, do której ten samochód należał.

I księża pedofile, przenoszeni jedynie do innych parafii, gdy się wyda, że molestują dzieci. I ci, którzy próbują to zatuzować.

I policjanci, jeśli nadużywają władzy i siły.

I biskupi, szerzący mowę nienawiści z ambon.

I politycy, którzy nas dzielą i cieszą się, gdy skaczymy sobie do oczu. Wtedy mniej się skupiamy na nich. I nie patrzymy im na ręce. A powinniśmy.

I wszyscy inni, którzy złamali prawo. Równo. Sprawiedliwie.

Jeśli nie zaczniemy się uczyć na błędach historii, jeśli nie przestaniemy tworzyć równych i równiejszych, to się dla nas wszystkich źle skończy.

Podnieś tęczaową flagę z ziemi, gdy ktoś ją wyrwie właścicielowi. Zrób to, nawet jeśli ci się nie podoba. Zrób to ze względu na jej symbolikę. Symbolizuje miłość i równość. Zrób to ze względu na fakt, że dla wielu jest bardzo ważna.

A ja obiecuję ci, że gdy zobaczę, jak ktoś zrzuca na ziemię krzyż, to też go podniosę. Zrobię to, bo wiem, co on dla ciebie symbolizuje. Mimo że nie wierzę w twój Boga. Zrobię to, bo wiem, że dla wielu ten krzyż jest ważny.

Odpowiedz na moje „dzień dobry” z uśmiechem, jakim ja cię obdarzę. Nie musimy się spierać, czy jakkolwiek bóg istnieje. Nie musimy sobie niczego udowadniać. Możemy żyć własnym życiem, bez wtrącania się w nie. Możemy pogadać o książkach. O muzyce. O kinie. O gotowaniu. O tym, że ty pewnie też jesteś zmęczony / zmęczona tą wszechobecną nienawiścią i chciałbyś / chciałybyś, żeby twoje dzieci były na tym świecie bezpieczne. Kimkolwiek jesteś – łączy nas więcej, niż ci się wydaje. Oboje jesteśmy ludźmi. Nie spierdolmy tego.

Czekoladowe kurczaki

Zanim złapiecie mnie, jak kupuję czekoladowe kurczaczki, zanim dostanę kolejną nieśmiałą wiadomość zaczynającą się od: „Wiem, że ty w nic nie wierzysz, ale...” lub jeszcze lepiej: „Chciałabym ci życzyć radosnego Zmartwychwstania Pańskiego...”, spieszę wyjaśnić Państwu kilka rzeczy.

Po pierwsze i najważniejsze – OBCHODZĘ ŚWIĘTA! Choć nie są to święta Wielkiejnocy. W naszym domu mówimy na nie „Zajączek”. Tak samo jak w grudniu nie obchodzimy Bożego Narodzenia, tylko „Gwiazdkę” / „Mikołaja” / „Narodziny Briana”.

O co w nich chodzi? Co celebруемy?

To, że mamy siebie nawzajem, a wokół siebie fajnych ludzi. To, że się kochamy. Świętujemy, jedząc dobre jedzenie i spędzając miło czas w bliskim gronie, dajemy sobie prezenty. Zatem prawdopodobnie jedyne, co różni święta moje i tej części z Państwa, która jest wierząca, to fakt, że u nas nie ma żadnych motywów religijnych. Nie ma sianka pod obrusem, nie ma święconki, szopki, kolęd czy opłatka. Spotkałam się z opinią, że takie święta muszą być puste. I rozumiem to, wcale się nie obruszam. Wyobrażam sobie po prostu, że tak postrzega moje święta osoba bardzo religijna, dla której bóg jest bardzo ważny. Dla mnie nie jest, bo zwyczajnie w niego nie wierzę. Zatem nie odczuwam w trakcie tych świąt braku boga. Tak jak i nie odczuwam podczas tych świąt braku jednorozdźców czy gnomów. Nie jest też tak, że ja w nic nie wierzę. Wierzę w siebie, w moich bliskich, w miłość, w przyjaźń. To mi wystarcza.

Zimą mamy w domu choinkę, wiosną pisanki. Często szokuje to naszych znajomych, bo wydaje im się, że to symbole pochodzące z religii chrześcijańskiej. Ale jak już zaznaczyłam – wydaje im się.

Spotkałam się też z pytaniem, czemu nie obchodzimy własnych świąt w innym czasie. A nawet – czemu ateści w święta nie pracują? Głównie dlatego, że nie mają, jak pracować, bo ich miejsca pracy mają przerwę. Gdyby mój mąż 26 grudnia stał pod swoim zamkniętym zakładem pracy, to wiercie mi, że nie wyglądałby jak rasowy ateista (jakkolwiek taki ktoś wygląda), tylko raczej jak rasowy idiota. Stąd, skoro wszyscy „my” i wszyscy „Wy” mamy wolne, to możemy biesiadować razem.

I tu przechodzimy do kolejnego ważnego aspektu – nie przeszkadza mi, gdy mnie Państwo w swoim domu poczęstujecie opłatkiem albo święconką. I to raczej z szacunku do Was i Waszej tradycji pytam: „Czy

wiesz, że jestem ateistką?". Jeśli ten fakt dla Was nie stanowi różnicy, to nie widzę problemu. Dla mnie to po prostu kawatek wafelka / jajka. Wbrew temu, co niektórym się wydaje, ani nie sptonę w ogniu piekielnym, ani nie dostanę wysypki na rogach, kopytach czy ogonie.

Podobnie jest z czekoladowymi kurczaczkami. One są fajne, a markety są nimi zavalone! Nie rozumiem, dlaczego nie miałabym skorzystać z okazji i dziecku takiego kurczaka nie kupić? Zresztą moje młodsze dzieciaki jeżdżą regularnie na *Easter Hunt*, podczas którego na otwartej przestrzeni szukają czekoladowych jajek. Pozwalam im na to, bo to świetna zabawa oraz dlatego, że czekoladowe jajka są smaczne. Nie wiążemy ich ze „święteczną symboliką nowego życia”. Tak samo fakt, że ja, Wasza młodsza siostra Magdy Gessler i równocześnie Buddy’ego Valastro, „pierdulnęta” na ostatniego Zajączka sernik na zimno w kształcie owieczki. To dlatego, że o tej porze roku jest nasrane króliczkami, kurczaczkami i owcami, a one są takie słodkie. Robiąc tenże sernik, myślałam o tym, jaką kieckę założę jutro, a nie o święcie Paschy.

Dlaczego o tym piszę?

Bo jak słucham wierzących i niewierzących debatujących na temat, co w tym okresie komu można, a co nie można, to sobie nieodmiennie myślę, że swego czasu minister Szyszko uparł się na wycinkę lasów, bo w narodzie jest stałe zapotrzebowanie na kije w dupie.

Zatem pozwólcie, że ustalę nowe zasady obchodzenia świąt. Albo przypomnę stare: żyj własnym życiem, obchodź, co ci się podoba i jak ci się podoba. Granice wyznacza prawo, nie pani Krysia spod siódemki. Zagląдай do swojego talerza i rozliczaj swoje sumienie. Jeśli uważasz, że w święta należy umyć okna, to je umyj. Jak chcesz, możesz też umyć moje, bo ja mam to w dupie. Dla mnie liczy się w życiu właściwie tylko szczęście moje i moich bliskich. Może dlatego, że żyję własnym życiem, nie mam problemu z tym, że jeden wierzy w Jezusa, drugi w Potwora Spaghetti, a trzeci wyznaje zupełnie inne wartości. I tradycyjnie w te fajne dni życzę wszystkim moim Czytelnikom: Wesotych Świąt / udanego długiego weekendu. Żebyście dostali w tym czasie to, czego Wam potrzeba, niezależnie, czy będą to nadzieja i radość związana z narodzinami / zmartwychwstaniem Jezusa, dużo piwa ku czci Makaronowej Macki, czy może maraton filmów na Netflixie. Myślę też, że większość z nas może się różnić, ale założę się, że jesteśmy wyznawcami jednego wspólnego świętego – Świętego, kurwa, Spokoju! I tego Wam życzę najmocniej!

Żadnych

Od zawsze 1 listopada był dla mnie datą jak każda inna. W całym swoim życiu nigdy nie uczestniczyłam w tym „cmentarnym szaleństwie”. Nawet gdy byłam małą, rodzice nie ciągnęli mnie ani na obowiązkowe szorowanie lastryko prababki przed, ani na odpalanie zniczy w trakcie, ani tym bardziej na sprzątanie zeschniętych wieńców i ubrudzonych woskiem pomników po. Zresztą moi rodzice też nieszczególnie chętnie sami w tym uczestniczyli, o ile w ogóle.

Kilkanaście lat temu mojej mamie przedwcześnie odeszła bliska krewna, osierocając szesnastoletniego wówczas syna. Chłopak normalnie uczestniczył w pogrzebie, na który jego ojciec rencista z trudem uciął kwotę wymaganą przez księdza. Tak, wymaganą. To słynne „co łaska, ale nie mniej niż...”. No a potem – nazwijmy tego syna Krzysiek – no więc Krzysiek na grób matki właściwie przestał chodzić. Oczywiście znaczna część rodziny nie mogła się pogodzić z takim stanem rzeczy, więc raz po raz ktoś go zagadywał, a on konsekwentnie argumenty odpierał.

– Krzysiu, ale tak nie można. Co ludzie powiedzą?

– Nie wiem, co powiedzą. Nigdy mnie to nie interesowało i raczej nie będzie.

– Krzysiu, ale ty to robisz dla mamy. Nie wypada, by dla niej znicza nie zapalić. Albo dopuścić do tego, żeby jej grób zarastał zielskiem.

– Ten znicz czy czyszczenie grobu nie jest dla mojej mamy, bo ona nie żyje, i w związku z tym nie sędzę, żeby miał ją jak obchodzić porządek wokół jej miejsca pochówku.

– Krzysiu, ty nie rozumiesz. Tu chodzi o pamięć po matce! O szacunek!

– Ty nie rozumiesz, że ja matkę zawsze będę pamiętał. Nie muszę być na cmentarzu, żeby o niej myśleć. Robię to codziennie. Mam jej zdjęcia, zostawiłem sobie jej sweter, opowiadam o niej ludziom. To mój szacunek.

Wyobrażacie sobie Państwo, że ten dzieciak miał wtedy 16 lat i w moich oczach był dojrzały niż 3/4 otaczających go dorosłych.

Jedyne, co mnie paraliżuje w wizji własnej śmierci to fakt, że nie będzie mnie już przy ludziach, którym mogłabym być potrzebna, mogłabym w jakiś sposób pomóc. Mam nadzieję, że dane mi będzie odchować dzieci. Zobaczyć, że wyrosły na szczęśliwych, samodziel-

nych, pewnych siebie ludzi, którzy sobie beze mnie poradzą. Jednak niezależnie od tego, kiedy przyjdzie mój kres, bezustannie proszę bliskich o jedno: nie chcę nigdy być częścią pierwszolistopadowego zamieszania.

Żadnej otwartej trumny, chcę, żeby mnie pamiętali zawsze piękną i młodą, jak za życia. W ogóle żadnej trumny! Chcę być zjarana, jak wiking. Żadnych fikuśnych urn grających durne melodie, zniczy z wbudowanymi światełkami led i wodotryskiem dla spragnionych żałobników. Mogłabym być wsypana nawet do pudełka po butach, na przykład takiego z przyklejoną karteczką: „A mówiłam, że źle się czuję!” albo „Kochała koty, majeranek, dobre drinki, swoją rodzinę i batoniki Bounty”. Wszystko jedno. Żadnych ceremonii religijnych. Nie bądźmy hipokrytami. Żadnych pomników. Nie cierpię pomników. To taka strata kasy, a efekt w 90% kiczowaty. Jedna z moich ciotek ma pomnik, który wygląda jak salceson. Bez urazy, kochani. Wiem, że my – Polacy, mamy do tych pomników szczególną słabość. Ale ja je pieprzę. Jak już bardzo będą chcieli, ci moi bliscy, to niech drzewo gdzieś zasadzą, na pamiątkę. Drzewa akurat kocham. Albo niech się zrzucą na ławkę na deptaku przy plaży, tam, gdzie lubię siedzieć. Na ziemi, bo nikt nie wpadł, żeby właśnie tam postawić ławkę. A najfajniej by było, gdyby mogli moje prochy puścić z wiatrem, na tej plaży właśnie albo w lesie. Żadnych czarnych ciuchów, żadnych łez, żadnej żałoby. Niech na moim pogrzebie ludzie będą radośni, niech wspominają numery, jakie im wyciętam, niech się śmieją ze mnie, z siebie, z życia. Niech się alkohol leje strumieniami, niech będzie przednia muza, dobre żarcie i fajny klimat. Niech ludzie mówią: „Taka impreza już się nie powtórzy”.

Niech żadne z moich dzieci nie zaprzęta sobie głowy datami, niech nigdy nie traktują pamięci o mnie jako obowiązku.

Postaram się żyć tak, żeby sami chcieli mnie wspominać.

Z uśmiechem.

I żebyśmy się źle nie zrozumieli – ja Wam nie mówię, jak macie żyć, jak celebrować pamięć po bliskich i czy kupować znicze z wodotryskiem czy nie. Mówię tylko, że gdy jutro będziecie na cmentarzu, ja przechodząc obok niego, lekko się do Was uśmiechnę, nawet Wam pomacham. A potem pójdę swoją drogą. Jak zawsze.

W ubezpieczalni

Jeśli rząd będzie miał pomysł na kolejne 500+, to nie wiem jak Państwo, ale ja opowiadatąbym się za tym, żeby dostali je ludzie pracujący w usługach.

W zasadzie to nie ma znaczenia, czy pracujecie z klientami, petentami, pacjentami itp. – wszyscy powinniście dostać 500+, ten taki mały domek na ocenie na Bora-Bora, gdzie moglibyście odzyskiwać równowagę psychiczną, a na co dzień terapeutę do dyspozycji 24/7 i basen pełen wódki.

Tak, to jest wstęp do opisu rozmowy pewnego niskiego pana z brzuszkiem i figlarnym spojrzeniem z moją kumpelą, która miała dość krótką karierę w jednej takiej ubezpieczalni.

Dzwoni telefon...

– Dzień dobry, tu Antoni Iksiński, mam u państwa ubezpieczoną chatkę, ulica Różana osiem na pięć b. Zresztą niedawno byłem w państwa siedzibie. Taki raczej niski jestem, z dużym brzuszkiem... he, he, he... i figlarnym spojrzeniem... he, he, he... Kojarzy pani?

– Nie, przykro mi bardzo. Mimo że jestem czujna jak locha przy młodych, musiało mi jakoś umknąć.

– No, trudno. W każdym razie sąsiad zalał mi mieszkanie i chciałem zgłosić szkodę. Ja pani podyktuję, co jest zniszczone, a pani zapisze, ok?

– Już ostrzę długopis.

– Gotowa?

– Jak Macierewicz przed miesięcznicą.

– No więc tak: zniszczone są całkowicie czerrrrwone pończoszki! Notuje pani?

– Tak jest!

– To były MOJE czerwone pończoszki! MOJE!

– Nawet przez chwilę w to nie wątpiłam.

– I jeszcze czarny pas do pończoch... tak, tak... i jeszcze stanik. Koronkowy cały. Czerwono-czarrrrny! Zapisła pani?

– Yhy.

– I majteczki. Stringi, takie fikuśne, z paseczkami. I skórzane buty. Z przodu na platformie, a z tyłu cienka szpilka. Do pół uda. Sznurrrrrwane. To ważne, że sznurowane! Nadaża pani?

– Oczywiście.

Pół godziny później...

- ...I gorset. Bielutki, koronkowy, rzecz jasna. I jeszcze stanik z siateczki, taki co to od razu... he, he... wszystko widać. I botki kowbojskie. I czerrrwone szpilki. Zapisuje pani?

- Cały czas.

- To świetnie, świetnie. To jeszcze pani dopisze takie rajstopki ze szwem z tyłu... mmmmm... czarrrrne. I do tego czarne, lakierowane kozaczki. To chyba wszystko. A teraz, proszę pani, ja tu sobie wygodnie siądę, a pani niech mi to wszystko odczyta, bo bym się chciał upewnić, czy na pewno pani niczego nie pominęła. Jest pani gotowa?

- Sekundę, jeszcze kończę pisać... No, już. Jestem. A pan?

- Ja też. Niech pani zaczyna!

- Jedenaście par obuwia i trzydzieści dwie sztuki bielizny o rozmiarze odpowiednim na osobę niską i otyłą.

KURRRTYNA...

Grammar nazi

Szanowni Państwo, dziś chciałabym poruszyć temat, który od dawna łechce moje wrzody, a mianowicie: *grammar nazi* w necie.

Przykładzik? Proszę bardzo...

Pani Malinowska wchodzi na forum miłośników chomików dzungarskich i pyta (pisownia oryginalna): „Jakie macie państwo pojidełka dla swoich pupilów? Bo mój homik z tego klasycznego nie chce pić i bardzo się martwię”.

Pierwsza odpowiedź: „Nie pije, bo od kiedy zobaczył, jak piesz, to pragnie umrzeć”.

Druga: „A słownik w domu ty masz, czy tylko chomika?”.

Trzecia: „Jak można być takim bezmózgiem i pisać „homik”? Mój chomik tobą gardzi, lambadziaro”.

Dziewięćdziesiąta czwarta: „Może przyczyna nie tkwi w poidelku. Idź do weta”.

Tak czytam i się zastanawiam: jacy, Drodzy Państwo, jesteście w realu? Spotyka Was na schodach sąsiadka i mówi:

- Pani Malinowska, taka tragedia mnie się stała! Nie zamkłam drzwi i jakiś tobuz mi z przedpokoju torebkę buchnął, razem z całą emeryturą!

A wtedy w Was ujawniają się pokłady głęboko skrywanej empatii:

- O mój Borze! To skandal! To prawdziwa tragedia! Pani sobie zapamięta, że mówi się „zamknęłam”. Ile pani ma lat, żeby takich rzeczy nie wiedzieć, pani...lambadziaro?! No, „zamkłam”?! Serio?! Nawet nie ma takiego słowa!

Tak to z Wami wygląda mniej więcej?

Bo jeśli nie, to chciałabym wiedzieć, co sprawia, że w necie dajecie sobie prawo do upokarzania innych? Do ośmieszania. Do protekcjonalnego traktowania dorosłych rozmówców?

I od razu zaznaczam, że ja też, w skrajnych przypadkach, rzucam w ludzi słownikiem. Przychodzi mi dziunia na stronę i pisze: „Ty nie-umiesz pisać! Jesteś szalenie mało inteligentna, chyba wogóle nie masz musku!”

Jak mam naprawdę ciulowy dzień, to jej wtedy faktycznie odpowiem: „Za to ty masz mózg, funkiel nówka, nieśmigany, widzę”.

No dobra i jeszcze tam pocisnę coś czasem o ortografii, niech będzie. Ale uważam, że jak ktoś sam wchodzi w paszczę lwa i prowokuje, to się potem nie ma co skarżyć, że nie było tam stołu do ping-ponga. Natomiast inaczej byłoby, gdyby ktoś mi napisał normalny komentarz, albo zwierzył się, że choruje mu dziecko / kot mu rzyga do butów / żeni się za dwa miechy, a w odpowiedzi ja poprawiłabym mu przecinki.

Skąd to się w ludziach bierze? Nie wiem.

Czasem piszecie mi w komentarzach na mojej stronie: „NMP na prezydenta!”.

Ale jak to sobie wyobrażacie?

Że ja wejdem na mównicę w tych swoich podartych jeansach, w podkoszulce, z majerankiem w zębach i butelką wina w dłoni i powiem:

– Dobra, ziomki, to tak: proponuję, żebyście sobie przycupnęli półdupkiem na krzesetku, bo nasyfity nam się tu trochę i będziemy teraz sprzątać...

Tak to sobie wyobrażacie? Myślicie, że by to przeszło? Tak?

I macie rację!!!

Oczywiście, że by przeszło, bo poziom debaty na najwyższych szczeblach władzy jest tak tragiczny, że nawet gdybym tak nasrąta na środku, to ewentualnie prezes rozkrzyczałby się, że to na zlecenie Merkel.

Myślicie, że mnie to nie boli?

No, rejczel, że mnie boli! Ale bardziej boli mnie to, że taka jedna pani poseł nie ma szacunku do ludzi, niż że robi przecinek po spacji, a później się z tego gupio tłumaczy. To tak dla jasności.

Ubolewam nad poziomem dziennikarstwa i mam nadzieję, że Państwo też często ubolewacie.

Nie wiem za to, jak to wszystko ma się do publicznego pastwienia się nad zwykłym, szarym Kowalskim, bo słowo „muj” na forum hodowców marchwi napisał.

Mam kumpla. Kochany człowiek, bardzo go lubię, ale jest jeden szkopuł. Uporczywie myśli, że „bynajmniej” to synonim „przynajmniej”. Mówię do niego:

– Stary, pójdiesz kiedyś na rozmowę kwalifikacyjną i im wypalantujesz: „bynajmniej jestem uczciwy!”. A później mi będziesz płakał w rękaw, że cię nie przyjęli.

Mówię mu to, gdy jesteśmy sami. Bo znam się z nim od lat. Bo żeśmy niejedną cytrynowkę własnej roboty razem wypili. Bo chcę dla niego dobrze.

Natomiast nie mam pojęcia, co kieruje ludźmi, którzy na kilkutyśięcnych grupach, forach czy innych chujach mujach publicznie jadą po osobie, o której nic nie wiedzą, a która wypowiada się grzecznie i sensownie?

Powiecie: „A co tu wiedzieć? Nieuk i tyle”.

Otóż, moi mili Państwo, nie zawsze wszystko jest czarne albo białe. Nie każdy w życiu ma równe szanse, nie wszyscy mamy jednakową inteligencję i wstyd, żeby musieć o tym dorostym ludziom przypominać. Jeśli to nie są dla Państwa wystarczające powody, że czasem lepiej się zamknąć i po prostu wystuchać drugiego człowieka, niż protekcyjnym tonem zwracać mu publicznie uwagę lub, co gorsza, naśmiewać się z niego, to znaczy, że jesteście szczęściami, którzy mało w życiu widzieli.

I nie pierdzielcie mi, proszę, że nasi przodkowie ginęli za ten język, bo naprawdę rozumiem, jak ważna jest dbałość o niego.

Ale tu nie chodzi o dbałość, a raczej, by nie być przy tym zwykłym dupkiem. Bo nikt mi nie wmówi, że nasi przodkowie ginęli, aby teraz bucom, którzy nie potrafią w wiadomości prywatnej napisać: „Cześć, kolego, zauważyłem, że zrobiłeś błąd w słowie »mój«, wydawało się, że odziedziczyli po nich misję i powinni zabijać za chujową składnię.

Trochę życzliwości, ludzie.

Najpierw człowiek, potem cała reszta.

I pamiętajcie: komentarz zawsze świadczy o komentującym, nie komentowanym. Osobiście wolałabym mieć do czynienia z prostym, acz życzliwym człekiem niż protekcyjnie traktującą ludzi łajzą, która włada piękną polszczyzną.

Plan

Jak każdy dojrzały i świadomy obywatel staram się ze znajomymi rozwiązać wszystkie problemy współczesnego świata.

Na Facebooku.

Zaczynamy zazwyczaj od tych najbardziej palących, toteż wczoraj odbyliśmy debatę, co zrobić z zombie w razie apokalipsy. I tak: jeden kumpel uważa, że wszystkie zombiaki powinny zostać odesłane do domu jego teściowej. Powiedział nawet:

– Anka, jeśli będziesz o tym pisać na swojej stronie, nie zapomnij podać nazwiska i dokładnego adresu mamusi, który ci zostawię. Robię to oczywiście z bólem serca, ale postanowiłem poświęcić mamusię dla dobra ludzkości...

Oczywiście tych danych Państwu nie udostępnię. I nie chodzi wcale o RODO. Po prostu mimo wszystko uważam ten pomysł za niehumanitarny. Nie to, co ten mój...

Otóż, bardzo mało sypiam, ale ostatnio przechodzę już samą siebie i od paru dni nie śpię niemal w ogóle. W akcie desperacji prześledziłam wszystkie ostatnie wydarzenia ze świata polityki. Po czym wczoraj do znajomych rzekłam:

– Jeśli będzie apokalipsa zombie, zapędźmy zombiaki do pełnego postów Sejmu. Jest to rozwiązanie najbardziej humanitarne z możliwych i najbardziej skuteczne. Zombie rozłożą się w końcu do reszty, przy czym postom nic się nie stanie...

Rodzicielstwo

Miałam się nie odzywać w sprawie ustawy aborcyjnej, bo przez te wszystkie lata, gdy piszę, odzywałam się na ten temat tyle razy, że myślałam, że będę się już tylko powtarzać. Ale przeczytany jakiś czas temu artykuł i wieloletnie obserwacje z poziomu bycia matką sprawiły, że chciałabym jednak dokonać pewnego rodzaju ekwilibrystyki. Mianowicie chcę połączyć przeciwników i zwolenników aborcji w jednym punkcie, bo w jednym punkcie chyba każdy, kto nie należy do jakiejś ciężkiej patologii, zgodzi się ze mną – żadne dziecko nie zasługuje, aby je krzywdzić.

A teraz rozwińmy ten punkt.

Na początku opowiem Wam o tym artykule. Był on o kobietach, które macierzyństwo rozczarowało. A ruszył mnie nie tyle sam tekst, co komentarze pod nim. Z imienia i nazwiska, często ze zdjęciem profilowym z dziećmi, wypowiadały się dorosłe kobiety, żalące się z powodu zmarnowanego „przez gówniaków” życia i oskarżające o zakłamaną wizję macierzyństwa celebrytów i twórców reklam pieluch. Bo one po nocach nie śpią, gdyż ich „złośliwy kaszojad” nie chce nocki przesy피아ć. Odrosty mają jak stąd do nieba, bo nie mają nawet jak skoczyć do fryzjerki. I do tego nie wiadomo, jak się serial skończył, bo nie mogą obejrzeć go do końca, mimo że Brajan za chwilę będzie miał już trzy miesiące. A nadal „gnojek” jest taki absorbujący.

Ślodki Bobrze, ludzie kochani, na jakim poziomie mamy społeczeństwo, skoro mój sześciolatek wie, że latający w reklamie ludzik Lego w rzeczywistości nie będzie latał, a dorosła trzydziestolatka, gdy widzi w dwudziestosekundowym spocie reklamowym lub na zdjęciu u Lewandowskiej roześmianego bobasa, to myśli, że dzieci nic tylko się śmieją?! Powtarzając za klasykiem: to jest, kurwa, dramat!

Na Facebooku prowadzę grupę. Nazywa się Gang Dzikich Bobrów. Mamy tam włączoną moderację postów. Oznacza to tyle, że zanim jakiś post zostanie opublikowany, to ja lub moderatorzy czytamy go i wrzucamy do publikacji bądź nie, jeśli nie jest zgodny z zasadami grupy. I wyobraźcie sobie, że codziennie czytam do zatwierdzenia posty z pytaniami: „Jaką pralkę wybrać?” / „Jaki pensjonat najlepszy na Mazurach?” / „Jak doprać płamę z wina?”. Widuję też takie pytania na innych

grupach. Ale nigdy, absolutnie nigdy nie widziałam, żeby ktoś kiedyś spytał:

„Jak nie spierdolić dziecku życia?”.

Jak płachta na byka działają na mnie ciocie zadające pytanie: „Kiedy dzidzius?”. Prymitywne, oceniające wartość kobiet przez pryzmat ich możliwości rozrodczych. Głaby namawiające kobiety do rodzenia dzieci, niezależnie od powodu. Osoby pierdzielące slogany w stylu: „Pan Bóg dał dziecko, da i na dziecko”.

Robicie im krzywdę. I tym kobietom, i prawdopodobnie ich dzieciom.

Stifler miał może ze trzy i pół roku, gdy w sklepie spytał mnie, czy może sobie coś kupić. „Jedną małą rzecz” – odpowiedziałam. Wybrał pudeteczko Play-Doh. A potem chciał wrzucić też do koszyka resoraka. Nie zgodziłam się. Powiedziałam, że ma wybrać: albo samochodzik, albo ciastolina. Zaczął płakać, strasznie, naprawdę głośno, histerycznie. Próbowałam go uspokoić, tłumaczyć, ale nie słuchał. Wzięłam go na ręce, odstawiałam na półki te produkty, które były po drodze do drzwi, resztę w koszyku wręczyłam pani z obsługi, równocześnie ją przepraszając i wyszłam ze sklepu z krzyczącym dzieckiem. Po wyjściu zgarnęłam garść kamyczków, wsadziłam je sobie do kieszeni i pojechaliśmy do domu.

W domu zrobiłam zupę.

– Nie chcę zupy.

– Miała być rybka, ale nie zdążyłam kupić, bo musieliśmy wyjść ze sklepu. Przykro mi.

Nie zjadł. Nie przejęłam się tym za bardzo, bo powiem Wam, że jak żyję, tak nie słyszałam o kimś, kto by zmarł z głodu przed pełnym talerzem.

Gdy już się całkowicie uspokoił, wysypałam przed nim kamyczki.

– Wyobraź sobie, że jesteś mną, ja tobą, a to są twoje pieniądze.

A potem przez resztę dnia kasowałam go za wszystko.

Jabtuszek? Jasne, musisz oddać kamyczek, jabtuszek nie są za darmo.

Chciałbyś obejrzeć bajkę? Daj kamyczek – płacimy za prąd i za platformę z bajkami. Chcesz zadzwonić do babci? Nie ma sprawy – to kosztuje kamyczek. Za telefon też płacimy.

Jak łatwo się domyślić do wieczora był sptukany. A wtedy ja wpadłam w histerię, bo chciałam jajko Kinder Niespodzianka i on próbował mnie uspokoić.

Byłam też kiedyś świadkiem sytuacji, gdy syn koleżanki chciał wymusić na niej kupno paczki żelków. Ona się nie zgodziła, on zaczął krzyczeć, a w końcu stanęło na tym, że powiedziała:

– Dobra, weź te żelki i bądź już cicho. Ale ty jesteś wstrętny!

Często jestem też świadkiem matek ucinających temat zwrotem: „Bo nie”. Drących się bez opamiętania na dzieci. Albo kompletnie nie zwracających uwagi na to, co dziecko robi, choćby biegą po regałach. Nie mam pojęcia, co się w głowie tej kobiety w takiej chwili dzieje, co się dzieje w jej życiu, więc nie oceniam. Ale myślę, że potrafię często zgadnąć, co się dzieje w głowie jej dziecka.

Tamten raz był pierwszym i ostatnim, gdy Stifler zrobił mi szopkę w sklepie. Nie opisuję Wam tego wszystkiego, żeby zasłużyć na medal z ziemniaka. Nie twierdzę też, że podziałałoby to na Wasze dzieci. Może tak, a może trzeba byłoby dotrzeć do nich inaczej. Nie wiem. Natomiast wiem, że dzieci powinno się traktować tak, jak sami byśmy chcieli być traktowani. To, że są mali i mają ograniczoną zdolność pojmowania, nie czyni ich idiotami. A fakt, że są od nas zależni, nie upoważnia nas tego, żeby ich zbywać i traktować jak powietrze.

Jak to wszystko ma się do aborcji?

Ano tak, że dyskusja wokół aborcji zatrzymuje się tam, gdzie nie powinna. Przeciwnicy aborcji perorują, że kobieta powinna urodzić, „bo trzeba chronić dzieci!”.

Ale jakoś mało kto myśli o tym, czy nawet jeśli urodzi, będzie w stanie wychować tak, jak powinna. Tak, jak to dziecko na to zasługuje. A trzeba chronić dzieci!

Rozejrzyjcie się wokół i spójrzcie w lustro. Ilu z Was to dzieci, którym podcięto skrzydła w dzieciństwie? Przez ile lat walczyliście z konsekwencjami tego? A może walczyacie do dziś? Czy wasze skrzydła w ogóle odrosły? Ilu z was było niekochanych? Krzywdzonych? Ile waszych matek i ojców nigdy nie powinno być rodzicami? Ilu nigdy nie wypowiedziało, że żałuje, że Was ma, ale Wy i tak doskonale o tym wiedzieliście? A ilu Waszych przyjaciół i znajomych w ten sposób skrzywdzono? Czy wiecie, ile dzieci i młodych osób ma za sobą próby samobójcze? Depresję? Czy wiecie, jak mało jest psychiatrów dziecięcych, którzy mogliby im pomóc? Czy zdajecie sobie sprawę, jak niesamowicie ważny jest dom rodzinny? Jak ogromny wpływ na życie ma to, „czym skorupka za młodu nasiąknie”?

Moim skromnym zdaniem większość ludzi nie wychowuje dzieci tak, jak powinna. Nie poświęca im należytej uwagi, nie daje morza miłości, na które każdy dzieciak zasługuje. Większość ludzi po prostu dzieci ma. Jak buty albo telewizor. Ludzie często nie mają czasu dla dzieciaków. Nie mają cierpliwości. A przede wszystkim – nie mają predyspozycji do bycia rodzicem. Bądźmy szczerzy – rodzicem może być każdy głąb, byleby miał fizyczną zdolność rozmnażania się. I wielu głąbów z tego, niestety, korzysta.

Bo wszyscy mają dzieci.

Bo mama chciaaby już zostać babcią i truje.

Bo taka kolej rzeczy.

„Wystarczy urodzić i samo przyjdzie”. Gówno prawda, moi mili. Przyjdzie, albo i nie przyjdzie. Zamiast bajki mogą zostać zgliszcza. Dzieci są zbyt wspaniałe, żeby na nich eksperymentować.

Z mojego doświadczenia i obserwacji wynika, że jedynie niewielki procent rodziców, gdy już to dziecko się urodzi, naprawdę robi wszystko, co może, żeby wypuścić kiedyś w świat zrównoważonego, fajnego i pewnego siebie człowieka. I ten procent nigdy Wam nie powie, że rodzicielstwo to butka z masłem. Ten procent nigdy nikogo nie będzie zachęcał do rodzicielstwa, ani twierdził, że każdy się na rodzica nadaje. Właśnie dlatego, że dla tego procenta dzieci są naprawdę ważne.

Ja w każdym razie nigdy nie będę nikogo do rodzicielstwa namawiała. To trzeba czuć. Trzeba z całego serca chcieć. Trzeba być dojrzałym, gotowym do ciężkiej pracy, trwającej czasem całe życie Wasze czy Waszego dziecka. Bo matką czy ojcem nie przestaje się być w momencie, gdy Wasze dziecko osiągnie pełnoletność. Trzeba być gotowym do poświęcenia w dużym stopniu i na długi czas siebie, swojego dotychczasowego życia. I co najważniejsze – trzeba umieć się tym cieszyć! Odnaleźć się w tym wszystkim. Złapać równowagę. Umieć zacisnąć zęby i iść do przodu, gdy jest ciężko i chwycić te piękne chwile, gdy jest dobrze. Trzeba umieć nie zwariować – w codziennej rutynie albo ze strachu o swojego potomka, któremu przyszło żyć w kompletnie popierdolonym świecie, w którym bardziej od opinii lekarza na temat zdrowia ceni się opinię celebrytki świecącej dupą.

A i cała Wasza gotowość do bycia rodzicem nie zagwarantuje Wam przecież tego, że na pewno unikniecie chociażby depresji poporodowej!

Urodzenie dziecka to najmniejszy „pryszcz”. I piszę to z perspektywy matki, która urodziła siłami natury dziecko ważące 4600, bez znieczulenia. Matki, która jeszcze kilka lat później samoczynnie zaczęła płakać na wspomnienie tamtego traumatycznego porodu, podczas którego mojemu dziecku zanikał puls. I ten poród nazywam „pryszczem” w porównaniu do wychowania tego człowieka, który się wtedy urodził. Żeby było śmieszniej – dziś Szara Eminencja jest totalnie bezproblemowy – pokojowy, spokojny, życzliwy, inteligentny, pomocny, empatyczny i ma do tego cudowne poczucie humoru. A ja i tak cały czas myślę o tym, czy naprawdę robię wszystko, co mogę, żeby zapewnić mu solidne fundamenty pod bycie w przyszłości szczęśliwym i dobrym człowiekiem? I codziennie nad tym pracuję.

Wielokrotnie podkreślałam, że nie byłabym raczej zdolna do aborcji, choć „tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono”. Moje dzieci były chciane, nigdy nie byłam zgwatcona, ani nie stałam przed dylematem urodzenia dziecka, które będzie żyło kilka godzin w cierpieniu.

Kocham dzieciaki. Wolę je od większości dorosłych, bo każde dziecko jest fajne, mądre, szczerze i na swój sposób niesamowite, czego o wielu dorosłych nie da się powiedzieć. Właśnie dlatego marzy mi się świat, gdzie dojrzałym, zrównoważonym ludziom rodziłyby się dzieci chciane.

Dzieci, które słyszałyby, że są wspaniałe, mądre, utalentowane, piękne i dobre. Dzieci, które miałyby wsparcie i poczucie bezgranicznej miłości. To są warunki, które sprawiłyby, że w końcu na świecie byłoby lepiej. Nie osiągniemy tego przez zmuszanie do rodzenia kobiet, które dziecka nie chcą, nie lubią albo nie są na dzieci gotowe. Nie osiągniemy tego przez zabranianie edukacji seksualnej. W ten sposób spieprzymy jedynie życie dzieci, które już się urodziły czy dopiero się urodzą. Proszę, żebyście o tym pamiętali.

Hajcujemy

Ten tekst powstał na początku kwietnia 2019 roku i był moją satyryczną interpretacją, jak doszło do tego, że przed jednym z gdańskich kościołów ksiądz postanowił spalić książki, a swoją akcję oznaczył w mediach społecznościowych hasztagiem „hajcujemy”.

– Księżę proboszczu, musimy coś zrobić, bo liczba kleryków spada, coraz mniej osób chrzci dzieci, a i na mszę też coraz mniej wiernych uczęszcza.

– Ale dlaczego, księżę Marianie, ja tego kompletnie nie rozumiem?!

– Wina Tuska, J.K. Rowling, Miley Cyrus i Hello Kitty, wiadomo. Musimy temu jakoś przeciwdziałać. Potrzeba jakichś radykalnych kroków!

– Jakoś nic mi nie przychodzi do głowy... Może ich trochę postraszymy?

– Nie, to już nie działa. Przyzwyczaili się chyba. Myślę raczej o egzorcyzmach. Trzeba z nich wypędzić szatana. Przede wszystkim trzeba skończyć z pijaństwem, rozpustą, malwersacjami finansowymi, butą i rozpasaniem seksualnym!

– I co ty, Marian, masz zamiar całą plebanię egzorcyzmować?!

– No co, Wasza Ekscelencja?! Gdzie plebanię?! Ja o wiernych myślałem...

– A tak, tak. Oczywiście.

– Nie wiem... to musi być wymowne! Głośne! Jakiś rytuał może?

– Na eBayu widziałem takie figurki ogrodowe świętych z tabliczkami „Won do piekła k*rwo wściekła!”. Może byśmy rozstawili ze trzy na parkingu, dwie przy ołtarzu? Oczy im tak mrygają na zielono, to by przykuwało uwagę! Czekaj, zara ci pokażę, tylko okulary znajdę... Syf mam na tym biurku, bo pani Gienia drugi tydzień na zwolnieniu. Z wnuczką po lekarzach lata. W śmietanie, co to mały zlizywał z kolan księdza Ryszarda, była salmonella. Taki pech! Nieważne... no, gdzie te bryle?!... Są! Były pod stosem tych kartek.

– Stos! To jest myśl! Wasza Eminencja jest genialny!

– Prrrrrr, szalony! Marian, nie świruj! Nie będziemy ich palić. Ty w ogóle wiesz, jak capi palony człowiek? Jak nie wiesz, to se historię Kościoła poczytaj. Ty wiesz, że ja wrażliwy jestem na zapachy!

– Ależ, księżę proboszczu, ja nie mówiłem o wiernych! Będziemy palić to, co ich od kościoła odciąga!

– Nooooo chłopie, jak spalisz przedwyborcze kazania księdza Piotra, to możemy się pożegnać z rządową dotacją na nową świątynię. I audi. He, he.

– Chodzi mi o przedmioty codziennego użytku, które lubią!

– Smartfony?

– Nie, te związane z nadprzyrodzonymi zjawiskami!

– Krzyżyki?!

– NIE! Te inne. Książki z Potterem, sagę o wampirach i parasolki z kotkami.

– A, tak. To ma sens. No to hajcuj, Marian, hajcuj!

Zapasy w dobie koronawirusa

Gdy tutejszy minister zdrowia podał, ile szacunkowo ludzi może osiągnąć koronawirus, zaczęłam się niepokoić. Choruję na astmę i bez infekcji potrafię rzeźzić jak stary wartburg, a do tego mam paskudną tachykardię.

Mojego samopoczucia nie polepszył fakt, że jako środek zapobiegawczy zasugerowano pucowanie chaty. Rozejrzałam się więc po swoim pierdolniku i w zasadzie to właśnie mniej więcej wtedy postanowiłam wszystkich zrobić w bambuko i do naszej normalnej listy zakupów dopisałam – a jakże! – trzy paczki makaronu i gotowe sosy w słoikach. Pomroziłam mięso i warzywa i przez chwilę czułam się jak geniusz! Taki powiedzmy Bill Gates na miarę epidemii nowego wirusa. W końcu wyczytałam, że niemiecki sztab kryzysowy zawsze zaleca obywatelom posiadanie jakichś zapasów, do sklepów mam daleko, no i wszędzie trąbią, żeby jednak unikać w miarę możliwości dużych skupisk ludzi. Logiczne, co nie?

A wiecie co w tym czasie robili ludzie z mojego miasteczka?

Te chuje wykupili całą srajtaśmę!

Serio. W efekcie na tym cholernym zadupiu od makaronu uginają się półki, ale za to NIGDZIE nie dostaniesz pół rolki papieru. A kumpela nie chce się zgodzić, żebyśmy chodzili do niej na „dwójkę"! I powiem Wam, że teraz bardziej od ewentualnych komplikacji po przebytych koronawirusie będę się bała zjeść ten jebany makaron z sosem!

Co za czasy!

**RE
WO
LUC
JA**

Fundamenty

Według mnie to, do czego niewątpliwie ma prawo osoba wierząca, to prawo do swobodnej wiary w jakiegokolwiek boga. Powiem Wam więcej – nie rozumiem kompletnie, dlaczego w Polsce wyznawcom Potwora Spaghetti odmawia się legalizacji ich kościoła? W moim odczuciu powinno wyglądać to tak: Deklarujesz wiarę w Jezusa? Proszę bardzo, masz do niej pełne prawo. Deklarujesz wiarę w Allaha? Nie ma żadnego problemu. Ale również: Deklarujesz wiarę w Potwora Spaghetti? Co komu do tego? Chcesz stworzyć wspólnotę wierzących, którzy czczą koty albo długie weekendy? Ok, czemu nie?! A wierz sobie dokładnie w to, w co chcesz. Na tym polegałaby prawdziwa wolność wyznania. Żyjemy obok siebie, każdy wyznaje takiego boga, jaki mu odpowiada, albo nie wyznaje żadnego i spotykamy się wszyscy pogadać przy kawie.

Śmieszna wizja?

Niekoniecznie.

Realna, gdy mamy do czynienia z ludźmi, jak to się zwykle mawiać, „na pewnym poziomie”. Skąd poznać, że człowiek jest właśnie „na pewnym poziomie”? To proste. Stąd, że możemy się z nim spotkać z przyjemnością, bo mamy gwarancję, że on swojego boga, swoich przekonań, nie będzie nikomu wciskał na siłę do gardła. Do łóżka. Do życia.

To jest, Szanowni i Drodzy, fundament pokojowego koegzystowania ze sobą ludzi wyznających różne wartości. To jest też podstawa szacunku wobec drugiego człowieka.

Szacunek to jest w ogóle ciekawie interpretowana wartość, prawda? Zauważyłam, że najwięcej mówią o nim ci, którzy najmniej mają z nim wspólnego.

Wystuchałam stanowiska abpa Wojciecha Polaka, który apelował o to, żeby się wzajemnie szanować i nie bezcześcić kościołów. A potem przeczytałam o proboszczu Sroce z Wrocławia, który stojąc przed Domem Bożym, wykrzykiwał do protestujących: „Przepróście mamy, że was nie wyskrobały”. O nacjonalistach, którzy „bronią” drzwi kościoła przed ludźmi, przy aprobacie duchownych. Ba, proboszcz Świętego Krzyża uważa, że nacjonałiści bronią kościół przed „dżiczą”. Tak przynajmniej się wyraził. Być może nawet tak sobie tłumaczy zrzucenie kobiety ze schodów przez swoich obrońców. Przeczytałam o księdzu, który na Facebooku nazwał protestujących „wyjcamy”.

To są newsy, o których dowiedziałam się wczoraj. Wierzę, że moi Czytelnicy nie mają problemów z pamięcią i nie ma potrzeby przypominania im wszystkich przypadków „szacunku” i „dbania” o dobre imię Kościoła przez kościelny „korpus dyplomatyczny” na czele z duchownymi: Jędraszewskim, Głódziem, Hoserem, Michalikiem, Wesotowskim, Rydzykiem, Paetzem, Oko i wieloma, wieloma innymi.

Idźmy dalej.

Ustyszałam argument, że Polki powinny rodzić nawet dzieci z bardzo ciężkimi wadami, gdyż „Bóg jest wszechmocny i w każdej chwili może stać się cud”.

Nie mam nic przeciwko temu, że ktoś w to wierzy i chce przetestować NA SOBIE, czy stanie się cud. Natomiast karygodnym jest publiczne mieszanie Boga tam, gdzie potrzeba wiedzy stricte naukowej, żeby zrozumieć pewne rzeczy. Karygodne jest wymaganie uznania i szacunku do stanowiska, w którym oczekuje się wiary w cuda OD INNYCH. I karygodnym jest historyczny krzyk o zamachach na wiarę i Boga, gdy odrzucane są takie „propozycje rozwiązań” (że tak to eufemistycznie ujmę).

Nie jestem zwolenniczką życia przeszłością, ale uważam, że każdy z nas powinien dobrze znać historię. Uczymy się tego, co było wczoraj, po to, żeby wyciągać słuszne wnioski na dziś i na jutro. Odnoszę nieodparte wrażenie, że polski rząd i hierarchowie Kościoła mają ogromne luki w tej dziedzinie. Jednym z moich wniosków z historii jest to, że skoro nie pomogło wizerunkowo Kościołowi „nawracanie” ludzi ogniem i mieczem, to ani nacjonaści, ani apele pełne hipokryzji o „wzajemnym szacunku”, ani robienie z ludzi idiotów, ani wciskanie na siłę Boga w gardła tym, którzy go tam nie chcą, ani nawet straszenie prokuratorem przez ministra Ziobrę, również wizerunkowo mu nie pomoże. Tak jak i PiS-owi nie pomoże Żandarmeria Wojskowa na ulicach. Choć zapisze się pewnie i ta krucjata na kartach historii.

Znajomość historii jest też po to, nieśmiało przypominam, żebyśmy wiedzieli, kogo z czego rozliczać.

No, ale pewnie się myślę. Ja tam jestem tylko głupią babą. Prostym wyjcem. Taką tam dziczą, która nie klęka. A to przecież wszystko mądre głowy są, moralne autorytety, zacne, uczciwe i pełne szacunku. Na pewno wiedzą, co robią. Na pewno.

Girls just wanna have... fundamental human rights

Mówią, że jestem arogancka, ale widać, że nie aż tak, aby być sumieniem każdej z kobiet.

Mówią, że jestem bezczelna, ale gdzie mi do tych, którzy przy najprostszych codziennych, domowych czynnościach występują się pania przychodząca na plebanię, tudzież siostrami zakonnymi, a sami lekką

ręką chcą decydować o dwudziestoczterogodzinnej fizycznej harówie i psychicznej mordzędze, bez wakacji, bez chwili wytchnienia i do końca życia jakiejś kobiety.

Mówią, że aborcja jest złem, ale milczą jak zakłęci, gdy pytam, czy dla zdrowia i psychiki zgwałconej dwunastolatki urodzenie dziecka własnego ojca jest dobrem.

Mówią, że chronią życie, ale nie wiadomo, gdzie są, gdy to życie leży później w DPS-ie, nieutulone i cierpiące.

Mówią, że „zawsze można oddać do adopcji. Tyle par nie może mieć dzieci”. Tak, jakby każda z tych par czekała na dziecko z rozszczepem kręgosłupa, cyklopią, wodogłowie i niewykształconymi narządami.

Mówią, że brak mi sumienia, bo jestem za godną śmiercią. Również dla dziecka, którego życie na morfinie lub w niewyobrażalnym cierpieniu trwałoby kilka godzin, dni czy tygodni ku chwale prezesa, kleru i wszystkich świętojebliwych.

Mówią, że cierpienie uszlachetnia. Nie dodają tylko, że cudze.

Mówią, że chcemy zabijać dzieci z zespołem Downa. Nie mówią, że statystycznie tylko 21% aborcji przeprowadzane jest z powodu wykrycia tej wady. Ani tego, ile wynika z szeregu wad współistniejących, z zupełnie innych ciężkich wad wrodzonych, zagrożenia zdrowia i życia matki czy gwałtów. Również na nieletnich.

Również kazirodczych.

Mówią, że dadzą „trumienkowe”, wspomogą aż do 18. roku życia. A dalej co? Siedemset złotych żałobnej zapomogi?

Mówią, że wszystkie dzieci trzeba kochać. Po czym zamykają te niepełnosprawne w domach. Spychają je na marginesy społeczny. Nie edukują społeczeństwa. Nie wspierają w żaden sposób ich rodziców, poza upokarzającymi kwotami pieniędzy, które de facto nie starczą na nic. Nie pomagają w zapewnieniu im optymalnych szans rozwoju czy osiągnięciu najlepszego, jak na ich możliwości, stanu zdrowia. Cofają refundacje leków.

Mówią, że są prorodzinni. Do chwili narodzin.

Mówią, że zmuszą do urodzenia. Tylko kogo? Te gwałcone przez męża, gdzieś na wsi, mające już siedmioro dzieci, żyjące z zasiłków? Bo te młode, dobrze zarabiające i tak robią, co chcą. Tak byto, jest i będzie. Podziemie rozkwitnie jeszcze bardziej. Ta, którą nie będzie stać na zagraniczną skrobankę albo nie będzie miała znajomego lekarza, będzie sobie radziła domowymi, babcinymi sposobami. I znów będą cierpiały kobiety. Do czasu. Bo zamordyzm nigdy nie kończy się dla dyktatora dobrze.

Mówią, że powinniśmy brać przykład z jednego z postów, który ma synka z zespołem Downa.

I zarabia kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie. Czyż to nie inspirujący przykład dla niej, ekspedientki z mięsnego, i dla niego, budowlańca. No i ich dziecka z mózgiem na wierzchu.

Z drugiej strony mówią, że „aborcja jest ok”. Znam dużo kobiet, dla których „aborcja była ok”. Pomimo wszystko to też nie jest moja narracja, bo znam równie wiele, dla których nie była.

Dla mnie antykoncepcja jest ok. Edukacja seksualna jest ok. I nie-wpierdalanie się do cudzego życia jest ok. Zwłaszcza jak się nie ma zamiaru chodzić w cudzych butach.

O hasle „wypierdalać”

W pełni rozumiem, gdy ktoś nie używa wulgaryzmów, bo zwyczajnie ich nie lubi. Kompletnie nie rozumiem za to osób, które, często nieświadomie, propagują seksizm pod postacią hasła: „Kobiecie nie wypada używać wulgaryzmów!”.

Wściekłej Kowalskiej nie wypada ponoć powiedzieć do swoich oprawców: „Wypierdalać!”.

Uwierzyście, że w XXI wieku niektórzy nadal uważają, że kobieta powinna w to miejsce zachichotać, zatrzepotać zalotnie rżęsami, poprawić koronki swojej sukni i nieśmiało wydukać: „Ja się nie znam, zostawię kwestię decydowania o swoim życiu papie lub panu mężowi. A teraz muszę wrócić do nauki grania na lutni”.

Ostatnio weszłam w dyskusję z jedną z internautek, która twierdziła, że kobiety protestujące na Strajku Kobiet nie mają w sobie wrażliwości, gdyż używają niecenzuralnych słów. Moje stanowisko w tej sprawie jest jasne. Uważam, że nie posiada elementarnej wrażliwości wyłącznie ta osoba, która patrząc na rozpacz tysięcy kobiet, na ich złość, desperację w walce o swoje prawa, nie zważa na to, co protestujące czują, czego pragną, co ich na te ulice wyciągnęło w czasie pandemii i o czym, na litość Bobra, one w ogóle mówią. A nie wie tego wszystkiego, bo z całego dramatyizmu sytuacji jedyne, co potrafiła odczytać, to wulgaryzmy. Według mnie, i śmiało mogę to rzec, w porównaniu z taką osobą to i noga stołowa ma w sobie więcej rozumu i empatii.

Styszałam też opinię: „»Wypierdalać!« to nie jest argument”. Pragnę zauważyć, że to hasło nigdy nie miało być argumentem, a jedynie jasną wskazówką dla wszystkich tych, którzy chcieliby decydować za kobiety o ich własnym życiu.

Czytałam, że „będą nas oceniać przez pryzmat języka”. Tu spieszę z kolei przypomnieć, że Czarne Marsze z 2016 roku, zostały przez ich przeciwników, którzy nie wychwycili ironii z hasel, okrzyknięte nieoficjalnie Marszami Szmat i to słowo – szmaty – odmieniane było przez wszystkie przypadki. Jak teraz kurwy, narkomanki, terrorystki, morderczynie. Oni nie oceniają nas przez pryzmat języka, tylko własnego fanatyzmu, zacofania i ograniczeń. I to się nie zmienia, choćbyśmy im recytowały poezję pod oknami.

„Hasło »Wypierdalać!« jest chamskie i pogardliwe”. Zgadza się. Do takiego chamstwa i takiej pogardy przyzwyczaili nas politycy właśnie. To jest przede wszystkim język im dobrze znany i przez nich rozumiany. My nie możemy zastonić ich kotarą, a potem ścianką, jak to zrobili

z protestującymi niepełnosprawnymi w Sejmie. Zatem wcale się nie dziwię, że dziś wiele kobiet chce odpowiedzieć to, co słyszało przez lata. I chce mówić językiem przystępnym dla odbiorcy.

Porywa mnie nagły wzrost świętoszkowatości. To gremialne oburzenie jest wręcz fascynujące! Z lubością rozkoszuję się widokiem naszych przerażonych elyt, które razi „Wypierdalaj!”. A „Spierdalaj!” już niekoniecznie. To przecież właśnie powiedziała w Sejmie postanka Krystyna Pawłowicz do Marka Balta. Tak, tak. Ja to pamiętam. Zresztą nie tylko to. Przed oczami mam te wszystkie „zdradzieckie mordy”, „spieprzaj, dziadu!”, pocieranie ostentacyjnie oka środkowym palcem, „tęczowe zarazy” z ambon, machlojki, układy i układziki, przepierdolone pieniądze podatników i zwykłe szeroko pojęte polityczne kurestwo.

Tuzy dyplomacji, złotouści oratorzy, dżentelmeni i damy, dziś poczuli się wywołani do odpowiedzi. Do pouczenia kolejny raz, nas, dorosłych kobiet, co nam wypada i co nam można. A gdyby tak obe-drzeć ich słowa z tej żenującej hipokryzji, to jedyne, co zostanie, i co chcą nam przekazać, brzmi: co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie!

A ja nieustannie proponuję zawsze zacząć pouczanie od siebie.

Przed chwilą znowu śmignęło mi w necie hasło „Marsz Kurew”. No cóż, politycy faktycznie zrobili w tym kraju niezły burdel.

Pocisk

Dzieci już spały. Odpaliłam świececzki, założyłam nową bieliznę i czekałam na niego.

- A może byśmy tak...
- No?
- Nie, to niemądre...
- Daj spokój, powiedz.
- Trochę się wstydzę.
- Ty? Po tylu latach?
- Że uznasz to za dziwne...
- Przez tyle lat z tobą nic nie jest w stanie mnie już zaskoczyć.
- A zbulwersować?
- Tym bardziej.
- Nigdy tego nie robiliśmy w takiej chwili.
- Podobno w życiu trzeba wszystkiego spróbować.
- Więc może...
- Powiedz, śmiało. Na co masz ochotę?
- A zrobimy to razem?
- Pewnie. Ale już powiedz.
- Przyniosę ciastka, a potem pociśniemy na fejsie PiS-owi!

Ja nie klękam

Wczoraj pierwszy raz od niemal sześciu lat żałowałam, że nie ma mnie w Polsce. Czytelniczki, koleżanki, znajome, przyjaciółki, Polki, KOBIEТЫ – jestem z Was taka dumna! Jestem też szalenie dumna z mądrych mężczyzn, którzy Wam towarzyszyli.

Przez dziesiątki lat wmawiano nam bzdury. Wpędzano w poczucie winy, poniżano. Byliśmy najczęstszymi ofiarami przemocy domowej, gwałtów i mobbingu. Dyskryminowano nas, uciszano, molestowano. Mówiono, co nam wolno czuć, myśleć, robić i mówić. A wczoraj, po raz kolejny w ciągu ostatnich dni, jednym głosem, niezależnie od dzielących nas na co dzień różnic, wykrzyczałyśmy naszym oprawcom: WYPIERDALAĆ!

Po publikacji mojej książki, a potem kalendarza, dostałam od Was dziesiątki wiadomości z pytaniem, jakie jest źródło tkwiącej we mnie siły, odwagi, pewności siebie i asertywności. Nie jestem w stanie zliczyć, ile razy obiecałam, że o tym kiedyś napiszę. Obiecałam to na mojej grupie, obiecywałam to Wam na blogu i w licznych wiadomościach prywatnych. Myślałam o tym naprawdę dużo, a wczoraj, patrząc jak protestujecie, zwyczajnie mnie olśniło.

Ja nie klękam!

Te wszystkie cechy wzięty się, a może po prostu umocniły się, z prostej przyczyny – moi rodzice nie zmuszali mnie nigdy do klękania! Nie ciągnęli mnie do kościoła, nie oczekiwali, że będę wystuchiwała z pokorą kompletnych idiotyzmów o tym, że kobieta powinna służyć swojemu mężczyźnie. Nie odmawiać. Powinna być skromna, miła, ładna, uśmiechnięta, taka czy sraka. A gdy moja „moherowa” babcia naciskała na moje „nawrócenie”, rodzice wybrali mój komfort ponad jej fanatyzm. Tuż po tym, gdy prośby o opamiętanie się nie pomogły, pozwolili mi zwyczajnie zerwać z nią kontakt, co też uczyniłam. Bo jak wielokrotnie pisałam Wam, dla mnie kompletnie nie liczy się stopień pokrewieństwa, piastowane stanowisko, wiek (oczywiście nie mówię o dzieciach) czy inne okoliczności przyrody. Kiedy widzę obok siebie toksycznego człowieka, na którego nie działają moje prośby, to go zwyczajnie ze swojego otoczenia eliminuję. Mam jedno życie i nie zamierzam marnować go na użeranie się z nikim. Szanuję siebie i nie przedkładam cudzego komfortu psychicznego ponad swój. To niezdrowe.

Ja nie klękam!

Pamiętam, jak w ósmej klasie rozwiązywałam przy tablicy zadanie z matematyki, a nauczycielka, która dawała mi wielokrotnie odczuć, że mnie nie lubi, skrytykowała mój wygląd. Pamiętam też, że miałam na sobie legginsy i sweterek, który nie zakrywał mi do końca tyłka, a według niej powinien. Zatem na środku klasy, przy tablicy właśnie, postanowiła mnie upokorzyć, używając niewybrednych słów. Coś tam jej odfuknęłam, ale okazało się, że to było tylko preludium całej akcji. Moja matka, gdy się o tym dowiedziała, wpadła do szkoły i mało nie rozerwała jej na strzępy, ostrzegając, że jeśli jeszcze raz w tak chamski, prymitywny sposób zechce mnie zgnoić, to gorzko tego pożałuje. I wiem, że naprawdę gorzko by tego pożałowała, bo znam swoją matkę. Przez tyle lat prawie o tym zapomniałam i chyba nigdy nie podziękowałam za to mamie. Więc zrobię to teraz, publicznie:

Mamo, długo nie potrafiłaś walczyć o siebie, bo Cię tego nie nauczono. Za to Ty nauczyłaś tego mnie. Dziękuję!

My nie klękamy!

Nie pozwalałam się pouczać, gdy o to nie proszę. Odczuliście to nie raz, moi Drodzy Czytelnicy, gdy próbowaliście sugerować mi w komentarzach pod postami, że kobiecie nie wypada tak brzydko mówić.

To ja decyduję o tym, co mi wypada, a czego mi nie wypada. Nie Wy ani nikt inny.

Nie słucham rad od przypadkowych ludzi, gdy o nie nie pytam.

Nie uznaję autorytetów innych niż naukowe.

Walczę o swoje.

Kiedy mam coś do powiedzenia, nie będę milczeć i nie pozwolę się nikomu uciszyć.

Nikt nie będzie decydował za mnie ani o długości mojej sukienki, ani o mojej karierze zawodowej, ani o tym, czy urodzę.

Ja nie jestem miła i grzeczna, gdy nie czuję takiej potrzeby.

Mój mąż jest moim partnerem, nie moim panem i władcą.

Nie muszę być ładna i powabna. I chuj komu do tego, ile ważę, co noszę, czy jak wyglądam. Dla mnie ważne jest WYŁĄCZNIE, jak ja się ze sobą czuję. A czuję się ze sobą wylśmienicie!

Ja nie klękam!

Ja stoję dumnie wyprostowana i o to samo Was proszę.

Wstańcie z kolan, czytelniczki, koleżanki, znajome, przyjaciółki, Polki, KOBIETY, Wy wszystkie, które jeszcze tego nie zrobiliście! Przestańcie słuchać tych, którzy Was nie szanują, którzy widzą w Was głupią babę, obiekt seksualny, kogoś gorszego.

Nie klękajcie!

Siła, która jest we mnie jest też w każdej z Was. Jeśli jej nie słyszycie, nie czujecie, to wyłącznie dlatego, że inni bardzo starali się ją zagłuszyć. Chamowaci politycy, kretyńskie media, obrzydliwi w swej postawie księża, a może Wasi zakompleksieni partnerzy, rodzice czy fatszywi przyjaciele, bojący się życia w cieniu kogoś, kto mógłby ich w jakimkolwiek aspekcie przerosnąć.

Wczoraj weszłyście do kościołów, aby zakończyć to, co niszczyło Was od lat, zamanifestować Wasz ból, żal i wkurw. Aby spojrzeć prosto w oczy Waszym oprawcom.

Nie uklękajcie!

Pamiętajcie już zawsze, co wtedy poczuliście. Siłę, godność, wyzwolenie!

Nie przepraszać, nie macie za co. Nie pozwólcie się znów pouczać, w jaki sposób możecie protestować, co mówić, co krzyżeć. Czas, żeby to Was przeproszono za te wszystkie krzywdy, których padłyście ofiarami. Za lata wpierdalania się do życia Waszego, Waszych matek, babek i kształtowania go na ich modłę.

Zabierzcie dzieci z lekcji religii, zabierzcie je z kościołów. Nie uczcie je klękania przed żadnym człowiekiem, a już zwłaszcza takim, który pierdoli głupoty! Koniecznie zabierzcie dziewczynki. Nie krzywdźcie kolejnego pokolenia fantazjami wypaczonych polskich klechów o tym, co kobieta może, czego nie może i co powinna! Nie robicie niczego złego. Jedyne drastycznie przerywacie łańcuch błędów i pomyłek, prześladowania, chamstwa, arogancji i buty mizoginów. Łańcuch bezgranicznej podłości, która trwała długo, za długo, aż przelata się czara goryczy!

Chrońcie siebie i Wasze dzieci od WSZYSTKICH toksycznych ludzi!

Jestem z Was dumna, Siostry! I Wy też bądźcie z siebie dumne, wspierajcie się nawzajem!

Jesteście mądre, piękne, wspaniałe i WOLNE! I już nigdy nie dajcie sobie nikomu wmówić, że jest inaczej!

Walczcie o swoje!

Nigdy więcej nie klękajcie!

Podziękowania

W pierwszej kolejności chciałabym nieodmiennie podziękować mojemu mężowi Maćkowi (zdjęcie nr 15) za jego miłość, wsparcie i morze cierpliwości po tym, gdy ostatecznie stracił nadzieję, że kiedyś dojrzeję. To właśnie mój mąż przejął większość moich obowiązków, gdy pracowałam z Edipresse nad tą książką. Dziękuję, Kochanie, jesteś mądrym, utalentowanym człowiekiem i mam nadzieję, że niebawem więcej osób będzie się mogło dowiedzieć, jak bardzo jesteś wyjątkowy. Trzymam kciuki za wszystkie Twoje plany. Jestem z Ciebie dumna i kocham Cię.

Następnie chciałabym podziękować moim synom (zdjęcie nr 14). Są moją inspiracją, miłością i radością. Są najlepszym, co mnie w życiu spotkało, moim lekiem na całe zło tego świata. Nie tylko ich kocham, ale naprawdę ich lubię. Każdy z nich jest inny, a równocześnie każdy jest równie fantastyczny. Jestem z nich cholernie dumna. Wspaniali, mądrzy, świetni ludzie.

Polo, moja Ty najstarsza latoroślo, przeraża mnie myśl, że niedługo wyfruniesz z gniazda, ale równocześnie gdzieś wewnątrz czuję spokój (zdjęcie nr 13). Wielokrotnie udowodniłeś, że dasz sobie radę w życiu. Jesteś mądry, śmiały, odważny i dobry. Niezależnie jak Twoje dorosłe ścieżki się potoczą, zawsze będziesz miał mnie po swojej stronie. Kocham Cię i jestem z Ciebie dumna.

Tybo, łączysz w sobie nieprzeciętną inteligencję z nieprzeciętną wrażliwością (zdjęcie nr 12). Masz w sobie spokój i dobro, a do tego jesteś szalenie zdolny. Nie wiem, jak udało mi się wychować tak świetne dziecko. Nie mam też pojęcia, skąd zawsze wiesz, co zrobić i jak się zachować, ale podziwiam w Tobie tę dojrzałość i mądrość. Kocham Cię i jestem z Ciebie dumna.

Eli, jesteś od małego bystrym i zwariowanym kłębkim ogromnie pozytywnej energii (zdjęcie nr 11). Zarażasz ludzi radością i sprawiasz, że ich świat jest piękniejszy. Nie sposób Cię nie lubić i nie kochać. Masz dobre serduszko i ogromną wrażliwość w sobie. No i jesteś najbardziej kreatywnym człowiekiem, jakiego poznałam w życiu. Kocham Cię i jestem z Ciebie dumna.

Julek, Twój śmiech dźwięczy mi w uszach, uwielbiam go (zdjęcie nr 10). Uwielbiam też Twoją ciekawość świata i rozbijającą szczerłość. Wszędzie Cię pełno, jesteś iskierką radości. Ambitnie od małości robisz wszystko, żeby nie być traktowanym jak maluch i w niczym nie

ustępować starszym braciom. Dzielny, zabawny i wytrwały. Mądry i przeuroczy. Kocham Cię i jestem z Ciebie dumna.

Ta książka jest nie tylko moją zasługą. Z całego serca chciałam podziękować całemu teamowi Wydawnictwa Edipresse, który przyczynił się do jej powstania, a w szczególności Paniom: Idze Rembiszewskiej za cierpliwość, Izie Orlicz za przemiłą redakcyjną współpracę już po raz trzeci, Natalii Gowin oraz Annie Kubalskiej za profesjonalizm i (nie)zwykłą życzliwość. Renacie Bogiel-Mikołajczyk i Tatianie Drózdź dziękuję za działania promocyjno-marketingowe.

Ponadto dziękuję rodzinie, przyjaciołom i czytelnikom za wsparcie, każdą konstruktywną krytykę, radę i dobre słowo, które grzało mi serducho.

Dzięki Wam wszystkim!



ZDJĘCIE NR 10: Julek (Dźudżu) vel Szeregowy – wszędzie go pełno. Ciekawa świata iskierka radości. Ambitnie od małości robi wszystko, żeby nie być traktowanym jak maluch i w niczym nie ustępować starszym braciom.



ZDJĘCIE NR 11: Eli vel Stifler – najbardziej kreatywny człowiek, jakiego znam. Bystry i zwariowany kłębek pozytywnej energii, który zaraża optymizmem i uśmiechem.



ZDJĘCIE NR 12: Tybo vel Szara Eminencja – łączy w sobie ponadprzeciętną inteligencję z ponadprzeciętną wrażliwością. Nie wiem, jak udało nam się wychować tak dojrzałe dziecko, które zawsze wie, jak się powinno zachować i co należy robić.



ZDJĘCIE NR 13: Polo (i Julek na rękach) vel Don Juan – przeraża mnie myśl, że niedługo wyfrunie z gniazda, ale równocześnie gdzieś wewnątrz czuję spokój. Jest mądry, dobry, odważny i kreatywny, więc sobie w życiu poradzi.



ZDJĘCIE NR 14: Moja inspiracja, moja radość, moja siła.



ZDJĘCIE NR 15: Maciek vel Siara – mądry, utalentowany na wielu polach, wrażliwy i cierpliwy. Zwłaszcza ta ostatnia cecha pomogła mu przetrwać ze mną już prawie 20 lat.